

Juliusz Verne

W puszczach Afryki

Spolszczyła Bronisława Kowalska

38 ilustracji George'a Rouxa, jedna mapa

Nakładem i drukiem Michała Arcta

Warszawa 1907

SPIS TREŚCI

ROZDZIAŁ I 3

Po długim wypoczynku. 3

ROZDZIAŁ II 10

Poruszające się ognie. 10

ROZDZIAŁ III 16

Rozproszenie. 16

ROZDZIAŁ IV 23

Postanowienie. 23

ROZDZIAŁ V 29

Pierwszy dzień wędrówki. 29

ROZDZIAŁ VI 34

Ciągle w kierunku południowo-zachodnim. 34

ROZDZIAŁ VII 40

Pusta klatka. 40

ROZDZIAŁ VIII 46

Niespodzianka. 46

ROZDZIAŁ IX 52

Z biegiem rzeki Johansen. 52

ROZDZIAŁ X 56

Ngora! 56

ROZDZIAŁ XI 61

Dzień 19-go marca. 61

ROZDZIAŁ XII 67

W lesie. 67

ROZDZIAŁ XIII 73

Wioska napowietrzna. 73

ROZDZIAŁ XIV 78

Wagdisowie. 78

ROZDZIAŁ I

Po długim wypoczynku.

A gdyby tak Amerykanie zawojowali część prowincji Kongo? – zapytał Maks Huber – czy o tym nigdy nie było jeszcze mowy?

– A na co by nam się to zdało? – odpowiedział Jan Cort. – Czy nam brak przestrzeni W Stanach Zjednoczonych?... Jakie to olbrzymie puste obszary rozciągają się od Alaski do Texas!... Pocóż mamy kolonje zakładać zdaleka od kraju, czy nie lepiej uprawiać i zaludniać własną ziemię?

– Ech! mój kochany Janie, jeżeli tak dalej pójdzie, narody europejskie podzielą się zdobyczami w Afryce, czyli zagarną sobie ze trzy miliardy hektarów[1] ziemi!... Czyż Amerykanie wyrzekną się tego na korzyść Anglików, Niemców, Hollandczyków, Portugalczyków, Francuzów, Włochów, Belgów i Hiszpanów?...

– Amerykanom ta ziemia nie jest potrzebna – odpowiedział Jan Cort – dlatego że...

– Że co? – podchwycił Maks Huber.

– Że moim zdaniem, po co męczyć nogi, skoro wystarcza wyciągnąć rękę...

– Mój kochany Janie, przyjdzie chwila, w której rząd federalny upomni się o swój udział w zdobyczach afrykańskich... Część prowincji Kongo zagarnęła Francja, drugą część Belgja, trzecią Niemcy, a przecież jest jeszcze część prowincji Kongo niepodległej, która czeka na swego zdobywcę... I cały ten kraj, który zwiedzamy od trzech miesięcy...

– Ale tylko jako turyści, Maksie, a nie jako zdobywcy.

– Nie widzę w twoim określeniu zbyt wielkiej różnicy, godny obywatelu Stanów Zjednoczonych – wygłosił Maks Huber. – Powtarzam raz jeszcze, że w tej części Afryki Stany Zjednoczone mogłyby założyć wspaniałą kolonję. Ziemia jest tu tak urodzajna, że niemal prosi się o to, aby ludzie użytkowali jej żyzność; rzeki i strumienie zasilają wilgocią grunty, a ta sieć wodna nigdy nie wysycha...

– Nawet podczas tak nieznośnego, jak dzisiaj upału – dokończył Jan Cort, ocierając chustką spocone czoło.

– Mój kochany, przyzwyczailiśmy się już do upałów! – zawołał Maks Huber. – Powiedz, mój przyjacielu, czyśmy się już nie zaaklimatyzowali, czyśmy, że się tak wyrażę, nie zamienili się już w murzynów?... Teraz jest dopiero marzec, a co to będzie w lipcu lub sierpniu, gdy promienie słońca

będą parzyć skórę, jak ogień!...

– W każdym razie, Maksie, trudnoby nam się było przedzierać w Pahuinów lub Zanzibarczyków, mamy na to nazbyt delikatną skórę. Przyznaję, że odbyliśmy piękną i zajmującą wyprawę, która nam się powiodła znakomicie... ale pragnę powrócić już do Libreville i zażyć w naszych faktorjach spokoju i wypoczynku, który się słusznie należy takim, jak my podróżnikom. Toć trzy miesiące spędziliśmy w podróży...

– Pod tym względem zgadzam się z tobą – odpowiedział Maks Huber – nasza awanturnicza wyprawa była dość zajmująca. Jednak muszę przyznać, nie zadowoliła mnie w zupełności.

– Jako, Maksie, nie rozumiem cię. Przebyłeś wiele setek mil przez kraj zupełnie ci nieznany, narażony byłeś na rozmaite niebezpieczeństwa ze strony dzikich krajowców, którzy nieraz witali nas zatrutymi strzałami, odbywałeś polowania, które numidyjski lew i libijska pantera raczyły zaszczycić swoją obecnością, składałeś, jak w starożytności, ofiary ze stu słoni na korzyść naszego wodza Urdaksa, zebrałeś tyle kłów słoniowych, że możnaby nimi pokryć klawisze wszystkich fortepianów na świecie, i jeszcze jesteś niezadowolony?...

– Jestem zadowolony i niezadowolony zarazem, mój Janie. Korzyści, które wyliczyłeś, bywają wogóle udziałem wszystkich badaczy, czyniących wyprawy do Afryki środkowej. Czytamy opisy tego w podróżach Boerta, Burtona, Speekego, Stanleya, Serpa Pinto, Granta, Liwingstona, du Chaillu, Kamerona, Mage'a, Wissemmana, Brazzi, Gallieniego, Dybowskiego, Lejeana, Massarego, Buonfantiego i de Maitre'a.

W tej chwili, wstrząśnienie wozu, który uderzył o kamień, przerwało Maksowi dalsze wyliczanie zdobyców afrykańskich. Jan Cort, korzystając z tej przerwy, zapytał:

– Spodziewałeś się zatym napotkać co innego w ciągu swej podróży?

– Tak, mój kochany Janie.

– Coś niespodziewanego?

– Jeszcze coś lepszego, gdyż niespodzianek mieliśmy dosyć.

– Zatym pragnąłeś, aby cię spotkała jakaś przygoda nadzwyczajna?

– Nie inaczej, mój przyjacielu, a tymczasem ani razu nie miałem sposobności doznać czegoś nadzwyczajnego, niezwykłego i nazwać Afrykę krajem osobliwym i tajemniczym, jak ją nazywali w starożytności...

– Widzę, Maksie, że Francuz jest trudniejszy do zadowolenia, niż Amerykanin.

– Nie przeczę, jeśli ci wystarczają wrażenia, doznane podczas naszej podróży.

– Najzupełniej, Maksie!

– Powracasz więc zadowolony?

– Naturalnie, nadewszystko zaś dlatego, że już wracam.

– I sądzisz, że czytelnicy, którzyby czytali opis naszej podróży, zawołaliby: «Jakie to ciekawe!»

– Gdyby tego nie powiedzieli, byliby bardzo wymagającymi.

– No, zapewne, ciekawość ich zadowoliłaby się bardziej, gdyby nasza wyprawa skończyła się w żołądku lwa lub ludożercy z Ubangi – odparł Jan Cort.

– Nie posuwając się do tej ostateczności, która jednak ma pewien urok dla czytelników, powiedz tak szczerze, z ręką na sercu, Janie, czy mógłbyś przysiąc, że odkryliśmy coś zupełnie nowego, czego nie odkrył żaden z podróżników, zwiedzających przed nami Afrykę środkową?

– Nie, tego nie powiem, Maksie.

– Co do mnie, miałem nadzieję, że los okaże się łaskawszym względem mnie.

– Czy jesteś chciwy sławy i pragniesz, aby cię nazywano nieustraszonym podróżnikiem? Ja niczego więcej nie pragnęłam i jestem zadowolony z naszej wyprawy.

– Nie zyskaliśmy nic, mój drogi.

– Ależ Maksie, nasza podróż jeszcze nie skończona, a przez pięć lub sześć tygodni, które upłyną, zanim się dostaniemy stąd do Libreville...

– Dajżeż pokój! – przerwał Maks – nasza podróż teraz odbędzie się chyba w warunkach jak najpospolitszych, tak, jak gdybyśmy jechali ubitym gościńcem.

– Kto wie?

W tej chwili wóz zatrzymał się u stóp wzgórza, gdyż tu zamierzano stanąć na odpoczynek wieczorny. Na wzgórzu rosło kilka pięknych drzew, jedynych na tej rozległej płaszczynie, oświetlonej promieniami zachodzącego słońca.

Była godzina siódma wieczorem. Pod szerokością geograficzną ósmego stopnia na północ, zmierzch trwa bardzo krótko i zaraz zapada noc, która tego dnia tym bardziej zapowiadała się wcześniej, że gęste chmury ukazały się na horyzoncie, przysłaniając gwiazdy i księżyc na nowiu.

Wóz przeznaczony jedynie dla przewożenia podróżnych, nie zawierał w sobie ani towarów, ani zapasów żywności. Był to rodzaj wagonu, umieszczonego na czterech mocnych kołach; wóz ten ciągnęło sześć wołów. W przedniej części wagonu były drzwi, prowadzące do wnętrza, z boków znajdowały się okienka, wewnątrz wagon podzielony był na dwie izdebki. Izdebkę znajdującą się w głębi zajmowali dwaj młodzi ludzie, w wieku od dwudziestu pięciu do dwudziestu sześciu lat. Jeden z nich Jan Cort był Amerykaninem, drugi Maks Huber – Francuzem. Izdebkę od wejścia zajmował kupiec portugalski nazwiskiem Urdaks i przewodnik, który kierował ruchem karawany, zwany w

tamtejszym narzeczu «foreloper». Przewodnik nazywał się Kamis i był krajowcem, rodem z Kamerunu. Znał on doskonale swoje rzemiosło przewodnika, umiejącego się kierować wśród rozpalonych przestrzeni Ubangi.

Wagon, zbudowany mocno, niczym nie przypominał, że przebył tak daleką podróż. Skrzynia, czyli pudło, było w dobrym stanie, koła nie zużyte, szprychy nie pocięte, ani nie połamane, tak jakby powracano ze spaceru, a tymczasem przebył przestrzeń przeszło tysiąca kilometrów.

Trzy miesiące temu, wehikuł ten wyruszył z Libreville, stolicy francuskiej prowincji Kongo. Stamtąd dążąc w kierunku wschodnim, posuwał się po płaszczyznach Ubangi, dalej niż bieg rzeki Bahar el-Abiad, która wlewa swe wody do jeziora Czad. Okolica ta otrzymała swe nazwisko od jednego z głównych dopływów prawego brzegu, to jest od rzeki Kongo, czyli Zairy, a ciągnie się na wschód od Kamerunu niemieckiego, którego gubernator jest konsulem generalnym niemieckim w Afryce Zachodniej.

Granic dokładnych Konga trudno byłoby określić, nawet na najświeższej mapie. Jeżeli to nie jest pustynia, lecz pustynia pokryta bujną roślinnością, niepodobna w niczym do Sahary, to bez wątpienia jest to olbrzymia przestrzeń, po której rozsiane są wsie, znajdujące się od siebie w znacznej odległości. Różne pokolenia prowadzą tam z sobą nieustanną wojnę, zwyciężają się nawzajem i zabijają. Niektóre z tych pokoleń żywią się jeszcze dotychczas mięsem ludzkim, jak pokolenie Mubuttu, zamieszkujące pomiędzy źródłami Nilu a Kongo. Ono to dla zaspokojenia swych instynktów ludożerczych poświęca własne dzieci. Misjonarze wydzierają barbarzyńcom te biedne istotki przemocą lub okupem i wychowują je w wierze chrześcijańskiej, w zakładach pobudowanych wzdłuż rzeki Siramba. Schroniska te nie utrzymałyby się z pewnością, gdyby nie były wspierane zasiłkami pieniężnymi ze strony państw europejskich, a nadewszystko Francji.

Dla ścisłości opowiadania musimy dodać, że w Ubangi dzieci krajowców uważane są za monetę, która ma obieg w kraju w handlu zamiennym. Płacą oni dziećmi za rozmaite przedmioty, których handlarze im dostarczają.

Najbogatszym zatym krajowcem jest ten, który ma najwięcej dzieci.

Ale chociaż Portugalczyk Urdaks nie zapuszczał się na te przestrzenie w interesach handlowych i nie stykał się z blizką z pokoleniami zamieszkującymi wybrzeża Ubangi, i choć nie miał innego celu nad zaopatrzenie się w jak największą ilość kości słoniowej, znał jednak dzikie ludy, zamieszkujące Kongo Nieraz, spotykając się z nimi, musiał używać broni palnej w obronie własnej. Obecna wyprawa mogła się zaliczać do szczęśliwych i korzystnych, gdyż nie wydarła ani jednej ofiary z pośród osób należących do karawany.

Mijając wioskę w pobliżu źródeł rzeki Bahar-El-Abiad, Jan Cort i Maks Huber ocalili od okropnej śmierci małe dziecko, wykupując je za cenę kilku szkiełek. Był to dziesięcioletni chłopczyk, o rysach twarzy przyjemnych i łagodnych, niezbyt przypominających pochodzenie murzyńskie. Tak, jak się to nieraz spotyka u niektórych pokoleń, chłopiec miał cerę prawie jasną, włosy blond, a nie czarne kiędzierzawe, nos orli i nie spłaszczony, wargi cienkie, budowę ciała zręczną i silną; w oczach jego błyszczała inteligencja. Biedny chłopiec, oderwany od swego plemienia, gdyż bliższej rodziny już nie miał, nazywał się Lango. Wkrótce przywiązał się całym sercem do swoich

wybawców. Poprzednio jakiś czas chował się u Misjonarzy, którzy go nauczyli trochę po francusku i po angielsku, następnie jednak wpadł w ręce pokolenia Donka, gdzie byłby go spotkał los najokropniejszy.

Przywiązanie i wdzięczność chłopca zjednały mu nawzajem serdeczną życzliwość obydwu przyjaciół, którzy go żywili, odziewali i starali się wychować jak najlepiej.

Inne życie wiódł teraz Lango, przestał już być żywym towarem, tak jak jego mali współziomkowie, żył w faktorjach w Libreville i stał się niejako przybranym dzieckiem Maksa Huber i Jana Cort. Rozumiał, że oni go nie opuszczą, czuł, że go kochają i serce jego wzbierało wdzięcznością, a w oczach kręciły się łzy, ile razy który z dwóch przyjaciół gładził go pieszczotliwie po głowie.

Gdy wóz się zatrzymał, woły znużone drogą daleką i upałem, pokładły się na łące. Lango, który część drogi przeszedł pieszo, to wyprzedzając wóz, to biegnąc za nim, natychmiast znalazł się przy swoich opiekunach. Ci zwolna wysiadali z wozu.

– Czy nie jesteś bardzo znużony? – zapytał Jan Cort, ujmując chłopca za rękę.

– Nie, nie, ja mam dobre nogi i lubię biegać – odpowiedział Lango z uśmiechem.

– Trzeba teraz coś zjeść – rzekł Maks.

– Zjeść... ach, tak...

I ucałowawszy ręce swych opiekunów, zwrócił się do ludzi niosących pakunki, którzy zatrzymali się w cieniu drzew na wzgórzu.

Wóz służył tylko do przejazdu dwóm przyjaciołom, Urdaksowi i Kamisowi; pakunki, kość słoniową i zapasy żywności dźwigali ludzie, po większej części murzyni z Kamerunu, a było ich około pięćdziesięciu. Teraz poskładali swoje ciężary na ziemi. Oprócz zapasów żywności mieli poddostatkami zwierzyny, w którą obfitowały okolice Ubangi.

Murzyni-tragarze są to ludzie płatni, nawet drogo, i znający swoje rzemiosło; korzyści pieniężne, osiągnięte z każdej takiej wyprawy, pozwalają na to, aby ich sownie wynagradzać. Ludzie ci nigdy nie przebywają w domu, od dzieciństwa wynajmują się do dźwigania ciężarów i pracują, dopóki im sił starczy. Jest to zajęcie bardzo uciążliwe.

Ramiona tragarzy uginają się pod ciężarami, które ścierają im skórę, nogi mają zakrwawione, ciało pokaleczone przez ostre trawy, gdyż dla ochrony ubrania, noszą na sobie tylko rzeczy niezbędne. I tak pracują od świtu, aż do godziny jedenastej przed południem i znów rozpoczynają pochód, gdy upał się zmniejsza, aż do wieczora. Interesem handlujących jest dobrze wynagradzać tych ludzi, dobrze ich żywić i nie nadużywać ich sił.

Polowanie na słonie bywa połączone z wieloma niebezpieczeństwami, gdyż oprócz słoni można napotkać pantery i lwy; – dlatego też wódz wyprawy stara się mieć ludzi pewnych i zaufanych. Następnie, gdy zdobycz jest obfita, zależy głównie na tym, aby karawana szczęśliwie i prędko powróciła do faktorji na wybrzeżu. Każdy więc stara się o to, aby w drodze nie zatrzymywało jego

pochodu znużenie ludzi lub choroby, a mianowicie ospa, która w tych okolicach czyni straszne spustoszenia. Portugalczyk Urdaks wiedział o tym wszystkim i postępował bardzo roztropnie, czuwając troskliwie nad swymi ludźmi. Każda jego wyprawa do Afryki środkowo-południowej opłacała mu się sowicie.

I obecna dostarczyła mu obficie kości słoniowej, którą zdobył po za rzeką Bahar-el-Abiad, prawie na granicy Darfuru.

Pod cieniem wspaniałych drzew karawana rozłożyła się obozem.

Jan Cort zapytał Urdaksa, czy wybrali odpowiednie miejsce na odpoczynek.

– Doskonale – odpowiedział Portugalczyk – dlatego, że i woły mają tu wyborną paszę.

– Wistocie trawa tutaj gęsta i soczysta – dodał Jan Cort.

– Jabym ją także chętnie chrupał, gdybym miał trzy żołądki, któremi natura obdarzyła zwierzęta przeżuwające – odezwał się wesoło Maks Huber.

– Dziękuję ci za ten przysmak – odparł Jan Cort – wolę ja kawałek mięsa antylopy, upieczonego na węglach, a do tego kawałek suchara i kieliszek wina...

– Do którego możemy domieszać trochę wody z tego czystego strumienia, który płynie ot, tam – dodał Portugalczyk, wskazując rzekę, będącą zapewne dopływem Ubangi.

Toczyła ona swe fale może o kilometr odległości, w stronie zachodniej pagórka.

Naprawdę rozłożono obóz.

Z kłów słoniowych ułożono stos w pobliżu wozu. Rozpalono kilka ognisk z suchych gałęzi. Kamis czuwał nad tym, aby nikomu nic nie brakowało. Podróźni nasi mieli poddostatkiem mięsa z łosia i antylopy, spożywali je świeże lub suszone, gdyż obfitość zwierzyny pozwalała na to, aby sobie nie żałować pożywienia. W powietrzu rozchodził się zapach smażonego mięsa, i wszyscy zaczęli zajadać z apetytem, wywołanym przez ruch i świeże powietrze.

Broń i amunicja pozostała wewnątrz wozu, było tam parę skrzynek z nabojami, fuzje do polowania, karabiny i rewolwery, a wszystko w najlepszym gatunku. Broń była wyłączną własnością Jana Cort, Maksa Huber, Urdaksa i Kamisa.

W godzinę później wszyscy już byli nasyчени i myśleli tylko o spoczynku. Kamis jednak postawił straż z kilku ludzi, aby czuwali nad bezpieczeństwem karawany. Straż ta miała się zmieniać co 2 godziny. W tych pustych i dzikich okolicach trzeba się zawsze mieć na baczności, gdyż ludzie są tam zarówno złośliwi jak zwierzęta. Urdaks był z tym bardzo ostrożny, miał on około lat pięćdziesięciu, lecz był silny, wytrzymały i przebiegły. Trzydziestopięcioletni Kamis był niemniej odważny i przezorny i wielokrotnie przeprowadzał już karawany przez puszcze Afryki.

Dwaj przyjaciele i Portugalczyk zasiedli do wieczery pod cieniem drzewa. Posiłek,

przygotowany przez jednego z krajowców, przyniósł im Lango. Jedząc, rozmawiali, głównie o tym, co ich jeszcze w drodze spotkać może. Mieli jeszcze olbrzymią do przebycia przestrzeń, z tysiąc pięćset lub sześćset kilometrów, na co potrzeba było z pięć lub ze sześć tygodni czasu.

– Niewiadome, co nas jeszcze spotkać może – mówił Jan Cort do swego towarzysza, który pragnął przygód nadzwyczajnych.

Począwszy od granic Darfuru, karawana dążyła do rzeki Ubangi, przebywszy pierwiej wbród rzekę Aukadébé i liczne jej dopływy. Tego dnia karawana zatrzymała się mniej więcej w tym punkcie, gdzie krzyżuje się dwudziesty południk z ósmym stopniem szerokości geograficznej.

– Teraz musimy się skierować w stronę południowo-zachodnią – rzekł Urdaks.

– Zdaje się, że nie moglibyśmy się zwrócić w inną stronę – odpowiedział Jan Cort – gdyż jeśli mnie oczy nie mylą, na horyzoncie ze strony południowej ukazuje się las, którego kresu nie widać ani na wschód, ani na zachód.

– Tak jest, to las olbrzymi – potwierdził Portugalczyk. – Gdybyśmy byli zmuszeni okrążyć go ze strony wschodniej, upłynęłoby kilka miesięcy, zanim pozostawilibyśmy go po za sobą.

– A gdy zwrócimy się na zachód?

– Od strony zachodniej droga jest mniej uciążliwa; nie oddalając się od skraju lasu i nie nakładając wiele drogi, napotykamy rzekę Ubangi.

– A czy przypadkiem nie skrócilibyśmy sobie drogi, gdybyśmy się przedostali przez ten las? – zapytał Maks Huber.

– O! przynajmniej o jakie dwa tygodnie wcześniej stanęlibyśmy u celu podróży.

– A więc dla czego nie mamy się puścić tą drogą?

– Dlatego, że ten las jest nieprzebyty.

– Ależ co znowu?... Skądże nieprzebyty? – pytał Maks Huber, potrząsając głową.

– Być może, iż pieszo można się przez niego przedostać – odparł Portugalczyk – chociaż nie jestem tego pewny, albowiem nikt jeszcze nie odważył się na to; ale chcieć wozami przejechać ten gąszcz leśny, byłoby to bezowocne usiłowanie.

– Mówisz, Urdaksie, że nikt nigdy nie próbował przedostać się przez ten las?

– Może i usiłował, panie Maksie, ale nikomu się to nie udało i zdaje mi się, że w całej prowincji Kamerunu i Kongo nikt nie odważyłby się na tę próbę. Któżby chciał zapuszczać się tam, gdzie niema żadnej ścieżki i przedzierać się przez gąszcz krzaków i cierni? Nie wiem nawet, czy ogień i siekiera otworzyłyby nam drogę przez puszcę, gdyż napotkałoby się jeszcze mnóstwo spróchniałych, powalonych na ziemię pni drzewnych, które stanowiłyby nieprzebytą zaporę.

– Czy doprawdy nieprzebytą, Urdaksie?

– Kochany przyjacielu – rzekł Jan Cort – nie myśl o tym lesie; możemy się nazwać szczęśliwymi, że go ominie. Przyznam ci się, że nie miałbym ochoty przedzierać się przez taki labirynt drzew...

– I nie byłbyś ciekawy dowiedzieć się, co się znajduje w podobnej puszczy?

– A cóż może być, mój Maksie? Czy myślisz, że tam są nieznanne królestwa, zaklęte miasta, lub nieznanne gatunki zwierząt mięsożernych, o pięciu nogach na przykład, albo ludzi o trzech nogach?

– Kto wie, czy tak nie jest, mój Janie?... Jakże bym chciał zapaść się w głąb tego lasu!...

Lango, z oczyma szeroko otwartymi, w których malował się wyraz ciekawości, słuchał tej rozmowy. Widać było, że gdyby Maks Huber chciał się zapaść w ten las tajemniczy, chłopiec bez trwogi i wahania udałby się za nim

– A więc, Urdaksie, nie mamy zamiaru przedzierać się przez ten las, aby dotrzeć do wybrzeży Ubangi!...

– Ależ nie mamy, nie mamy – odparł Portugalczyk – moglibyśmy się narazić na to, żebyśmy się z niego nigdy nie wydostali.

– No, jeśli tak, mój kochany Maksie, to chodźmy spać. We śnie pozwalam ci badać tajemnice wnętrza tego lasu i przedzierać się przez nieprzebyte gęstwiny, ale tylko we śnie, bo na jawie jest to rzeczą niebezpieczną.

– Dobrze, Janie, możesz się śmiać ze mnie dowoli. Ale pamiętam, co powiedział jeden z naszych poetów, tylko doprawdy nie pamiętam który: «Szperać w krainach nieznanach, jest to znajdować zawsze coś nowego.»

– Doprawdy, Maksie? A jakież jest drugi wiersz odpowiadający pierwszemu?

– Zapomniałem go.

– Zapomnij więc i o pierwszym i chodźmy spać.

Była to bardzo rozsądna rada; obydwaj przyjaciele zastosowali się do niej niezwłocznie. Przyzwyczajeni byli sypiać pod gołym niebem, to też woleli przepędzić tę noc pod drzewami, gdzie było chłodniej, niż we wnętrzu wozu.

Jan i Maks owinęli się w kołdry i ułożyli do snu pomiędzy korzeniami drzewa. Lango przytulił się do nich, jak wierny piesek.

Urdaks i Kamis przed udaniem się na spoczynek obeszlą jeszcze cały obóz, aby się przekonać, czy woły są spętane, czy ludzie śpią i czy wygaszono ogniska, z których lada iskierka mogłaby wzniecić pożar, zapalając zeschłe trawy i gałęzie.

Dopełniwszy tego, ułożyli się do snu w pobliżu wozu.

Wkrótce wszyscy zasnęli snem głębokim; zdaje się, że i straż nie oparła się znużeniu, gdyż skoro około godziny dziesiątej ukazały się jakieś podejrzanym ognie na skraju wielkiego lasu, nikt ich nie dostrzegł i nie oznajmił o tym Urdaksowi.

ROZDZIAŁ II

Poruszające się ognie.

Przestrzeń może dwóch kilometrów oddzielała pagórek od puszczy, na której brzegu ukazywały się i poruszały drżące i smolne płomyki. Było ich może z dziesięć, łączyły się one lub rozpierzchały, to znów poruszały się gwałtownie, pomimo, że powietrze było bardzo spokojne. Można było przypuszczać, że banda krajowców rozłożyła się obozem w tym miejscu, oczekując dnia. Ale ognie nie były oznaką obozowiska, gdyż poruszały się kapryśnie na przestrzeni jakich stu sążni, zamiast płonąć w jednym miejscu, co byłoby oznaką, że krajowcy odpoczywają przez całą noc.

Okolice rzeki Ubangi nawiedzane bywają przez pokolenia koczownicze, które tu przyciągają z Adamana lub Bargimi ze strony zachodniej, lub z Ugandy, ze strony wschodniej. Nie można było przypuszczać, aby karawana kupców tak nieoględnie zapalała ognie: jedni tylko krajowcy mogli się zatrzymać w tym miejscu i kto wie, czy nie byli oni usposobieni nieprzyjaźnie względem karawany, śpiącej spokojnie u stóp wzgórza.

Ale choćby im groziła napaść kilkudziesięciu setek krajowców z pokolenia Pahuinów, Fundzów, Chiloux, Bari albo Denka, nikt z pośród naszych podróżnych nie przypuszczał, w tej chwili aby mu mogło grozić jakieś niebezpieczeństwo. Spali spokojnie do godziny w pół do jedenastej w nocy. Posnęli nawet ci, których obowiązkiem było czuwać nad bezpieczeństwem obozu.

Na szczęście Lango się obudził, ale byłby może zasnął natychmiast, gdyby wzrok jego przypadkiem nie był się skierował w stronę południową. Z pod na wpół przymkniętych powiek doznał wrażenia światła, migającego wśród ciemności nocy. Podniósł się, przetarł oczy i rozejrzał się bacznie dokoła...

Nie... nie myli się: ognie, rozsiane na skraju lasu drgały i poruszały się w przestrzeni.

Lango zrozumiał, że karawanie grozi napaść ze strony krajowców. Było to uczucie bardziej instynktowne, niż wyrozumowane. Chociaż rzecz dziwna, że zachowywali się tak nieostrożnie, toć najlepiej uderzyć na wroga znienacka. Oni zwykle tak napadają, a tymczasem nieoględnie zdradzali swoją obecność.

Lango, nie chcąc odrazu zbudzić Maksa i Jana, pełzając, podsunął się do wozu i obudził Kamisa, ukazując mu jednocześnie ognie, błyskające w oddali.

Kamis wstał, przez chwilę przypatrywał się ruchliwym płomykom i głosem silnym zawołał:

– Urdaksie!

Portugalczyk, przyzwyczajony do czujności, zerwał się na równe nogi.

– Co się stało?

Spojrzyj tam – odparł tenże, pokazując mu oświetlony skraj lasu.

– Bacność! – zawołał Urdaks donośnym głosem.

W kilka chwil cała karawana była już na nogach; wszyscy tak byli przejęci grozą położenia, że nikt nie pomyślał o ukaraniu winowajców, którzy posnęli zamiast pilnować obozu. Gdyby Lango nie był się obudził przypadkiem, karawana mogłaby być napadnięta podczas snu.

Maks Huber i Jan Cort obudzili się także i przyłączyli do innych.

Była godzina wpół do jedenastej w nocy; dokoła panowała głęboka ciemność, tylko w stronie południowej migały światła, a było ich około pięćdziesięciu.

– Musi to być jakieś zebranie krajowców – rzekł Urdaks – zapewne Budzosów, którzy wędrują do wybrzeży Kongo i Ubangi.

– Ma się rozumieć, przecież ognie nie rozpały się same przez się – dodał Kamis.

– I nie przechadzałyby się z miejsca na miejsce – rzekł Jan.

– Bezwątpienia – potwierdził Huber – ale pomimo tej iluminacji nie możemy dostrzec ludzi.

– Kryją się zapewne wpośród drzew – rzekł Kamis.

– Banda nie postępuje brzegiem lasu – mówił Maks Huber – lecz mniej więcej trzyma się zawsze razem i w jednym miejscu. Płomienie rozchodzą się i znowu się schodzą.

– Zapewne murzyni wracają do obozowiska – domyślał się Kamis.

– Jakież jest twoje zdanie? – zapytał Jan Urdaksa.

Nie ulega wątpliwości, że będziemy napadnięci – odpowiedział Portugalczyk – musimy więc natychmiast przygotować się do obrony.

– Ale dlaczego ci krajowcy nie napadli nas wprzódy, zanim zdradzili się ze swoją obecnością?

– Czarni ludzie nie są białymi, to znaczy, że nie mają tyle co my rozumu – oświadczył Urdaks. – Jednakże, choć nas nie zaskoczyli zniemacka, niemniej są groźni ze względu na liczbę i krwiożercze instynkty

– Są to pantery, które misjonarzom z trudnością przyjdzie przemienić w jagnięta – rzekł Maks Huber.

– Miejmy się na baczności – ostrzegwał Portugalczyk.

Nieinaczej, trzeba się było mieć na baczności i walczyć do ostatniej kropli krwi, gdyż nie można się spodziewać litości od krajowców z nad Ubangi. Do jakiego stopnia są oni okrutni, trudno to sobie nawet wyobrazić. Najdziksze plemiona Australji, z wysp Salomonowych, z Hebrydów i Nowej Gwinei z trudem wytrzymałyby porównanie z niemi. Środkową Afrykę zamieszkują ludożercy, wiedzą o tym najlepiej ojcowie misjonarze, którzy narażają się na śmierć najstraszliwszą. Tych czarnych ludzi możnaby zaliczyć do rzędu zwierząt o ludzkiej twarzy. Tam, w Afryce południowej, słabość jest występkiem, a siła wszystkim. Pojęcie u dorosłych ludzi jest tam mniej rozwinięte, niż w innych krajach u pięcioletniego dziecka.

Ofiary krwawe w ludziach nie stanowią rzadkich wyjątków w tamtych okolicach. Krajowcy zabijają niewolników na grobie panów, a głowy ich, umieszczone w rozszczepionych gałęziach, odrzucają daleko. Zjadają dzieci, w wieku od dziesięciu do szesnastu lat; wielu wodzów żywi się jedynie taką strawą.

Oprócz tych krwiożerczych instynktów, mają skłonność do grabieży i rabunku. W tym celu przebiegają dalekie przestrzenie, czatują na karawany, napadają na nie, rabują i zabijają. Wprawdzie nie są oni tak uzbrojeni, jak handlarze i podróżni, lecz zwyciężają przewagą liczebną. Przewodniczący karawanie wie o tym, to też unika drogi, któraby go zawiodła pomiędzy wsie takie jak Ngombe, Dara, Kalaka, Taimo i wiele innych, znajdujących się pomiędzy rzekami Aukadépé i Bahar-el-Abiad, dokąd misjonarze jeszcze nie dotarli. Gdzie mogą, ocalają oni biedne istotki od śmierci i wychowują je pod dobroczynnym wpływem cywilizacji chrześcijańskiej.

Dotychczas, przez cały czas wyprawy, Urdaks szczęśliwie unikał spotkania z krajowcami. Kamis zręcznie omijał niebezpieczne okolice. Była więc nadzieja, że i powrót odbędzie się w warunkach równie szczęśliwych. Jeśliby tylko podróżni nasi okrążyli ten las ze strony zachodniej, dostaliby się na prawy brzeg rzeki Ubangi, i postępując z jej biegiem, doszliby do jej ujścia, gdyż wpada ona do rzeki Kongo z prawej strony. Na pobrzeżu Ubangi można już napotkać handlarzy i misjonarzy, a wtedy, mniej już się należało obawiać pokoleń koczujących, które Europejczycy odpychają z wolna do dalekich okolic Darfuru.

Obecnie, zaledwie kilka dni drogi oddzielało ich od rzeki, lecz kto wie, czy tymczasem nie zginą, napadnięci przez przeważającą siłę rabusiów? Można się było tego lękać...

W każdym razie postanowili drogo sprzedać swoje życie i słuchając rozkazów Urdaksa, gotowali się do rozpaczliwej obrony.

Urdaks, Kamis, Jan Cort i Maks Huber uzbroili się jak mogli najlepiej: za pas włożyli pistolety, przez ramię przewiesili ładownice z prochem i kulami, karabiny ujęli w rękę; resztę strzelb i pistoletów rozdali ludziom zaufanym i umięjącym władać bronią.

Urdaks rozstawił swoich ludzi po za pniami drzew, aby ich uchronić od pocisków strzał zatrutych.

Nadśłuchiowano bacznie; lecz żaden hałas nie mącił ciszy nocnej. Widać, że banda czarnych nie wysunęła się z lasu; płomienie ukazywały się bezustanku, to tu, to tam, pozostawiając za sobą smugi

żółtawego dymu.

– Oni palą smolne łuczywo!

– Z pewnością – odpowiedział Maks Huber – ale powtarzam raz jeszcze, że nie rozumiem, dlaczego to robią, jeśli mają zamiar nas napaść...

– Ja tego również nie rozumiem, chociażby nawet nie mieli zamiaru nas napadać – dodał Jan Cort.

W istocie było to niepojęte. Ale nie należy się niczemu dziwić, gdyż wszystkiego można się spodziewać od tych dzikich koczujących plemion, które żyją na wybrzeżach Ubangi.

Pół godziny upłynęło, nie przynosząc żadnej zmiany. Znajomi nasi w obozie mieli się na baczności; pilnowali nie tylko strony południowej, w której połyskiwały tajemnicze ognie, ale tak samo strony wschodniej, zachodniej i północnej, gdyż oddział nieprzyjaciół mógł ich zaskoczyć niepostrzeżenie i napaść zniemacka.

Lecz z tych trzech stron płaszczyzna była pusta, noc zrobiła się ciemna; podróżni, przygotowani na rozmaite niebezpieczeństwa, wsłuchiwali się w szmer najłżejszy.

Trochę później, około godziny jedenastej w nocy, Maks Huber rzekł głosem stanowczym, zwracając się do swoich towarzyszy:

– Trzeba iść rozpoznać, co to za nieprzyjaciel...

– Po co? – odparł Jan Cort – przezorność nakazuje, abyśmy czekali spokojnie tu do rana.

– Czekać... czekać... – oburzył się Maks Huber – przerwano nam w szkaradny sposób sen i mamy czekać beczynn timer jeszcze sześć lub siedem godzin, z bronią w ręku?... Nigdy! lepiej zaraz dowiedzieć się, co nam grozi; jeżeli ci ludzie nie mają względem nas żadnych złych zamiarów, chętnie przespałbym się jeszcze kilka godzin pod osłoną tego drzewa, gdzie było mi tak wygodnie.

– Jakie jest twoje zdanie w tym względzie? – zapytał Jan milczącego dotychczas Portugalczyka.

– Może to i niezła propozycja – odparł – ale trzeba działać bardzo ostrożnie.

– Ja pójdę na rekonensans – rzekł Maks Huber – zaufajcie mi...

– Ja będę panu towarzyszył – dodał przewodnik – jeżeli pan Urdaks się zgodzi...

– Z pewnością, że tak będzie lepiej – rzekł Portugalczyk.

– Ja mogę także przyłączyć się do was – zdecydował się Cort

– Nie, zostań, kochany przyjacielu – odpowiedział Maks Huber. – Dostyc będzie, gdy pójdziemy we dwóch, ja i Kamis. Zresztą nie zapuścimy się dalej, niż wymagać tego będzie konieczność. Jeżeli napotkamy oddział krajowców, dążących w tę stronę, powrócimy jak najspieszniej.

– Ale opatrzcie dobrze broń waszą – upominał Jan Cort.

– Jużeśmy tego dopełnili – odpowiedział Kamis – mam jednak nadzieję, że broń nie będzie nam potrzebna podczas tej wycieczki. Najważniejszą rzeczą jest to, aby nas nie dostrzeżono...

– Ma się rozumieć – dodał Portugalczyk.

Maks Huber i Kamis ruszyli w drogę i w kilka chwil później znajdowali się już po drugiej stronie wzgórza, osłoniętego palmami. Rozciągająca się przed nimi płaszczyna nie wydawała się im tak ciemną, jak przestrzeń zajęta na obozowisko pod drzewami. Jednakże człowieka nie można dostrzec dalej, jak w odległości stu kroków.

Zaledwie uszli z pięćdziesiąt kroków, gdy spostrzegli Langa obok siebie. Nic nie mówiąc, chłopiec wyszedł za nimi z obozu.

– Dlaczego poszedłeś za nami, mały? – zawołał Kamis.

– Lango – zapytał Maks Huber – dlaczego nie zostałeś w obozie?

– Powracaj natychmiast – rozkazał Kamis.

– O! panie Maks – szepnął Lango – ja z panem... ja z panem...

– Przecież w obozie został twój przyjaciel Jan...

– Tak, ale mój przyjaciel Maks idzie tu...

– Nie potrzebujemy cię – rzekł Kamis szorstko.

– Daj mu pokój... niech już idzie, skoro się wybrał – rzekł Maks Huber. – Przeszkadzać nam nie będzie z pewnością, a może jego oczy, bystre jak u dzikiego kota, odkryją w ciemnościach to, czego my byśmy nie dostrzegli.

– Tak... ja będę patrzył, ja wszystko zobaczę – upewniał chłopiec.

– No, to dobrze! Chodźże obok mnie i dobrze otwieraj oczy – rzekł Maks Huber łagodnie.

W kwadrans później znajdowali się już o kilometr odległości od obozu, kierując się w stronę południową. Ta sama odległość dzieliła ich od lasu.

Ognie błyskały ciągle pomiędzy gęstwiną drzew i w miarę, jak się ku nim zbliżano, rzucały coraz jaskrawsze blaski. Ale pomimo, że Kamis miał wzrok bystry, a Maks Huber był zaopatrzony w doskonałą lunetę, którą wyjął z futerału, pomimo nadzwyczajnej przenikliwości «małego dzikiego kota», jak Maks nazwał Langa, nie można było rozpoznać tych, którzy poruszali temi płonącymi pochodniami. To potwierdziło zdanie Portugalczyka, który twierdził, że światła te poruszały się pod osłoną drzew, po za gęstymi krzakami i szerokimi pniami. Krajowcy nie wysunęli się oczywiście po za linię lasu i może nawet nie mieli tego zamiaru.

Naprawdę był to fakt coraz bardziej niezrozumiały. Jeżeli tam zatrzymali się krajowcy, aby odpocząć i rano wyruszyć w dalszą wędrówkę, to w jakim celu oświetlali skraj lasu?... Jakież obrzęd nocny nie pozwalał im spać do tak późnej godziny?

– Zastanawiam się nad tym – rzekł Maks Huber – czy krajowcy rozpoznali zdaleka naszą karawanę, czy wiedzą, że my rozłożyliśmy się obozem na wzgórzu.

– Być może nie dostrzegli nas. Nadeszli tu o zmroku, a ponieważ nasze ogniska były wygaszone, może nie domyślają się nawet, że obozujemy tak blisko – odpowiedział Kamis. – Jutro, o świcie, spostrzegą nas...

– Kto wie, czy nie odjedziemy przed świtem – rzekł Maks.

Uszli jeszcze z pół kilometru tak, że zaledwie znajdowali się o jakie sto kroków od lasu. Rozglądali się dokoła, nie spostrzegli jednak nic podejrzanego. Żadnej postaci ludzkiej nie było widać, a tym samym nie można było przypuszczać możliwości napadu dzikich. Byli już blisko lasu.

– Czy mamy się zapuszczać jeszcze dalej? – zapytał Maks Huber, gdy się zatrzymali na chwilę.

– Niema potrzeby – odpowiedział Kamis – Byłaby to z naszej strony wielka nieostrożność. Być może, iż dzicy wcale nie spostrzegli naszej karawany, a jeżeli przed świtem wyruszymy w dalszą drogę...

– Chciałbym jednak wiedzieć coś pewnego – rzekł Maks Huber – wszystko to przedstawia się wśród tak dziwnych okoliczności...

Bujna wyobraźnia Francuza była podniecona i zaciekawiona.

– Wracajmy na wzgórze – doradzał Kamis.

Jednakże postąpił jeszcze z pięćdziesiąt metrów za Maksem, którego Lango nie odstępował ani na chwilę i kto wie, czy w ten sposób nie byłiby doszli do skraju lasu, gdyby Kamis nie zatrzymał się nagle.

– Ani kroku dalej! – szepnął cicho.

Jakież nagle niebezpieczeństwo groziło im w tej chwili?... Czyżby ich krajowcy spostrzegli i chcieli na nich napaść?... Jedna tylko rzecz była pewna, mianowicie to, że układ ogni zmienił się w tej chwili.

Przez chwilę ognie znikły po za osłoną pierwszych drzew i ciemność zaległa zupełna.

– Uwaga! – szepnął Maks Huber.

– Wracajmy! rozkazał Kamis.

Ale czy należało się cofać z obawy napadu? Czy też lepiej czekać na nieprzyjaciela z nabitą bronią

w ręku.

Szybko zdecydowali się na drugie, opatrzyli broń, nie przestając badawczo patrzeć w stronę lasu, pogrążonego obecnie w ciemnościach.

Nagle z pośród tych cieniów wytrysnęły znowu światła; było ich ze dwadzieścia.

– Jeśli to nie jest nic nadzwyczajnego, to jednakże bardzo dziwne! – mówił Maks Huber.

Wykrzyknik Maksa był najzupełniej usprawiedliwiony z tego powodu, że pochodnie, które niedawno błyszczały przy samej ziemi, zaczęły teraz płonąć na wysokości od pięćdziesięciu do stu stóp ponad ziemią.

Kto jednak poruszał temi pochodniami, które płonęły raz na górnych, to znów na dolnych gałęziach, jak gdyby płomienny wiatr migał wśród gęstwiny, tego ani Maks, ani Kamis, ani Langa, nie mogli dojrzeć.

– Może to są błędne ognie, które igrają wpośród drzew na skraju lasu? – zawołał Maks Huber.

Kamis potrząsnął głową. Podobne wyjaśnienie tego zjawiska nie zadawalniało go wcale. Nie można było popuszczać, aby to był nadmiar fosforowodoru lub węglowodoru, któryby się objawiał temi powiewnymi płomykami; ukazują się one w tych stronach najczęściej po gwałtownej burzy i czepiają się gałęzi drzew lub boków okrętu. Atmosfera nie była przesycona elektrycznością, a chmury, które okrywały widnokrąg, groziły nie burzą, ale raczej ulewnym deszczem, który często zalewa środkową część czarnego ładu.

Dlaczego jednak krajowcy, obozujący zwykle pod drzewami, wdrapali się teraz na drzewa, a nawet niektórzy na same wierzchołki?... – I dlaczego tam poruszali temi płonącymi smolnemi główniami, których trzeszczenie było już tu słychać?

– Idźmy dalej! – rozkazał Maks Huber.

– Nie trzeba – odpowiedział Kamis. – Zdaje mi się, że żadne niebezpieczeństwo nie grozi dzisiejszej nocy naszemu obozowi. Wracajmy więc, aby uspokoić naszych towarzyszy.

– Uspokoimy ich lepiej, Kamisie, jeśli przekonamy się dokładnie o naturze tego zjawiska.

– Nie, Maksie, nie zapuszczajmy się dalej. Nie ulega wątpliwości, że jacyś dzicy zgromadzili się w tym miejscu... Dlaczego jednak potrząsają temi pochodniami? Dlaczego schronili się na drzewa?... Czy zapalili oni te światła w celu odstraszenia dzikich zwierząt?

– Dzikich zwierząt? – powtórzył Maks Huber. – Ależ gdyby tu w pobliżu znajdowały się pantery, hijeny lub dzikie woły, słyszelibyśmy wycie i ryki, a my słyszemy tylko trzeszczenie palących się pochodni, które grożą wzniesieniem pożaru w lesie. Muszę się przekonać, co to wszystko znaczy.

I Maks Huber postąpił kilka kroków, a za nim Langa i Kamis, nagłący napróżno do powrotu.

Kamis wahał się, co ma czynić, nie mogąc powstrzymać niecierpliwego Francuza.

Nie chcąc go puścić samego, postanowił towarzyszyć mu do skraju lasu, chociaż miał przekonanie, że było to zuchwalstwem, niepotrzebnym narażaniem się na niebezpieczeństwo.

Nagle Kamis zatrzymał się, jak również Maks Huber i Langa. Wszyscy odwrócili się plecami do lasu. Teraz nie tajemnicze ognie zwróciły ich uwagę, gdyż te, jak gdyby zdmuchnięte powiewem nagiego huraganu, pogasły, i głębokie ciemności zaległy horyzont.

Ze strony przeciwnej słychać było szczególny hałas, jakby dalekie, przeciągłe ryczenie lub jakieś sapanie przez nos, które można było porównać do tonów olbrzymich organów kościelnych.

Czyżby to burza groziła z tamtej strony horyzontu, a te stłumione grzmoty byłyby jej zapowiedzią?

Nie, to nie było żadne z tych zjawisk przyrody, które pustoszą Afrykę południową. To charakterystyczne ryczenie zdradzało pochodzenie zwierzęce. Głosy te musiały się wydostawać z olbrzymich paszcz zwierząt, nie zaś z chmur przesyconych elektrycznością. Zresztą na niebie nie było widać płomiennych gzygzaków. Horyzont dokoła był jednakowo zaciemniony. Między drzewami nie błyskało teraz ani jedno światełko.

– Co to jest, Kamisie?

– Wracajmy do obozu – odpowiedział zapytany.

– Cóżby to było?

Nad słuchując bacznie, towarzysze rozróżniali jakieś ostre dźwięki, które niekiedy jak świst lokomotywy przerzynały wrzawę i ryki, coraz wyraźniejsze i bliższe.

– Nie mamy ani chwili do stracenia – rzekł przewodnik – wracajmy co sił starczy.

ROZDZIAŁ III

Rozproszenie.

Maks Huber, Kamis i Langa w dziesięć minut przebyli tysiąc pięćset metrów, dzielących ich od wzgórza. Nic obejrzeli się nawet ani razu po za siebie, nie troszcząc się o krajowców, którzy mogli ich ścigać, zagasiwszy ogień. Ale w stronie lasu panowała cisza, tylko z przeciwnej strony słychać było wrzawę i hałas

W obozie panowało przerażenie. Niebezpieczeństwo, które zagrażało, było tego rodzaju, że ani odwaga, ani rozum, nic tu poradzić nie mogły... Uciekać przed nim także było zapóźno.

Maks Huber i Kamis połączyli się z Janem Cort i Urdaksem, którzy czekali na nich o pięćdziesiąt kroków przed wzgórzem.

- To stado słoni pędzi w tę stronę! – zawołał Kamis.
- Tak – odpowiedział Urdaks – za kwandrans będą tutaj.
- Uciekajmy do lasu – rzekł Jan Cort.
- Las ich nie powstrzyma w biegu – zrobił uwagę Kamis.
- A krajowcy? – zapytał Cort.
- Nie mogliśmy ich dostrzec – odpowiedzieli Maks Huber.
- Jednakże oni pewno nie wyszli z lasu?
- Z pewnością, że nie!

W dali, może o pół mili, widać było falujące cienie, poruszające się na przestrzeni stu sążni. Przedstawiało się to jak olbrzymi bałwan morski, przerzucający z hukiem swe spienione wody. Odgłos ciężkiego stąpania szedł po uginającym się gruncie i odbijał się drzeniem pod stopami naszych podróżnych. Ryki i gwizdania stawały się coraz przeraźliwsze; syczące oddechy i dźwięki, podobne do uderzeń w drewniane kotły, wrzawą napełniały powietrze.

Ci, którzy podróżowali po Afryce środkowej, porównywają tę wrzawę z hałasem, jaki czyni pułk artylerji, pędzący na pole bitwy, przy przenikliwym głosie trąb.

Można sobie wyobrazić przestrach naszej karawany, której groziło zmiżdżenie przez słonie!

Polowanie na te olbrzymie zwierzęta połączone bywa z wielkim niebezpieczeństwem. Jeżeli się uda zaskoczyć takie zwierzę pojedynczo, odłączone od bandy, do której należy, jeżeli strzał jest pewny i dosięgnie go pomiędzy okiem a uchem, niebezpieczeństwo bywa zażegnane; ale jeżeli stado składa się choćby z sześciu sztuk tylko, należy przedsięwziąć jaknajwiększe ostrożności. Wobec pięciu lub sześciu par rozgniewanych słoni wszelki opór bywa niemożliwy.

A jeżeli setki tych potężnych, gruboskórych zwierząt rzucą się na obóz, a tak liczne stado nie bywa rzadkością, wtedy nic nie zdoła powstrzymać ich biegu, tak, jak nic nie zdoła powstrzymać spadku śnieżnej lawiny, lub oberwania się skały, strącającej okręty w wodne otchłanie.

Ale pomimo tego, że słonie są dziś jeszcze liczne w tej części świata, znikną one jednak wkrótce. Ponieważ każdy słoń dostarcza za sto franków kości słoniowej, Europejczycy polują na nie zawzięcie. Według obrachunku pana Fou rocznie zabijają około czterdziestu tysięcy słoni na lądzie afrykańskim, co dostarcza siedemset pięćdziesiąt tysięcy kilogramów kości słoniowej, wysyłanej przeważnie do Anglii. Jeśli tak dalej pójdzie, wyginą one zupełnie. Czyżby nie lepiej było przyswajać te zwierzęta do posług domowych? Toć jeden słoń zdolny jest udźwignąć trzydziestu dwóch ludzi i odbywać bez znużenia dalekie podróże? Oprócz tego słoń oswojony wart byłby tak, jak w Indjach, od tysiąca pięćset do dwóch tysięcy franków, zamiast stu franków, których dostarcza po zabiciu. A nadto słonie żyją bardzo długo, jakąż więc korzyść z tego zwierzęcia żyjącego!

Słoń afrykański i słoń azjatycki stanowią dwa podobne gatunki. Istnieją pomiędzy nimi pewne różnice; słonie afrykańskie są mniejsze od azjatyckich, mają ciemniejszą skórę i bardziej wypukłe czoło; uszy ich są szersze, a kły dłuższe, z usposobienia są dziksze i bardziej nieprzystępne.

Podczas obecnej wyprawy Urdaks i jego towarzysze mogli sobie wieszować powodzenia; na ziemi libijskiej jest jeszcze dużo słoni; przestrzeń Ubangi są dla nich wybornym schronieniem, ciągną się tam bowiem lasy i błotniste płaszczyny, które słonie niezmiernie lubią. Żyją one w gromadach, pod wodzą starego przewodnika. Zwykle Urdaks i jego towarzysze zapędzali słonie w ogrodzenia, przygotowywali zasadzki, polowali na nie, skoro napotkali je oddzielnie. Wyprawy wiodły im się świetnie. Ale teraz stado zmiażdży ich z pewnością.

Gdyby Urdaks miał czas pomyśleć o środkach ratunku wobec tego niebezpieczeństwa, możeby jeszcze ocaleli, ale on dotychczas lękał się tylko napaści krajowców... Teraz z obozowiska pozostaną tylko szczątki i pył... Należało zastanowić się nad tym, czy nie lepiej, aby się wszyscy rozproszyli po płaszczynie, czy też pozostali w miejscu?... Nie należy zapominać, że słonie biegają bardzo szybko, szybciej niż koń w galopie.

– Trzeba uciekać, uciekać w tej chwili! – zawołał szybko Kamis.

– Uciekać? – powtórzył Urdaks.

Nieszczęśliwy kupiec zrozumiał, że uciekając, straci całą zdobycz, tak drogo nabytą. Ale pozostać w obozie było także niepodobieństwem.

Maks Huber i Jan Cort czekali na decyzję, postanawiając zastosować się do niej bez oporu.

Stado słońi zbliżało się z taką wrzawą, że trudno było rozmawiać.

– Trzeba uciekać jak najprędzej! – wołał Kamis.

– W którą stronę? – zapytał Huber.

– W stronę lasu.

– A krajowcy?

– Z ich strony mniejsze zagraża nam niebezpieczeństwo, niż ze strony słońi.

I w istocie należało uciekać w głąb puszczy. Lecz czy starczy na to czasu?... Czy zdołają przebiec dwa kilometry, gdy słońie znajdują się o kilometr odległości?

Wszyscy czekali na rozkaz Urdaksa, który ociągał się.

Wreszcie zawołał:

– Wóz, wóz, ukryjmy go po za wzgórzem! Może go ocalimy w ten sposób!

– Już zapóźno – odparł Kamis.

– Czyń to, co ci każę! – zawołał gniewnie Urdaks.

– Jakżeż sobie poradzę – odparł Kamis – toć woły zerwały krępujące je pęta i uciekają przed stadem słońi.

Zobaczywszy to, Urdaks zawołał, zwracając się do swych ludzi:

– Chodźcie tu!

Ale i oni uciekali już w popłochu.

– Podli! – krzyknął Jan Cort.

Czarni, nie tylko że ratowali się ucieczką, ale zrabowali co się dało, paczki, tłomoki i kły słoniowe.

Nikczemni opuszczali swojego wodza i okradali go w dodatku.

Nic już nie można było liczyć na tych ludzi, oni się nie wrócą, gdyż łatwo znajdą schronienie w którejkolwiek wiosce krajowców.

Z całej karawany pozostali tylko: Urdaks, Kamis, Maks, Jan i Langa.

– Wóz!... wóz!... – powtarzał Urdaks, który upierał się koniecznie, aby wóz ukryć za wzgórzem.

Kamis wzruszył ramionami, posłuchał jednak rozkazu i z pomocą Maksa i Jana pchnął wóz pod drzewa.

– Może uniknie zagłady, jeżeli stado rozdzieli się na dwie części.

Ale ponieważ to zajęło trochę czasu, było już zapóźno, aby Portugalczyk i jego towarzysze dostali się do lasu.

Kamis zwrócił pierwszy na to uwagę.

– Na drzewa! – zawołał.

W istocie był to jedyny środek ratunku, ukryć się pomiędzy gałęziami olbrzymich konarów, aby uniknąć natarcia straszliwych zwierząt.

Przedtym jeszcze Maks i Jan z pomocą Urdaksa i Kamisa pobiegli do wozu i zabrali kule, proch i broń; oprócz tego Kamis schwycił siekierę i tykwę. Może uda im się przebyć dolne okolice Ubangi i dostać się do nadbrzeżnych faktorji.

– Kwadrans na dwunastą – rzekł Jan Cort, oświecając zegarek zapalką.

Zimna krew nic opuszczała go, pomimo że zdawał sobie doskonale sprawę z grożącego niebezpieczeństwa.

Było to położenie bez wyjścia, jeśli słonie nie zбочą na lewo lub na prawo.

Maks Huber, bardziej nerwowego usposobienia, przechadzał się szybkimi krokami tam i na powrót przed wozem, wpatrując się w falującą masę, na jaśniejszym tle nieba.

– Na te słonie trzebaby chyba artylerji! – szepnął

Kamis nie zdradzał się zupełnie ze swemi uczuciami. Posiadał on tę zadziwiającą zimną krew Afrykanina. Jak wiadomo, mają oni krew gęściejszą, niż ludzie biali, ale zarazem mniej czerwoną. Z tego powodu wrażliwość ich jest mniej rozwinięta, a ciało ich mniej podlega cierpieniom fizycznym.

Za pasem miał dwa rewolwery, w ręku nabitą fuzję i czekał.

Urdaks, zrozpaczony do najwyższego stopnia, więcej myślał o finansowej stracie, aniżeli o niebezpieczeństwie chwili obecnej, jęczał, wzdychał i przeklinał w swym języku rodowitym.

Langa stał przy Janie Cort i patrzył się na Maksa. Nie lękał się on niczego od chwili, gdy jego przyjaciele byli obok niego.

Wrzawa wzrastała z każdą chwilą. Ryki i świsty potęgowały się ciągle; w powietrzu czuć było ruch i niepokój, jakby wicher zrywał się przed burzą. W odległości czterechset lub pięciuset kroków, w szarym zmroku nocy, słonie przybierały olbrzymie, potworne kształty. Moznaby je porównać do apokaliptycznych smoków, których trąby, jak tysiące węży wiły się z konwulsyjną szybkością.

Należało coprędzej schronić się na drzewa, a może słonie przebiegną, nie spostrzegszy ludzi.

Drzewa, które tu rosły, wznosiły swoje konary o sześćdziesiąt stóp po nad ziemią. Były one podobne do drzew orzechowych, gałęzie ich pokręcone kapryśnie, rozrzucały się na wszystkie strony. Tamaryszki są rodzajem drzew daktylowych, pospolitych w całej Afryce. Sok z ich owoców służy krajowcom za napój chłodzący, a owoce mieszają z ryżem, szczególnie w prowincjach nadbrzeżnych.

Drzewa te rosły blisko siebie, tak, że można było przejść z jednego na drugie.

U dołu pnie miały objętość od trzech do czterech stóp, przy rozgałęzieniu zaś – od dwóch do trzech stóp objętości. Czy grubość tych pni stanowić będzie dostateczny opór dla słoni? Pnie były gładkie, aż do miejsca, gdzie rozchodziły się gałęzie, mniej więcej na wysokości trzydziestu stóp po nad ziemią. Nie było więc rzeczą tak łatwą dostać się na te gałęzie, ale Kamis miał rzemienie mocne i giętkie ze skóry nosorożca. Używał on ich do zaprzęgania wołów.

Za pomocą tych rzemieni Urdaks i Kamis dostali się na drzewo, a za nimi Maks Huber, Jan Cort i Langa.

Słonie były już teraz zaledwie o trzysta metrów. Za trzy minuty dopadną do wzgórza.

– Drogi przyjacielu, czy jesteś zadowolony? – zapytał Jan Cort swego towarzysza.

– Nie wiem, nic nie wiem, Janie!

– Będzie to rzecz nadzwyczajna, jeżeli wyjdziemy zdrowo i cało z dzisiejszej przygody.

– Masz słuszość, Janie! Lepiej byłoby dla nas, abyśmy nie byli narażeni na napaść słoni, które zwykle szorstko obchodzą się z ludźmi.

– To nie do uwierzenia, mój kochany Maksie, jak my się zgadzamy w zdaniach.

Odpowiedzi Maksa Jan już nie dosłyszał, w tej chwili bowiem rozległy się ryki pełne przerażenia i bólu, które mogły dreszczem przejąć ludzi najodważniejszych.

Rozchyłając nieco liście, Urdaks i Kamis spostrzegli, jaka scena rozgrywała się o sto kroków od wzgórza.

Woły, które uciekły z obozowiska, zaczęły pędzić w stronę lasu, ale ponieważ bieg ich był o wiele powolniejszy, słonie cwałujące na przodzie wkrótce się z nimi zrównały. Zawrzała walka. Woły broniły się kopytami i rogami, lecz wkrótce padły. Z całego zaprzęgu pozostał tylko jeden wół, który schronił się pod drzewo pobliskie.

Za nim podążyły słonie i w kilka chwil z biednego wołu pozostała tylko krwawa, bezkształtna masa, którą rozjuszone zwierzęta rozrywały stalowymi kopytami. Słonie dokoła otaczały wzgórze. Teraz nie można się było ludzi nadzieją, że zwrócą się w inną stronę.

Wóz także przewróciły i zdruzgotały.

Urdaks klął zawzięcie, ale to nie odstraszało zwierząt, nie ulękły się one nawet wystrzału, którym powitał Kamis słonia, czepiającego się trąbą drzewa. Kula ześliznęła się po skórze olbrzymiego zwierzęcia, nie uczyniwszy mu szkody. Obliczywszy nawet, że każda kula położyłaby trupem jedno zwierzę, możnaby przypuszczać, że się część tych zwierząt wystrzela. Ale jeśli nie każda trafi? A nietrudno napotkać na równinach Afryki południowej stada słoni liczące do tysiąca sztuk i więcej.

Jakimże sposobem marzyć o ocaleniu?

– Fatalne położenie! – rzekł Jan Cort.

– Okropne! – dorzucił Maks Huber.

A zwracając się do Langa, przytulonego obok niego na gałęzi, zapytał:

– Nie boisz się?

– Nie, przyjacielu Maksie!... Przy tobie nie lękam się niczego – odpowiedział Langa.

A nie byłoby dziwne, gdyby młody chłopiec się obawiał, skoro w mężczyznach serca drżały. Słonie z pewnością dostrzegły już ludzi ukrytych pomiędzy gałęziami drzew i przysuwały się coraz bliżej, zacieśniając krąg, jaki tworzyły. Zwierzęta, znajdujące się najbliżej, usiłowały trąbami uchwycić za gałęzie drzew, ale nie mogły tego dokazać, gdyż te wznosiły się o jakie trzydzieści stóp po nad ziemią.

Cztery wystrzały karabinowe dały się słyszeć jednocześnie, lecz dane one były na chybił trafił, gdyż z powodu nieprzeniknionych ciemności nie można było dobrze celować.

Rozległy się gwałtowniejsze wycia, hałas wzmógł się jeszcze, ale żaden chyba słoń nie był śmiertelnie raniony.

Zresztą cóżby znaczyła strata czterech zwierząt wobec takiego stada?

Tymczasem słonie zaczęły chwycić trąbami pnie drzew i nacierać na nie całą siłą swych cielsk olbrzymich. Chociaż drzewa miały grube pnie, czuć jednak było ich drżenie.

Znowu rozległy się wystrzały.

Strzelali Urdaks i Kamis, którym silne wstrząśnienie drzewa groziło upadkiem. Maks i Jan nie strzelali wcale.

– Na co się to przyda? – rzekł Cort.

– Lepiej byłoby zachować proch i kule – wtrącił Maks Huber. – Później mogliśmy żałować tego, że tu wystrzelaliśmy naboje.

Drzewo, na które schronił się Urdaks i Kamis, trzeszczało straszliwie. Słonie szarpały je kłami i nogami, wstrząsały trąbami.

Pozostać dłużej na tym drzewie było niepodobieństwem.

– Uchodźmy stąd! – zawołał Kamis, usiłując przedostać się na gałęzie drzewa sąsiedniego.

Urdaks stracił przytomność; strzelał, nie celując, a kule ześlizgiwały się po twardej skórze zwierząt, jak po skorupie aligatora.

– Uchodźmy! – powtórzył Kamis.

W chwili, gdy słonie najsilniej potrząsały drzewem, Kamis chwycił za gałąź sąsiedniego drzewa, na którym siedział Maks, Jan i Langa, a które było mniej zagrożone.

– Gdzie Urdaks? – zapytał Jan Cort.

– Nie chciał pójść za mną – odpowiedział Kamis – on już sam nie wie co robi.

– Nieszczęśliwy, może spaść z drzewa!...

– Nie możemy go tak pozostawić – rzekł Maks.

– Trzeba go tu przyciągnąć, pomimo jego oporu – dodał Cort.

– Już zapóźno! – odparł ze zgrozą Kamis.

Drzewo złamało się i runęło na ziemię.

Co się stało z Urdaksem, jego towarzysze nie wiedzieli, ale okropne krzyki dowodziły o straszliwej walce ze śmiercią.

Wkrótce wszystko ucichło, obwieszczając zgon nieszczęśliwego człowieka.

– Biedny!... nieszczęśliwy!... – szeptał Jan Cort.

– I nas wkrótce to samo czeka – rzekł Kamis.

– Co za szkoda! – odpowiedział z zimną krwią Maks.

A jednak co zrobić?... Słonie wstrząsały drzewami, które tak drżały, jakby pod podmuchem huraganu... Naszych podróżnych czekał bezwątpienia taki sam koniec, jak Urdaksa.

Zejsć z drzewa i uciec przed stadem słoni było niemożliwością. A choćby nawet jakimś niepojętym sposobem można się było dostać do lasu, to uciekający wpadliby z pewnością w moc krajowców, niemniej okrutnych od zwierząt.

Mimo to korzystaliby bez wahania ze sposobności schronienia się do lasu, gdyby tylko taka

sposobność im się nadarzyła; rozsądek bowiem nakazywał lękać się mniej niebezpieczeństwa przypuszczalnego, niż oczywistego.

Drzewo zaczynało się chwiać na wszystkie strony, siedzący na nim obawiali się, że trąby słońców wkrótce uchwycą za gałęzie. Wstrząśnienia były tak silne, że Jan, Maks i Kamis w każdej chwili lękać się mogli upadku.

Maks prawą ręką trzymał się drzewa, lewą przyciskał do siebie Langa.

– Albo korzenie pękną, albo pień się złamie – rzekł Maks.

A w myśli dodał:

– Upadek, to śmierć niechybna...

Inni myśleli to samo.

Wreszcie korzenie pękły, ziemia się poruszyła i drzewo pochyliło się lekko na wzgórze; nic upadło jednak gwałtownie, lecz zwolna się chyliło.

– Do lasu!... do lasu! – zawołał Kamis.

Instynktownie słonie cofnęły się z miejsca, na które drzewo upadło, tworząc lukę i umożliwiając przejście.

– Na ziemię i uciekajmy! – krzyknął Kamis.

Jan, Maks i Langa szybko zastosowali się do tego rozkazu i zaczęli biec, co im sił starczyło.

Przez kilka minut rozgniewane zwierzęta nie spostrzegły uciekających. Maks, trzymając Langa, biegł o ile mógł najprędzej.

Jan Cort trzymał się tuż obok niego, gotów strzelać z karabinu do zbliżających się zwierząt.

Zaledwie ubiegli z pół kilometru, gdy kilka słońi, oderwawszy się od gromady, zaczęło ich ścigać.

– Odwagi!... odwagi!... – Wołał Kamis. – Uciekajmy! Dostaniemy się z pewnością do lasu!

Langa czuł, że Huber jest już zmęczony.

– Puść mnie!... puść!... przyjacielu Maksie. Ja mam dobre nogi... puść mnie!

Maks nie słuchał go, tylko pośpieszał i usiłował nie pozostawać w tyle za innymi.

Przebiegli jeszcze jeden kilometr, gdy siły zaczęły ich opuszczać, biegli już wolniej... Brakowało im tchu, nie mogli oddychać...

Las był odległy zaledwie już o jakie kilkaset kroków, a w nim czekało ich pewne ocalenie.

– Prędej!.. prędej!... powtarzał Kamis. – Panie Maksie, daj mi pan rękę Langa!

– Nie, Kamisie, ja go lepiej wolę sam donieść.

Jeden słoń był już o jakie pięćdziesiąt kroków za nimi. Ryczał i świstał, czuć już nawet było gorący jego oddech.

Ziemia drżała pod jego nogami.

Jeszcze chwila, a dosięgnie Maksa, który z trudem starał się biec równie prędko, jak jego towarzysze.

Wtedy Jan Cort zatrzymał się, odwrócił, i zmierzwszy z karabinu, strzelił.

Celował dobrze, kula trafiła w serce, zwierzę upadło martwe.

– Szczęśliwy strzał – rzekł Jan Cort i zaczął znowu uciekać.

Zwierzęta, które nadbiegły za pierwszym słońcem, zatrzymały się nad martwym towarzyszem.

Z tej zwłoki skorzystali uciekający.

Lecz całe stado, zniszczywszy wszystkie drzewa na wzgórzu, pędziło ku lasowi.

Teraz nie było widać żadnego ognia, ani przy ziemi, ani u wierzchołków drzew. Ciemność zalegała dokoła

Uciekający nie mieli już sił.

– Dalej!... dalej!.. – zachęcał Kamis.

Pięćdziesiąt kroków dzieliło ich od lasu, ale o czterdzieści za nimi znajdowały się słonie.

Instynkt zachowawczy zmusił ich do ostatecznego wysiłku.

Kamis, Maks i Jan wpadli pomiędzy pierwsze drzewa i nawpół żywi osunęli się na bujną trawę.

Słonie chciały się dostać do lasu, lecz drzewa rosły tak gęsto i były takie mocne, że zatrzymały ich zapędy. Wsuwały trąby przez otwory w gąszczu, ale dalej postąpić nie mogły. Uciekający nie potrzebowali się już lękać napaści słoń, dla których wielki las Ubangi stanowił nieprzezwyciężoną zaporę.

ROZDZIAŁ IV

Postanowienie.

Zbliża się północ. Pozostawało więc przepędzić jeszcze sześć godzin w zupełnej ciemności, w gęstym lesie. Ciemność była tu większa, niż na równinie i obawa niebezpieczeństwa potężniejsza.

Kamis i jego towarzysze nie potrzebowali się już lękać napaści słoń, których wojownicze instynkty powstrzymał gąszcz leśny, lecz światła dostrzeżone na początku nocy upewniały ich, że krajowcy muszą się znajdować w pobliżu.

Wtedy Kamis, odetchnąwszy nieco, szepnął:

– Czuwajmy!...

– Czuwajmy i starajmy się odeprzeć napaść – powtórzył Jan Cort. – Krajowcy nie mogą być daleko, oni mniej więcej musieli tu odpoczywać. O! Widzicie! znalazłem nawet przygaszone ognisko, z którego jeszcze ulatują iskierki...

Rzeczywiście, o kilka kroków dalej, pod drzewem, dogasało ognisko, rozsiewając chwilami czerwonawe blaski.

Maks Huber podniósł się z ziemi i wzięwszy w rękę nabity karabin, znikł w gęstwinie. Jan i Kamis czekali na niego z trwożnym biciem serca, gotowi w każdej chwili rzucić mu się na pomoc.

Nieobecność Maksa nie trwała dłużej nad trzy albo cztery minuty

– Nie dostrzegłem, ani posłyszałem nic podejrzanego – rzekł, wracając – nic, coby wzbudzało obawę blizkiego niebezpieczeństwa. Ta część lasu jest pusta, krajowcy musieli przenieść się dalej.

– Może uciekli, zobaczywszy słońce pędzące w stronę lasu? – dodał Jan Cort.

– Być może, gdyż ognie, które ja i Maks spostrzeegliśmy, zagasły natychmiast, skoro ryczenie dało się słyszeć w stronie północnej. Czy zagasili ognie przez przeczność, czy przez bojaźń? Chociaż krajowcy powinni się czuć bezpieczni po za osłona drzew... Nie rozumiem więc tego...

– To jest rzeczywiście niezrozumiałe – dokończył Maks Huber – a noc nie jest porą przyjazną do wyjaśnień. Czekajmy cierpliwie dnia. Ja z trudnością mogę się oprzeć potędze snu... Oczy zamykają mi się mimowoli...

– Złą wybierasz porę do spoczynku, mój kochany Maksie – rzekł Cort.

– Bardzo złą, wiem o tem, mój Janie, ale sen nie chce słuhać, tylko rozkazuje... Dobranoc, do jutra!

W kilka chwil później Maks Huber, położywszy się pod drzewem, zasnął snem głębokim.

– Połóż się obok niego Lango – radził Jan Cort. – Ja i Kamis będziemy czuwali do rana.

– Ja sam czuwać będę, panie Janie – odparł Kamis. – Jestem do tego przyzwyczajony, połóż się pan także.

Kamisowi można było ufać, on z pewnością nie zaśnie ani na chwilę. Lango położył się obok Maksa. Jan nie chciał się poddać znużeniu i przez kwadrans jeszcze rozmawiał z Kamisem. Mówili o nieszczęśliwym Urdaksie, którego wszyscy bardzo lubili.

– Nieszczęśliwy stracił przytomność – powtarzał Kamis ludzie go opuścili i okradli... to go bardzo żywo obeszło.

– Biedny człowiek! – szepnął Cort.

Były to ostatnie wyrazy, które wymówił, znużony pochylił się na trawę i zasnął.

Kamis pozostał sam na czatach. Nasłuchiwał pilnie, łowiąc uchem najlżejszy szelest, w rękę trzymał nabity karabin, wzrokiem usiłując przebić ciemności i gotów będąc zbudzić towarzyszy za najmniejszym pozorem niebezpieczeństwa. Czuwał tak aż do świtu.

Co się tyczy Maksa i Jana, to zwrócić musimy uwagę na różnicę ich charakteru. Jan, rodem z Bostonu, był poważny i praktyczny, jak zwykle Amerykanie; nauka geografji i antropologii zajmowała go niezmiernie. Był przytym odważny i nie wahałby się ponieść dla przyjaźni największej ofiary.

Maks pozostał zawsze Paryżaninem, chociaż los przerzucił go w puszcze Afryki. Pod względem przymiotów głowy i serca, nie ustępował w niczym Janowi Cort, lecz nie miał w charakterze swoim tej praktyczności, tak potrzebnej w życiu. Umysł jego uganiał się za nadzwyczajnością i kto wie, czy Maks, idąc za popędem rozbujającej swej wyobraźni, nie popełniłby nieraz szaleństwa, gdyby go nie powstrzymywał rozsądny wpływ jego towarzysza.

Od wyjazdu z Libreville Jan nieraz musiał ostudzać zapał i śmiałość Maksa.

Libreville jest stolicą francuskiej prowincji Kongo i Gabon. Miasto, założone w r. 1859, na prawym brzegu rzeki Gabon, ma przeszło półtora tysiąca mieszkańców. Tu przebywa gubernator, tu znajdują się: szpital, stowarzyszenie misjonarzy, składy węgla i magazyny. Są to wszystko budowle sklecone naprędce i nietrwałe.

O trzy kilometry od Libreville znajduje się wioska, a raczej osada Glass, gdzie rozwijają się faktorje niemieckie, angielskie i amerykańskie.

Tam to właśnie Maks Huber i Jan Cort poznali się przed pięciu, czy sześciu laty i połączyli

węzłem serdecznej przyjaźni.

Rodziny ich prowadziły interesy na wielką skalę z faktorią amerykańską w Glass, a obydwaj młodzi ludzie zajmowali w faktorii znaczne posady. Domy handlowe w Glass dorabiały się majątku, handlując kością słoniową, oliwą, winem palmowym, orzechami i jagodami z Kaffa, które wysyłano na targi Europy i Ameryki.

Przed trzema miesiącami Maks Huber i Jan Cort postanowili zwiedzić tę część Afryki, która się rozciąga na wschód od francuskiej prowincji Kongo i od Kamerunu. Byli oni znakomitemi myśliwymi, przyłączyli się więc do karawany wyruszającej z Libreville właśnie w te okolice, gdzie napotyka się mnóstwo słoni, to jest po za Bahiar i Abiad, aż do granic Baghirmi i Darfuru. Znali oni dobrze przywódcę tej karawany, Portugalczyka Urdaksa, rodom z Loango, który miał opinię kupca zręcznego i szczęśliwego.

Urdaks należał do tego stowarzyszenia myśliwych, polujących na słonie, które Stanley napotkał w Ipoto, pomiędzy rokiem 1887 a 1889, a wtedy, gdy powracali do północnej części Konga. Ale Portugalczyk nie miał tak złej opinii, jak jego współziomkowie, którzy po większej części, pod pozorem polowania na słonie, napadają na ludzi, i którzy, jak twierdzi nieustraszony badacz południowej Afryki, maczają nieraz dłonie we krwi ludzkiej.

Urdaks i Kamis byli ludźmi uczciwymi; można było im zaufać. Wyprawa powiodła im się znakomicie: Jan Cort i Maks Huber, nieprzyzwyczajeni do klimatu, znosili wytrwale niewygody, nieodłączne od podobnej wyprawy. Zeszczupleli trochę, ale wracali zdrowi, gdy fatalne spotkanie stada słoni przerwało dalszą ich podróż. Stracili przywódcę karawany, a mieli jeszcze do przebycia z tysiąc pięćset lub sześćset kilometrów, zanim dostaną się do Libreville.

Wielki las, gdyż tak go nazywał Urdaks, ten las Ubangi, którego przekroczyli granicę, usprawiedliwiał nadaną mu przez Urdaksa nazwę.

Na kuli ziemskiej znajdują się przestrzenie leśne tak wielkie, że rozległością swoją przewyższają obszar wielu krajów europejskich.

Do najobszerniejszych na świecie zaliczają cztery lasy: jeden w Ameryce północnej, drugi w Ameryce południowej, trzeci w Syberji azjatyckiej, czwarty zaś w Afryce środkowej.

Pierwszy z tych lasów ciągnie się w kierunku północnym aż do zatoki północnej i półwyspu Labrador; zajmuje on w prowincjach Kwebek i Ontario, na północ od rzeki św. Wawrzyńca, przestrzeń, mającą długości dwa tysiące siedemset pięćdziesiąt kilometrów, a szerokości sześćset kilometrów.

Drugi las zajmuje w dolinie rzeki Amazonki, na północno zachód Brazylii, rozległość trzech tysięcy trzystu kilometrów na długość, a dwóch tysięcy na szerokość.

Trzeci las rozciąga się na przestrzeni czterech tysięcy ośmiuset kilometrów wzdłuż, a dwóch tysięcy kilometrów wszerz. Tu wznoszą się olbrzymie drzewa iglaste, wysokie na sto pięćdziesiąt stóp. Las ten zajmuje południową część Syberji, począwszy od równin nad rzeką Obem na zachodzie,

aż do doliny Indygiska na wschodzie, i ciągnie się ponad brzegami rzek: Jenissej, Olamka i Lena.

Czwarty olbrzymi las rozpoczyna się przy dolinie Kongo i dosięga źródeł Nilu i Zambezi; zajmuje on przestrzeń jeszcze dokładnie nieokreśloną, ale przypuszczalnie większą, niż trzy wymienione poprzednio. Jest to bowiem olbrzymia część Afryki, znajdująca się po obu stronach równika, na północ od Ogowii i Kongo, na przestrzeni miliona kilometrów kwadratowych, czyli, że ta przestrzeń jest prawie dwa razy większa, niż Francja.

Zamiarem Urdaksa nie było bynajmniej zapuszczać się w tę puszczy, lecz ominąć ją ze strony zachodniej. Zresztą wóz nie byłby się przedostał przez ten labirynt leśny. Choćby nawet przedłużyć podróż o dni kilka, lepiej było iść brzegiem lasu, drogą wygodniejszą, która wiodła na prawy brzeg Ubangi, a stamtąd do faktorji w Libreville.

Teraz położenie się zmieniło. Zmniejszyła się liczba ludzi, ubyły pakunki. Podróżni nasi nie mieli wozu, ani wołów, ani rozmaitych przedmiotów. Z całej karawany pozostało tylko trzech mężczyzn i mały chłopiec.

Nie mieli żadnych środków, któreby im ułatwiły możność przebycia czterystu mil, dzielących ich od wybrzeża Atlantyku.

Jak należało kierować się teraz?

Czy zwrócić się w stronę wskazaną pierwotnie przez Urdaksa? Lecz tę drogę podróżni odbywaćby musieli obecnie w warunkach daleko mniej przyjaznych, albo też pieszo przedzierać się przez las, gdzie mniej można się było obawiać napadu krajowców. Ten kierunek drogi był najkrótszy i doprowadziłby ich do granic francuskiej posiadłości Kongo.

Po obudzeniu się Jana i Maksa należało się najpierw nad tym zastanowić. Kamis czuwał bez przerwy. Nic nie przerywało snu dwu zmęczonych przyjaciół. Kilka razy Kamis z pistoletem w ręku czołgał się pomiędzy krzakami, skoro usłyszał jaki podejrzany szelest. Lecz przekonywał się, że był to szelest zeschniętej gałęzi, lub szum skrzydeł nocnego ptaka, uderzającego o drzewa; to znów stąpanie jakiegoś zwierza i rozmaite inne szmery leśne, wywołane podmuchem wiatru.

Wreszcie o brzasku dnia przyjaciele obudzili się.

– A krajowcy? – zapytał Jan Cort.

– Nie zjawili się wcale – odparł Kamis.

– Czy nie pozostało żadnego śladu po ich przejściu?

– Być może natrafimy na jakiś ślad, panie Janie, ale prawdopodobnie na samym skraju lasu.

– Szukajmy więc!

Poszli wszyscy w stronę równiny.

Wistocie na skraju lasu dostrzegli trawę wygniecioną, na wpół zwęglone szczątki smolnych gałęzi, popiół, w którym tlały jeszcze iskierki, cierniowe krzaki, które się paliły i wygasaly; nigdzie jednak nie było widać żadnej istoty ludzkiej, a znajdowali się właśnie w tym miejscu, gdzie przed sześciu godzinami błyskały ruchome ognie.

– Odeszli – rzekł Maks Huber.

– Tak – potwierdził Kamis. – Zdaje się, że niemamy się czego lękać.

– Jeżeli krajowcy odeszli – wtrącił się do rozmowy Jan Cort, – słonie nie poszły za ich przykładem.

Wistocie, olbrzymie gruboskóre zwierzęta błakały się na skraju lasu. Niektóre usiłowały przedostać się przez gąszcz leśny. Z miejsca, na którym znajdowali się nasi podróżni, widać było wzgórze, gdzie poprzednio rozłożyli się byli obozem. Drzewa tam były obalone i zdruzgotane, a wzgórze spłaszczone nogami słoni.

Kamis radził, aby się nie wychylać z gęstwiny, gdyż w ten sposób słonie może się oddalać.

– Gdybyż tak się stało – rzekł Maks Huber – moglibyśmy przynajmniej powrócić do obozowiska i pozbierać niektóre rzeczy. Może znaleźlibyśmy jeszcze jakie zapasy żywności, lub ładunki.

– I moglibyśmy pogrzebać nieszczęśliwego Urdaksa – dodał Jan Cort.

– Nie można o tym marzyć, dopóki w tej okolicy blakają się słonie – odpowiedział Kamis. – Zresztą pewno wszystko jest tam rozbite na miazgę.

Uwaga ta była słuszną, a ponieważ słonie nie miały zamiaru się oddalać, podróżni więc wrócili do miejsca, gdzie tlało jeszcze ognisko, aby się naradzić, co czynić należało.

Zanim doszli do ogniska, Maks upolował piękną sztukę zwierzyny, która mogła im służyć za pożywienie przez dwa lub trzy dni.

Była to „injala”, rodzaj antylopy, okrytej szarą, miękką sierścią, wpadająca miejscami w kolor brunatny. Zwierzę to jest duże i ma rogi skrócone spiralnie. Kula położyła je na miejscu. Injala ważyła ze dwieście funtów. Widząc, że zwierzę pada, Lango pobiegł za nim, jak młody psiaczek. Ale nie mógł udźwignąć tak ciężkiej zdobyczy i trzeba mu było dopomóc.

Kamis, wprawny w tego rodzaju zajęciu, z pomocą noża zdarł skórę ze zwierzęcia i poćwiartował je, wybierając części odpowiednie na pożywienie, następnie przeniósł je bliżej ogniska. Jan Cort dorzucił do ogniska suchych gałęzi, a gdy ogień zapłonął, położył na nim mięso injali.

Bardzoby się teraz przydały konserwy i biszkopty, których znaczny zapas posiadali w skrzyniach, lecz część zabrali pewno tragarze uciekając, resztę zniszczyły słonie. Na szczęście, lasy Afryki Środkowej obfitują w zwierzynę, dobry myśliwy zatem nie obawia się głodu.

Była tylko obawa, aby nie zabrakło kul i prochu. Jan, Maks i Kamis mieli karabiny i rewolwery,

należało więc oszczędzać zapas ładunków. Otóż po obliczeniu przekonali się, że posiadają tylko pięćdziesiąt nabojów. Niewielki to zapas, zwłaszcza, gdy byli zmuszeni bronić się od napaści dzikich zwierząt lub krajowców. Dostawszy się nad rzekę, łatwiej już mogli się wyżywić, zatrzymując się w wioskach lub osadach misjonarzy, albo zbliżając się do statków, przepływających po rzece, będącej jednym ze znaczniejszych dopływów Konga.

Posiliwszy się mięsem z injali, napili się czystej wody z płynącego w pobliżu strumienia i zaczęli się naradzać nad tym, co robić dalej?

– Kamisie – rzekł Jan Cort – Urdaks dotychczas był naszym wodzem. Stosowaliśmy się do jego rad, gdyż mieliśmy do niego zaufanie... Tę ufność przelewamy teraz na ciebie, gdyż pokładamy niemniejsze zaufanie w twoim charakterze i w twoim doświadczeniu. Powiedz, jak nam radzisz postąpić w obecnym położeniu? Z góry zgadzamy się na wszystko...

– Potwierdzam w zupełności zdanie mojego przyjaciela – dodał Maks Huber.

– Ty znasz ten kraj, Kamisie – mówił Jan Cort – od wielu lat bywasz przewodnikiem w karawanach, przewodnikiem uczciwym i przywiązanym. Odwołujemy się więc do tego przywiązania i wierności, i wiemy, że one nas nie zawiodą.

– Panie Janie, panie Maksie, możecie liczyć na mnie – odpowiedział z prostotą Kamis.

I uścisnął wyciągnięte dłonie przyjaciół i małego Lango.

– jakie jest twoje zdanie? – zapytał Jan Cort. – Czy mamy się stosować do projektu Urdaksa, czy też go zaniechać? Radził on, abyśmy obeszli las ze strony zachodniej.

– Nie, musimy się zapuścić na wskroś przez las – odpowiedział bez wahania Kamis. – W lesie nie będziemy narażeni na przykre spotkania. Być może, w puszczy zajdą nam drogę dzikie zwierzęta, ale nie napotkamy krajowców, gdyż ani Pahuini, ani Denkasowie, ani Fudowie, ani Bugosi, ani żadne z plemion Ubangi, nie zapuszczają się do wnętrza tej puszczy. Karawana z wozami i zwierzętami zaprzęgowymi nie przedostałaby się przez ten las, ale ludzie wędrujący pieszo mogą się przezeń przeprowadzić. Powinniśmy więc kierować się w stronę południowo-zachodnią. Opierając się na sprawozdaniach podróźnych, należy mniemać, że właśnie wielki las dosięga najdalszego swego krańca przy dopływach Ubangi. Należy się przeto kierować przez równiny, rozległe do linii równika. Tu już można napotkać karawany i nie lękać się głodu i trudów dalszej podróży.

Rada Kamisa była bardzo rozsądna. Zresztą droga, którą wskazywał, skracająca przestrzeń wiodąca do rzeki Ubangi. Teraz należało tylko zastanowić się nad przeszkodami, jakie można napotkać w głębi lasu. Należało przypuszczać, że napotka się w lesie jakąś ścieżkę, albo miejsca wydeptane przez dzikie zwierzęta, przez bawoły, nosorożce i inne. Ziemię zapewne zaścielały gęste krzaki. Chcąc torować sobie drogę w takim gąszczu, należałoby mieć siekierę, a tymczasem Kamis miał niewielki toporek, a Jan i Maks tylko noże.

Pozostała jeszcze trudność kierowania się wśród lasu, do którego wnętrza, przez gęste sklepienie z liści, przedzierały się z trudnością promienie słońca.

Lecz u niektórych ludzi, tak, jak u zwierząt, rozwinięty bywa instynkt kierowania się w danej okolicy. Pomiedzy innymi Chińczycy odznaczają się podobnym instynktem, jak również dzikie pokolenia z Far-West; kierują się oni więcej słuchem i powonieniem, aniżeli wzrokiem, i po pewnych oznakach rozpoznają drogę, którą chcą obrać. Kamis posiadał w wysokim stopniu tę zdolność orjentowania się. Nieraz dawał tego dowody. Jan i Maks mogli więc i w tym względzie ufać Kamisowi.

Jan Cort uczynił jeszcze kilka uwag, na które Kamis odpowiedział w ten sposób:

– Panie Janie, wiem, że nie napotkamy w lesie dostępnej ścieżki, przeciwnie, będziemy musieli przedzielać się przez krzaki, ciernie i powalone drzewa. Ale w takim wielkim lesie muszą przepływać strumienie, łączące się z rzeką Ubangi.

– Może nawet łączy się ten strumień, który przepływa z zachodniej strony wzgórza – rzekł Huber. – Strumień płynie w stronę lasu, gdzie może zamienia się w rzekę... A jeśli przypuszczenia nasze nie są mylne, moglibyśmy zbudować sobie tratwę z kilku pni drzewnych, połączonych ze sobą...

– Nie zapuszczaj się tak daleko w swoich przypuszczeniach, drogi przyjacielu – rzekł Cort – i nie pozwalaj swojej wyobraźni bujać na falach rzeki przez ciebie wymarzonej...

– Pan Maks ma słuszość – potwierdził Kamis. – W stronie zachodniej lasu napotkamy jakąś rzekę, która z pewnością wpada do Ubangi...

– Nie przeczę, że tak być może – odpowiedział Cort – ale my znamy te rzeki Afryki; są one po większej części niezdatne do żeglugi...

– Ty widzisz zawsze same tylko przeciwności, mój kochany Janie.

– Lepiej je przewidywać wcześniej, drogi Maksie!

Cort mówił prawdę.

Rzeki mniejsze i większe w Afryce nie przedstawiają takiego ułatwienia komunikacji, jak rzeki Ameryki, Azji i Europy. W Afryce uważane są cztery rzeki za główne: Nil, Zambezi, Kongo i Niger, do których wpada mnóstwo innych rzek i rzeczek, tworzących rodzaj sieci wodnej. Pomimo tego połączenia, rzeki, jak powiedzieliśmy wyżej, nie ułatwiają komunikacji wewnątrz kraju. Przytym napotyka się na nich wodospady i wiry tak gwałtowne, że żaden statek nie odważyłby się je przepływać.

I w tym głównie leży powód, że Afryka Środkowa jest dotychczas tak mało znana.

– Jeżeli napotkamy jaki bieg wody – mówił Kamis – popłyniemy nim, dopóki nie natrafimy na przeszkody; jeżeli przeszkody dadzą się ominąć, to je ominiemy. W przeciwnym razie pójdziemy dalej piechotą.

– Ja się nie sprzecam z tobą, Kamisie – odpowiedział Cort – i jeśli tylko napotkamy jaki dopływ Ubangi, możemy z niego korzystać.

– Zatem w drogę! – zawołał Maks Huber.

W głębi duszy był on zadowolony z tej przeprawy przez las olbrzymi i nieznany. Może tu właśnie napotka owe nadzwyczajności, o których marzył przez trzy miesiące w okolicach górnej Ubangi!

ROZDZIAŁ V

Pierwszy dzień wędrówki.

O godzinie ósmej zrana Jan, Maks, Kamis i Lango wyruszyli w drogę.

Nie mogli określić, gdzie znajdą rzekę, która ich doprowadzi do Ubangi. A może ta rzeka nie płynęła przez puszcze?... Może zwracała się w stronę równiny? Może jej łożysko zawałały skały, lub przecinały wodospady i wiry, które żeglugę czyniły niemożliwą? Znajdowali się w puszczy nieznanej, w lesie nieprzebytym. Jeżeli w gąszczu dostrzec się dadzą ścieżki wydeptane przez dzikie zwierzęta, droga będzie łatwiejsza do przebycia; ale jeśli żelazem trzeba będzie torować sobie drogę?

Lango biegł przodem na zwiady. Jan Cort przestrzegał go, aby się zbytecznie nie oddalał. Głos chłopca ciągle słychać było:

– Tędy!... tędy!... wołał.

I wszyscy dążyli za nim. Kamis znakomicie umiał się kierować w gąszczu leśnym. Zresztą dnia tego słońce świeciło jasno i pomimo gęstego sklepienia liści, można było dostrzec jego kierunek. W miesiącu marcu słońce w tych krajach dobiega do punktu najwyższego, znajdowało się więc obecnie w zenicie, który na tej szerokości geograficznej oznacza linię równika.

Sklepienie z liści było tak gęste, że chwilami panował w lesie półmrok. Jeśliby niebo było zachmurzone, w gąszczu z pewnością panowałyby ciemność.

To też Kamis miał zamiar odpoczywać od wieczora do świtu, chronić się pod drzewami w czasie deszczu, ogień zaś rozpalać tylko wtedy, gdy trzeba będzie upiec kawałek mięsa.

Podróżni nasi, przebywając równiny, ucierpieliby bardzo od upału, tu skwar słońca mniej dokuczać im będzie, byle tylko deszcze nie zaczęły padać. Tego można się było obawiać. W podzwrotnikowych krajach, skoro deszcze zaczynają padać, trwają niemal bez przerwy po kilka tygodni.

Ale od tygodnia, przy zmianie księżyca, niebo wypogodziło się zupełnie, można więc było liczyć na jakie dwa tygodnie pogody.

W tej części lasu, która lekkim, prawie nieznacznym spadkiem pochylała się do wybrzeża Ubangi, grunt nie był błotnisty, dalej jednak, ku południowi, rozciągały się trzęsawiska. Ziemię pokrywała wysoka i gęsta trawa, która utrudniała pochód; tam tylko, gdzie zwierzęta wydeptały trawę, postępowało się nieco swobodniej.

– Szkoda, że słonie nie mogły dostać się do lasu – rzekł Maks – byłyby połamały pnącze, krzaki i ciernie i otworzyły jaką ścieżkę...

– A w dodatku i nas zmiażdżyły – dodał żartobliwie Jan.

– Tymczasem zadowolnijmy się ścieżynami, które porobiły nosorożce i bawoły... Gdzie te zwierzęta przeszły, tam i my przejdziemy.

Kamis znał lasy Afryki środkowej, wędrował już bowiem przez puszcze Kongo i Kamerunu.

To też odpowiadał dość obszernie na zapytania Corta, którego zaciekawiała bujna roślinność podzwrotnikowa.

– Pomędzy temi roślinami jest wiele pożytecznych – mówił Kamis – z których i my możemy korzystać i które wprowadzą pewną różnorodność do naszych uczt, składających się jedynie z pieczonego mięsa.

Mówił prawdę, rosły tu bowiem w obfitości olbrzymie palmy, nadzwyczajnej wysokości mimozy i baobaby, dochodzące do stu pięćdziesięciu stóp wysokości. Piaskowce rosły na dwadzieścia lub trzydzieści stóp wysoko, gałęzie ich były kolczaste, okryte liśćmi szerokimi na sześć albo siedem cali; pod korą tych drzew znajduje się płyn mleczny, orzechy zaś, gdy dojrzeją, pękają i wyrzucają ziarna w liczbie szesnastu. Gdyby Kamis nie posiadał nawet zdolności kierowania się w lesie, to objaśniłyby go w tym razie liście tego krzewu, które rozkładają się tylko na wschód i na zachód.

Brazylijczyk, któryby się zabłąkał w tym podzwrotnikowym lesie, myślałby, że się znajduje w dolinie rzeki Amazonki. Maks Huber gniewał się na krzaki, rosnące tuż przy ziemi, a Jan Cort podziwiał te zielone kobierce i gąszcze, składające się przeważnie z najrozmaitszych gatunków paproci. A w gatunkach drzew co za różnorodność! Stanley w opisie swojej podróży wspomina, że liście drzew Afryki środkowej zastępują tamtejszym mieszkańcom jodły i sosny północy, gdyż są tak wielkie, że krajowcy budują sobie z nich szałas. Jakkolwiek nie są one zbyt twarde, służyć jednak mogą do kilkodniowego odpoczynku. Drzewa mahoniowe rosły także w obfitości, jak również drzewa tak zwane żelazne; to znów takie, które dostarczają farby czerwonej, drzewa mangowe i sykomory, zaliczające się do gatunku jaworów. Rosły tu również dziko drzewa pomarańczowe i figowe, których pień jest biały, jakby wapnem pociągnięty i mnóstwo innych gatunków, dochodzących do olbrzymiej wielkości.

Pomimo że drzewa te rosną gęsto, gałęzie ich i liście rozwijają się bujnie pod wpływem klimatu zarazem gorącego i wilgotnego.

Przejsie wśród drzew, a nawet przejazd byłby możliwy, gdyby nie ljanya, grube jak liny okrętowe, przrzucające się z jednego pnia na drugi i okręcające je wężowemi sploty. Ljanya więc tamowały przejsie, łącząc i płącząc wszystkie gałęzie ze sobą za pomocą długich zielonych łańcuchów.

W gęstwinie gałęzi i liści odbywał się nieustający koncert: śpiewy, krzyki i gruchania od rana do nocy unosiły się w powietrzu. Miljardy ptasich gardziołek wyrzucały z krtani urocze trele, tak

donośne, że niektóre z nich możnaby porównać do gwizdawki okrętowej. Cały ten świat skrzydlaty, papugi, papużki, sowy, dudki, kosy, piękne kardynały i inne ptactwo wrzawą napełniały powietrze, nie licząc kolibrów, które migwały wpośród gałęzi, jak roje pszczół różnobarwnych.

Różne gatunki małp, jako to: pawjany okryte szarym włosem, szympanse, mandryle i goryle, najsilniejsze i najzłośliwsze ze wszystkich małp afrykańskich, wydawały w oddali najrozmaitsze, przeraźliwe krzyki.

Dotychczas nasi podróżni od tych czwororękich zwierząt nie doznawali nic złego. Zapewne byli oni pierwszymi ludźmi, którzy zapuścili się w ten las pierwotny. To też małpy okazywały więcej ciekawości niż gniewu. W okolicach Kongo i Kamerunu byłoby zupełnie inaczej; tam człowiek przebywa już oddawna i małpy oswoiły się już z jego widokiem.

Podróżni nasi odpoczęli raz w południe, a drugi raz o szóstej nad wieczorem. Pochód chwilami mieli niezmiernie utrudniony z powodu gęstwiny, którą tworzyły pnące. Przecinać je i rozrywać było ciężką pracą. Na szczęście często spotykali ścieżki wydeptane przez bawoły i wpośród drzew spostrzegali nawet te zwierzęta, które zawsze groźne są dla człowieka. Polując na nie, trzeba strzelać zblizka i celować między oczy, tak, aby strzał był śmiertelny.

Lecz bawoły trzymały się w oddaleniu, przytym podróżni mieli poddostatkiem mięsa z antylop, a pragnęli zaoszczędzić nabojów i postanowili ani jednego strzału nie zmarnować napróżno.

Kamis obrał na wieczorny spoczynek małą polankę.

W miejscu, gdzie zasiedli, wznosiło się drzewo, wysokie na sto pięćdziesiąt stóp i górujące nad innymi.

Na wysokości sześciu metrów po nad ziemią rozrzucały się duże, szaro-zielone liście i kwiaty, osypane białawym puchem, który spadał jak śnieg dokoła pnia. Było to drzewo bawełniane, dość pospolite w Afryce, którego korzenie wznoszą się ponad ziemią w ten sposób, że można pod nimi znaleźć schronienie.

– Otóż i łóżko gotowe – zawołał Maks Huber – wprawdzie niema materaca na sprężynach, ale również miękko wypaść się można na tej bawełnie.

Za pomocą krzesiwa Kamis rozpałił ogień i posiłek wkrótce przyrządzono.

Po wieczery, zanim ułożyli się do snu pod konarami drzewa bawełnianego, Jan Cort rzekł do Kamisa:

– Jeżeli się nie mylę, to idziemy ciągle w kierunku południowo-zachodnim?

– Tak – odpowiedział Kamis – idziemy w tym samym kierunku, co słońce. Ile razy dostrzegałem słońce, zwracałem się w jego stronę...

– Ile mil możemy przejść dziennie?

– Cztery lub pięć, panie Janie; jeżeli codziennie będziemy mogli przejść taki sam kawał drogi, to w przeciągu miesiąca powinniśmy się dostać do brzegów Ubangi.

– Zdaje mi się, że lepiej liczyć więcej czasu, w przewidywaniu złych przygód.

– Lub też dobrych – podchwycił Maks Huber. – Kto wie, czy nie napotkamy jakiej rzeki, która nam pozwoli odbywać dalszą podróż bez zmęczenia.

– Do tej pory nie wydaje mi się to prawdopodobnym, mój drogi Maksie...

– Dlatego, że niewiele posunęliśmy się w kierunku zachodnim – odezwał się Kamis – i byłbym zdziwiony, jeśliby jutro lub pojutrze...

– Postępujemy tak, jakbyśmy nigdy nie mieli korzystać z żadnej rzeki – rzekł Jan Cort. – Zresztą podróż, mająca trwać trzydzieści dni, jeżeli nie napotkamy nieprzezwycięzonych przeszkód, nie jest znowu rzeczą tak straszną dla takich nieustraszonych strzelców, jakimi jesteśmy ja z Makssem!

– Zaczynam się lękać – dodał Maks Huber – albowiem zdaje mi się, że ten tajemniczy las nie kryje w sobie żadnej tajemnicy.

– Tym lepiej, Maksie!

– Tym gorzej, Janie! A teraz, Lango, chodźmy spać!

– Dobrze, przyjacielu Maksie! – odrzekł chłopczyk, którego oczy kleiły się do snu.

Lango był niesłuchanie znużony, gdyż w drodze nikomu się nie dał wyprzedzić. Trzeba go było zanieść na rękę i umieścić pod drzewem.

Kamis chciał znowu czuwać przez całą noc, lecz towarzysze nie chcieli się na to zgodzić.

– Będziemy się zmieniali co trzy godziny.

Maks Huber zajął pierwsze miejsce przy wygasłym ognisku, podczas gdy Jan Cort i Kamis udali się na spoczynek i ułożyli się na miękkim mchu leżącym z drzewa.

Maks Huber oparł nabity karabin o drzewo, tuż obok siebie i poddał się urokowi tej spokojnej nocy; w gęstwinie leśnej ucichły wszystkie szmery i odgłosy dzienne.

Zaledwie lekki powiew poruszał gałązkami drzew. Promienie księżyca, szybującego wysoko na horyzoncie, przedzierały się przez liście, rzucając drżące, srebrzyste blaski na ziemię. I nie tylko na polance, ale dokoła, jak okiem można było zasięgnąć, wszędzie ślizgało się białe światło księżycowe.

Maks Huber, bardzo wrażliwy na poetyczny urok natury, upajał się nim, wydawało mu się, że śni, a jednakże nie spał wcale. Myślał, że jest jedyną istotą żyjącą wpośród tego świata roślinnego, bo czyż ten wielki las Ubangi nie był światem?

– Chcąc zbadać ostatnie tajniki kuli ziemskiej – rozważał – czyż koniecznie trzeba docierać aż do jego osi? Dlaczego mamy dążyć do odkrycia dwóch biegunów i narażać się na straszliwe niebezpieczeństwa, a do tego spotykać przeszkody niezwalczone? Do czego nas to doprowadzi?... Może do rozwiązania jakiego zagadnienia, dotyczącego meteorologii, elektryczności lub magnetyzmu ziemskiego?... Czy to warto, aby dla takiego powodu dodawać tyle nazwisk w nekrologii, którymi przepełnione są opisy wypraw do północnego i południowego bieguna? Czy nie byłoby rzeczą pożyteczniejszą i bardziej ciekawą, zamiast zapuszczać się na podbiegunowe morza, zwiedzić raczej wnętrza tych pierwotnych lasów i przeniknąć ich dzikie ustronia?... Istnieje wiele takich lasów w Ameryce, Azji i Afryce, w których nie powstała jeszcze stopa żadnego badacza, gdzie nikt nie poczynił jeszcze odkryć i nie miał odwagi zapuścić się w te nieznanne przestrzenie... Nikt jeszcze nie wydarł tym drzewom słowa ich zagadki. Ludzie, zajmujący się w starożytności mitologią, mieli może słuszość, napełniając swoje lasy faunami, satyrami, drjadami i nimfami. Zresztą, stosując się do wskazówek nauki współczesnej, można przypuścić, że w tych przestrzeniach leśnych przebywają istoty nowe, zastosowane do warunków bytu obecnego. W epoce druidycznej czyż Galia nie udzielała przytułku ludom nawpół dzikim, Celtom, Germanom, Ligurom i setkom innych pokoleń, które osiedlały się w miastach i wioskach, zachowując swoje obyczaje i prawa? Wszystkie te pokolenia kryły się w głębi lasów, gdzie ich nie mogła dosięgnąć wszechwładna ręka Rzymian!

Te i tym podobne myśli przesuwały się w głowie Maksa Hubera.

Przecież i tu, w Afryce południowej, legienda opiewała o istotach, znajdujących się na niższym poziomie ludzkości? Kto wie, czy las Ubangi ze strony wschodniej nie dotykał do posiadłości, odkrytych przez Schweinfurta i Junkiera, do kraju Niam-Niamów, owych ludzi podobnych do małp? Henryk Stanley, w północnych okolicach Itury napotkał pigmejczyków, których wzrost nie dochodził metra, a pomimo to byli oni ludźmi dobrze zbudowanymi, o cerze delikatnej i lśniącej, z wielkimi oczami gazelli. Misjonarz angielski Albert Lhyd przekonał się, że pomiędzy Uganda i Kabinda, żyje z dziesięć tysięcy ludzi tego pokolenia; mieszkają oni albo pod gałęziami, albo wprost na gałęziach drzew. Nazywają ich Bambusji. Mają wodza, któremu są posłuszni. W lasach Ndukorbocha, opuściwszy Ipoto, Stanley napotkał pięć wiosek, zamieszkałych przez to lilipucie plemię; później zaś napotkał plemiona Uambuli, Batinasów, Akkasów i Barunhów, których wzrost nie przechodził stu trzydziestu centymetrów, a czasem tylko dziewięćdziesiąt dwa, i którzy ważą najwyżej czterdzieści kilogramów... A jednak plemiona te są inteligentne, przemyślne, wojownicze i groźne, pomimo małego wzrostu i małego kalibru broni, której używają. Plemiona, zamieszkujące nad brzegami górnego Nilu, lękają się ich bardzo.

Uniesiony bujną wyobraźnią i pragnieniem szukania nadzwyczajnych przygód, Maks Huber powtarzał sobie, że w lesie Ubangi muszą znajdować się jakieś typy szczególne, o których etnografowie nie mieli jeszcze pojęcia. Może to byli ludzie, mający jedno tylko oko, jak bajeczni cyklopi, lub nos przedłużający się nakształt trąby, który dozwoliłby zaliczyć ich do rzędu gruboskórych?

Maks Huber pograżył się tak w tych dumaniach naukowo-fantastycznych, że zapomniał o swej roli sztyldwacha. Nieprzyjaciel mógłby się przybliżyć, a Maks nie byłby zbudził Jana i Kamisa.

Nagle drgnął, poczuł że ręka jakaś dotknęła jego ramienia.

– Co to? – zapytał.

– To ja – odparł Jan Cort – czy wziąłeś mnie za dzikiego mieszkańca Ubangi? Nie dostrzegłeś nic podejrzanego?

– Nic...

– Teraz na ciebie kolej, abyś odpoczął, mój drogi Maksie

– Dobrze, ale zdaje mi się, że moje marzenia senne nie będą tak piękne i ciekawe jak te, które śniłem na jawie.

Nadspodziewanie noc ta naszym podróżnym przeszła spokojnie.

ROZDZIAŁ VI

Ciągle w kierunku południowo-zachodnim.

Nazajutrz, jedenastego marca, podróżujący gotowali się znów do drogi. Miał to być drugi dzień ich przeprawy przez puszcze.

Gdy wydostali się z pomiędzy korzeni drzewa bawełnianego, obeszlą najpierw dokoła polankę, przysłuchując się śpiewom ptasząt, których trele mogłyby zawstydzić niejedną włoską śpiewaczkę.

Przed wyruszeniem w drogę przezorność nakazywała zjeść śniadanie, które składało się wyłącznie z zimnego mięsa antylopy i świeżej wody, zaczerpniętej ze strumienia, płynącego w pobliżu. Napełnili również wodą tykwę Kamisa. Potym skierowali się na prawo od polanki, tam, gdzie przebłyskiwały pierwsze promienie wschodzącego słońca.

Oczywiście ta część lasu była zamieszkała przez grubszego zwierza, gdyż w rozmaitych kierunkach krzyżowały się tu ścieżki wydeptane. Wistocie dostrzegli bawoły, a nawet parę nosorożców w gęstwinie, które trzymały się jednak zdaleka od ludzi. Ponieważ zwierzęta te nie okazywały usposobienia wojowniczego, podróżni nie zaczepiali ich, nie chcąc na próżno zużywać kul i prochu. Szli tak do południa i uszli ze dwanaście kilometrów.

Jan Cort ubił parę dropi; są to ptaki z czarnym upierzeniem, odznaczające się mięsem bardzo smacznym.

– Wolałbym jednak, aby mięso było pieczone, a nie przypiekane na węglach – rzekł Maks Huber.

– Nic łatwiejszego! – odpowiedział Kamis.

Oprawiony i oczyszczony drop nadziany został na patyk i upieczony doskonale. Można sobie wyobrazić, z jakim apetytem spożyli go nasi podróżni.

Kamis i jego towarzysze ruszyli w dalszą drogę, lecz w warunkach daleko trudniejszych niż wczoraj.

Ścieżki zniknęły, trzeba było torować sobie drogę wpośród kolących krzaków.

Przez kilka godzin padał deszcz ulewny, lecz gałęzie tworzyły tak gęste sklepienie, że na ziemię ledwie kiedy niekiedy upadła kropla. Skoro jednak podróżni wydostali się na polankę, Kamis napełnił wodą deszczową tykwę, prawie już zupełnie próżną. Od kilku godzin upatrywali źródła i nie mogli go nigdzie znaleźć. To było zapewne powodem, że i zwierząt mniej spotykali w tej stronie, a tym samym i mniej ścieżek wydeptanych.

– Brak strumieni dowodzi, że nie zbliżamy się do żadnej rzeki – rzekł Jan Cort, gdy zatrzymali się na wieczorny odpoczynek. – Rzeka, którą widzieliśmy obok wzgórza, a gdzie rozbiliśmy nasz namiot, skręca oczywiście na zachód, nie wpływając bynajmniej do puszczy.

Pomimo to podróżni postanowili nie zbaczać z raz powziętego kierunku drogi, który miał ich doprowadzić do wybrzeża Ubangi.

– Zresztą – dodał Kamis oprócz strumienia, który widzieliśmy onegdaj, możemy napotkać inny bieg wody. Oby nas doprowadził do Ubangi!

Noc z jedenastego na dwunasty marca podróżni spędzili pod olbrzymim jakimś drzewem, którego pień, gładki od dołu, wznosił się na sto stóp ponad ziemią.

Czuwali, jak zwykle, na zmianę, a sen przerwało im tylko kilka razy ryczenie bawołów i nosorożców. Nie obawiali się usłyszeć ryku lwa w tym nocnym koncercie, gdyż zwierzęta te nie mieszkają w lasach Afryki środkowej. Przebywają one w południowej stronie Kongo i w północnym Sudanie, to jest w okolicach Sahary. Zbyt gęsty las nie odpowiada kapryśnemu charakterowi i niepodległemu usposobieniu króla zwierząt. Potrzebuje on większej przestrzeni, płaszczyzny zalanej promieniami słońca, po której mógłby biegać i gonić swobodnie.

Nie słyhać było również chrząkania hipopotama, które sprawiłoby poniekąd pewną przyjemność naszym podróżnym, gdyż obecność tych wielkich ziemnowodnych zwierząt oznajmiałaby bliskość wody.

Nazajutrz czas był pochmurny, kiedy podróżni nasi wyruszyli w dalszą drogę.

Maks zabił antylopę wielkości osła. Był to gatunek znany, pośredni pomiędzy osłem a koniem; barwa sierści tej antylopy była szara, z czarną pręgą na grzbiecie, ogon długi, zakończony kiścią czarnych włosów, rogi długości metra, kończą się ładnie i przy obsadzie mają po kilkanaście obrączek.

Nawet lew nie łatwo zwycięża to stworzenie; dziś trafny strzał Maksa powalił je na ziemię.

Jan, Maks i Kamis mieli zapewnione pożywienie na dni kilka. Kamis zdarł skórę i poćwiartował antylopę, co zajęło z godzinę czasu, poczym każdemu z towarzyszków dał część mięsa do niesienia.

– Tutaj można się tanio zaopatrzyć w żywność – rzekł Cort – cała antylopa kosztuje tylko jeden nabój.

– No, tak, jeżeli kto strzela celnie.

– Chciałeś powiedzieć szczęśliwie – dodał Maks, który nie lubił się chwalić, jak inni myśliwi.

Dotychczas Kamis i jego towarzysze używali proch i kule tylko w celu zapewnienia sobie pożywienia, ale któż zdoła przewidzieć, co dalej będzie?

Przed południem napotkali mnóstwo małp; biegły one i skakały tuż obok, tak, że Kamis lękał się z

ich strony napadu. Skakały z drzewa na drzewo z nadzwyczajną szybkością, którejby im mógł pozazdrościć niejeden gimnastyk.

Gatunków małp było wiele: jedne, żółte jak Arabowie, inne czerwone jak Indjanie, lub czarne, jak krajowcy z ziemi Kafrów. Te ostatnie są bardzo złośliwe. Pomiędzy nimi są także małpy elegantki, które ciągle są zajęte czyszczeniem i głaskaniem pięknego kołnierza z białego futra, otaczającego ich szyję.

Stworzenia te towarzyszyły naszym podróżnym w pochodzie przez kilka godzin, wreszcie rozproszyły się w gęstwinie leśnej.

Około godziny drugiej po południu, Maks, Jan, Kamis i Langa zwrócili się na dość szeroką ścieżkę, mającą długości kilkanaście kilometrów. Z początku rozkoszowali się tak wygodną drogą, wkrótce jednak przekonali się, że to groźne zwierzęta wydeptały tę ścieżkę.

Była to para nosorożców, chrząkanie których właśnie dało się słyszeć zdaleka. Kamis dał znak swoim towarzyszom, aby się zatrzymali

– Nosorożce – to złe zwierzęta – rzekł, opatrując karabin.

– Bardzo groźne – potwierdził Maks Huber.

– Nosorożca nie łatwo zabić – dodał Kamis.

– Cóż zrobimy? – zapytał Jan Cort.

– Najlepiej byłoby przejść tak, aby nas nie spostrzegły – odpowiedział Kamis – musimy zatym ukryć się przed nimi. W każdym razie bądźmy przygotowani do strzału.

Opatrzyli broń i skręcając ze ścieżki, ukryli się szybko w gęstwinie, po prawej stronie.

W kilka minut później ryczenie coraz bliżej słyszeć się dało i wkrótce ukazały się na ścieżce potworne gruboskóre zwierzęta, postępowały one dość szybko z głową podniesioną do góry, z ogonem zadartym na grzbiet. Były to olbrzymy, długie na trzy lub cztery metry, uszy miały sterczące, nogi krótkie i powykrzywiane, pysk ścięty, uzbrojony w róg, służący im do obrony lub do napaści.

Język, podniebienie i szczęki mają tak nieczułe a silne, że spożywają bezkarnie kaktusy, opatrzone ostremi kolcami.

Nagle zatrzymały się.

– Spostrzegły nas – szepnął Kamis.

Jeden nosorożec, potwór pokryty suchą i chropowatą skórą, postąpił kilka kroków w stronę krzaków. Maks Huber wziął go na cel.

– Celuj w głowę – zawołał Kamis.

Rozległ się strzał, a później drugi i trzeci. Kule utkwiły widać tylko w skórze olbrzymich zwierząt i nie zadrasnęły ich bynajmniej. Nosorożce ryczały przeraźliwie; wystrzały nie wyrządziły im żadnej krzywdy, lecz skierowały ich uwagę na krzaki, pomiędzy które zaczęły się wdzierać.

Gęste i cierniste zarośla nie powstrzymywały ich w pochodzie. Można się było spodziewać, że za chwilę wszystko zostanie zmiażdżone, zdruzgotane, zniszczone.

– Ocaleliśmy od słoni, ale nie unikniemy zguby wobec nosorożców – myśleli nasi podróżni. – Tu nie obroni nas nawet gęstwina leśna, jak wtedy przed słoniami. Gdybyśmy chcieli nawet ratować się ucieczką, nie zdołamy umknąć.

W gęstwinie krzaków rosły drzewa wyniosłe, a pomiędzy nimi wznosił swoje konary potężny baobab. Gdyby to można dostać się do niego! Baobab oparłby się z pewnością natarciu nosorożców, nie tak, jak palmy, które słonie łatwo połamały.

Wprawdzie gałęzie rosły dopiero o jakie pięćdziesiąt stóp po nad ziemią, a pień, gruby od dołu, gładki był i tym samym niepodatny do wdzierania się na drzewo.

Kamis wahał się chwilę, co postanowić. Jan Cort strzelił znowu, ale także niezbyt celnie. Kula drasnęła nosorożca w łopatkę i podrażniła go tylko; zwierzę rzuciło się pomiędzy zarośla, za nim podążył drugi nosorożec.

Maks, Jan i Kamis nie mieli czasu nabić powtórnie broni. Uciekać, także już było zapóźno, lecz instynkt zachowawczy poradził im, aby się ukryli za szerokim pniem baobabu, który miał ze sześć metrów średnicy. Chociaż i tu nosorożce mogły ich napaść z dwóch stron.

– Do licha! – mruknął Maks Huber.

– Wzywajmy lepiej Pana Boga – mruknął z pawagą Jan Cort.

Rzeczywiście, jeżeli Opatrzność ich nie poratuje, nie mogą myśleć o ocaleniu.

Baobab zadrżał pod gwałtownym natarciem nosorożca, zdawało się, że olbrzymie drzewo wyrwane zostało z korzeniami.

Lecz nacierając, zwierzę zaczepiło rogiem o rozszczepioną korę drzewa i pomimo gwałtownego usiłowania, nie mogło się oswobodzić. Drugi też nosorożec, który miażdżył sąsiedniej krzaki, zatrzymał się zdumiony niewolą towarzysza. Kamis położył się na trawie i pełzając, zajrzał, co robią zwierzęta, a widząc niewolę jednego i osłupienie drugiego, szepnął z pośpiechem:

– Uciekajmy!... uciekajmy!...

Towarzysze domyślili się raczej, niż zrozumieli jego rozkaz.

Wszyscy zaczęli uciekać, pociągając za sobą Langa. Ku wielkiemu ich zdumieniu, nosorożce nie ścigały ich; po kilku minutach szalonego biegu, Kamis dał znak, aby się zatrzymali.

- Co się stało? – zapytał Jan Cort, odetchnąwszy.
- Zwierzę nie mogło wyciągnąć rogu, który utknał w korze drzewa – odpowiedział Kamis.
- Czy być może! – zawołał Maks Huber.
- Jesteśmy zdrowi i cali, ale straciliśmy napróżno kilka nabojów.
- Tymbardziej szkoda kul i prochu, że podobno mięso nosorożca jest jadalne – rzekł Maks Huber.
- Tak – potwierdził Kamis – chociaż nie zalicza się do smacznych, gdyż pachnie piżmem.
- Ciekawym, czy on się wyplącze z tego drzewa – odezwał się Maks Huber.

Nie mieli po co wracać do baobabu. Ryczenie nosorożców ciągle rozlegało się po lesie; do godziny szóstej popołudniu podróżni nasi szli w głąb puszczy i rozłożyli się na wieczorny odpoczynek u stóp ogromnej skały.

Następny dzień przeszedł bez żadnego wypadku, to też podróżni uszli ze trzydzieści kilometrów, nie napotkali jednak żadnej rzeki, ani większego strumienia, którego tak niecierpliwie wyglądali. Spoczynek następnej nocy zakłóciło im mnóstwo nietoperzy, które rozpierzchły się dopiero ze świtem.

- Szkaradne, nieznośne stworzenia! – zawołał rano Maks Huber, ziewając z powodu źle przespanej nocy.
- Nie trzeba narzekać – odpowiedział Kamis.
- Dlaczego?
- Bo lepiej mieć do czynienia z nietoperzami, niż z mustykami, a tych na szczęście nie napotkaliśmy.
- Najlepiej byłoby, abyśmy nie napotykali ani jednych, ani drugich.
- Nie unikniemy mustyków, panie Maksie!
- A kiedyż nas gryźć zaczną te szkaradne owady?
- Skoro zbliżymy się do jakiej rzeki.
- Do rzeki, Kamisie! – zawołał Maks Huber. – Miałem nadzieję, że napotkamy rzekę, ale teraz nie mam już tej nadziei...
- Kto wie, panie Maksie, rzeka jest może bliżej, niż się spodziewasz.

Kamis zauważył w istocie pewne zmiany gruntu, który przemieniał się stopniowo na błotnisty.

Miejscami, na małych bagniskach rosły wodne rośliny. Maks zabił kilka dzikich kaczek, które jedynie gnieźdzą się w pobliżu wód.

Gdy słońce schylało się ku zachodowi, usłyszeli skrzeczenie żab.

– Zbliżamy się do okolicy, która bywa siedliskiem mustyków – rzekł Kamis.

Pochód teraz był niezmiernie utrudniony z powodu pnączy i pasożytów, które rosły bujnie w tym gorącym i wilgotnym klimacie. Drzewa natomiast porzucane były rzadziej.

Pomimo to jednak nie widać było nigdzie wody.

Grunt stawał się pochyły, poprzerzynany małymi bagniskami, które trzeba było mijać uważnie, aby nie zanurzyć się, lub co gorsza nie utopić w błocie. Tysiące pijawek roiło się w tych bagniskach. a na powierzchni ich przebiegały olbrzymie stonogi, szkaradne owady czarniawego koloru, z czerwonymi nogami. Dość było spojrzeć na nie, aby odczuwać wstręt nieprzewyciężony.

Jakaż znowu rozkosz dla oka przypatrywać się tym różnorodnym motyłom o tęczyowych barwach i tym pełnym wdzięku ważkom o przezroczystych skrzydełkach, bujających ponad wodą. Wiewiórki i wiwery, przebywające w pobliżu tych bagnisk, żywiły się przeważnie owadami

Kamis spostrzegł, że nietylko osy, ale i muchy znajdowały się tutaj obficie. Ukąszenie tych owadów bywa śmiertelne dla koni, wielbłądów i psów, dla ludzi zaś jest nieszkodliwe, zarówno jak i dla zwierząt dzikich.

Podróżni nasi szli tak do godziny wpół do siódmej wieczorem; dzień ten był dla nich bardzo uciążliwy.

Kamis zajęty był właśnie wyborem odpowiedniego miejsca na nocleg, gdy uwagę wszystkich zwróciły okrzyki Langa.

Podług zwyczaju, chłopczyk pobiegł naprzód, rozglądając się na wszystkie strony, gdy naraz usłyszano jego głośnie wołania.

Czyżby go napadło jakie dzikie zwierzę?

Jan Cort i Maks Huber pobiegli co prędzej w tę stronę. Obawa ich okazała się płonną.

Langa, stojąc na ogromnym, powalonym pniu drzewa, wyciągał ręce przed siebie, wołając:

– Rzeka!... rzeka!...

Kamis podążył za niemi, a Jan Cort rzekł:

– Otóż upragniona rzeka!

O pół kilometra dalej, na szerokiej, otwartej przestrzeni płynęła rzeka, której jasne wody odbijały

ostatnie promienie zachodzącego słońca.

– Ponad rzeką powinniśmy dzisiaj przepędzić noc – rzekł Jan Cort.

– Ma się rozumieć – potwierdził Kamis – teraz możemy być pewni, że na falach tej wody bez trudu dopłyniemy do Ubangi.

W istocie nie było rzeczą zbyt trudną zbudować jaką tratwę i puścić się na falach rzeki. Chcąc się dostać do wybrzeża, trzeba było przejść przez grunt bagnisty; to też gdy Kamis i jego towarzysze dostali się na brzeg rzeki, ciemność zapadła zupełna, albowiem w okolicach podzwrotnikowych zmrok następuje bardzo szybko.

Nad wodą drzewa rosły rzadko jedno od drugiego; prawe wybrzeże zupełnie było odmienne od lewego, na którym podróźni znajdowali się obecnie. W cieniu widać tam było niepewne zarysy skał i wzgórz. Szerokość rzeki, jak im się zdawało, dochodziła do czterdziestu metrów. Nie był to więc strumień, ale ważniejsza jakaś rzeka, której bieg zdawał się dość bystrym.

Trzeba było cierpliwie czekać rana, aby się dokładnie rozpatrzyć w okolicy. Teraz najważniejszą rzeczą było znaleźć odpowiednie miejsce na nocleg. Kamis wyszukał wystającą skałę, która tworzyła grotę nad wybrzeżem, gdzie wszyscy podróźnicy pomieścić się mogli.

Posilili się resztką pieczonej, zimnej zwierzyny, która im została z obiadu, nie chcieli bowiem rozpalać ognia, aby blaskiem jego nie przynęcić jakich dzikich zwierząt: krokodyli i hipopotamów nie brakuje w wodach Afryki; może więc znajdowały się i tutaj, lepiej zatem było nie zapalać ognia.

Płomienie byłyby odpędzały mustyki, lecz z dwojga złego lepiej było znosić te owady, niż sąsiedztwo aligatorów.

Pierwszy czuwał Jan Cort, podczas gdy inni spali, nie zwracając uwagi na brzęczenie mustyków. Jan, przez cały czas swej warty przed otworem groty, nie dostrzegł nic podejrzanego, tylko o uszy jego odbił się kilkakrotnie tajemniczy dźwięk jakiś, wielce podobny do głosu ludzkiego, wyrażającego tęsknotę i żal.

Wyraz, który usłyszał brzmiał „ngora”, co w języku czarnych znaczy „matka”.

ROZDZIAŁ VII

Pusta klatka.

Można było sobie powinszować, że Kamis wynalazł to schronienie pod skałą, wyłobione nie przemysłem ludzkim, lecz ręką natury. Grunt stanowił drobny, delikatny piasek; w grocie nie było ani śladu wilgoci, podróźni więc nasi znaleźli doskonały nocleg i ochronę przed deszczem, który przez pierwszą połowę nocy padał bezustanku.

– Możemy tu zamieszkać, dopóki nie zbudujemy tratwy – rzeki Kamis

O świcie wiatr północy rozegnał resztę chmur, zapowiadając dzień jasny i gorący.

Kto wie, czy Kamis i jego towarzysze nie będą żałowali cienistego lasu, skoro im dokuczają tutaj palące promienie słońca; w lesie przez te pięć dni nie ucierpieli przynajmniej od upału.

Cort i Huber byli w jak najlepszym humorze; rzeka poniesie ich na swych falach co najmniej przez trzysta kilometrów, oszczędzając im trudów pieszej podróży i doprowadzi do Ubangi, której bezwątpienia była dopływem. Będą mogli przebyć trzy czwarte części podróży w warunkach nieco dogodniejszych, gdyż jedną czwartą przebyli już przecie. Tak przynajmniej wnioskował Cort, opierając się na objaśnieniach Kamisa.

O świcie zaczęli uważnie rozglądać się po okolicy.

W górę rzeki fale jej toczyły się prawie w prostej linii i ginęły, o jakie trzy kilometry dalej, w gąszczu drzew. Może być, że tam rzeka zwracała się w kierunku północno-wschodnim i była właśnie tą samą rzeką, którą podróźni widzieli, spędzając nocleg na wzgórzu pod palmami.

W dół rzeki gąszcz leśny był bliższym, znajdował się zaledwie o pół kilometra odległości, tam, gdzie rzeka skręcała raptownie na południo-wschód. Widać, że był to znowu las nieprzebyty.

W miejscu, gdzie się znajdowali, lewy brzeg rzeki stanowił otwartą, błotnistą przestrzeń; na przeciwległym brzegu rosły drzewa gęsto i daleko, daleko rozciągał się las; wschodzące słońce oświetlało wysokie wierzchołki drzew, odcinające się na odległym horyzoncie.

Woda w rzece była przejrzysta i bystra, fale jej niosły spróchniałe pnie drzew i wyrwane z brzegów krzaki i trawy.

W tej chwili Cort przypomniał sobie, że w pobliżu grotty w nocy słyszał wyraz „ngora”. Zaczął więc pilnie upatrywać, czy nie dostrzeże gdzie istoty ludzkiej. Plemiona koczujące mogły tedy przedostawać się do Ubangi, było to rzeczą możliwą.

Ogromna przestrzeń lasu, rozciągająca się na wschód aż do źródeł Nilu, mogła być także schronieniem dla plemion koczujących lub stale osiadłych.

Ale pomimo najpilniejszego rozpatrywania się, Cort nic nie dostrzegł.

– Zostawałem zapewne pod wpływem złudzenia – powiedział sobie w duchu. – Może być, że się zdrzemnąłem na chwilę i we śnie zdawało mi się ze słyszę ten wyraz.

Doszedszy do tego przekonania, nie wspominał nawet o tym swym towarzyszom.

– Kochany Maksie – rzekł głośno – czy też przeprosiłeś Kamisa za to, żeś wątpił o istnieniu rzeki, o której Kamis twierdził napewno, że istnieje?

– Przyznaję, że byłem w błędzie, mój Janie, i cieszę się z tego, gdyż rzeka, którą napotkaliśmy, doprowadzi nas z pewnością bez trudu do Ubangi.

– Nie powiem, żeby bez trudu – rzekł Kamis – możemy napotkać wodospady i wiry.

– Dlaczegoż mamy sobie wszystko w gorszym przedstawiać świetle – odpowiedział Maks. – Szukaliśmy rzeki i znaleźliśmy ją. Chcieliśmy zbudować prom, zabierajmy się więc do roboty.

– Naturalnie, że nie trzeba tracić czasu – rzekł Kamis – ja zaraz biorę się do roboty. Czy pan mi pomoże, panie Janie?

– Ma się rozumieć, Kamisie, a ty, Maksie, zajmij się przygotowaniem żywności...

– Tak, to bardzo ważna kwestja – odpowiedział Maks – nie mamy bowiem już nic do jedzenia. Ten żarłok Lango zjadł wszystko wczoraj wieczorem.

– Ja, przyjacielu Maksie? – szepnął Lango, zmartwiony tą wymówką.

– No, uspokój się, toć widzisz, że żartuję!... Chodź ze mną; pójdziemy wybrzeżem aż do zakrętu rzeki; idąc pomiędzy bagniskiem a rzeką, napotkamy chyba wodną zwierzynę, a może uda nam się złowić trochę rybek, co byłoby doskonałym urozmaicheniem naszego pożywienia.

– Strzeż się pan krokodyłów i hipopotamów, panie Maksie! – ostrzegł Kamis.

– Ach, Kamisie! potrawa z pieczonego hipopotama nie jest do pogardzenia, tak mi się przynajmniej zdaje... To stworzenie ma mięso smaczne i delikatne... Hipopotam jest taki łagodny.

– Tak, poty, póki się go nie podrażni, ale skoro się go rozgniewa, jest wtedy strasznym.

– Hm!... nie można mu jednak wykroić kilka kilogramów mięsa, nie podrażniwszy go trochę.

– Jeżeli ci będzie grozić najmniejsze niebezpieczeństwo, powracaj natychmiast – dodał Cort. – Bądź ostrożny!...

– Bądź spokojnym, Janie. Pójdź, Langa!

– Idź, idź, mój chłopcze – rzekł tkliwie Cort – i pamiętaj, że powierzamy ci opiekę nad twoim przyjacielem Maksem.

Po takim poleceniu można było być spokojnym, że Maksowi nic się złego nie stanie, gdyż Langa czuwać będzie nad nim.

Maks Huber wziął karabin i obejrzał ładunki.

– Oszczędzaj pan naboju – przestrzegł go Kamis.

– O ile tylko będę mógł, Kamisie. Co to za szkoda, że natura nie stworzyła na drzewie naboju, tak jak dała drzewo chlebowe i olejowe w lasach afrykańskich! Przechodząc, zerwałoby się nabój, jak figę lub daktyl.

Kończąc te słowa, Maks i Langa wyruszyli w drogę. Wybrzeże w tym miejscu było niskie, tak, że wkrótce znikli z oczu pozostałych towarzyszy.

Kamis i Cort zajęli się wyszukaniem drzewa, odpowiedniego na budowę tratwy, choćby najprostszej, ale do roboty posiadali tylko niewielką siekierę i noże składane. Były to narzędzia zbyt kruche, aby nimi chcieć obalić olbrzymie drzewo.

Kamis liczył na gałęzie spadłe z drzew, które by można powiązać za pomocą ljan i zrobić na tym rodzaj podłogi, ubitej z ziemi i traw. Tratwa, długa na dwanaście stóp, a szeroka na ośm, powinna być dostateczna do przewozu trzech ludzi i dziecka. Na bagnisku sterczały gałęzie i pnie drzew, zdruzgotane przez czas lub obtracone wichrem; ponad nimi rosło kilka drzew żywicznych.

Tam to Kamis postanowił szukać materiału odpowiedniego na tratwę. Obaj więc z Janem puścili się w tę stronę; pierwaj jednak spojrzeli badawczo na fale rzeki; dokoła było spokojnie i Jan z Kamisem zapuścili się na bagnisko.

O jakie sto kroków dalej leżały powalone kłody i gałęzie. Najtrudniejszym zadaniem będzie dowlec je do wybrzeża; zapewne we dwóch nie dadzą sobie rady, muszą więc poczekać na powrót towarzyszy.

– Mam nadzieję, że polowanie uda się panu Maksowi – rzekł Kamis, skoro do uszu ich dobiegł odgłos strzału – Maks rzadko chybia.

Rzeczywiście, gdyby mieli wystarczający zapas kul i prochu, nie potrzebowaliby się lękać głodu.

Kamis i Jan zajęli się wyborem drzewa, odpowiedniego na tratwę, gdy nagle uwagę ich zwróciły jakieś krzyki, pochodzące z tej strony, w którą udał się Maks i Langa.

– To jest głos Maksa i Langa – odparł Kamis.

– Oczywiście grozi im jakieś niebezpieczeństwo.

– Śpieszmy im na pomoc! – zawołał Kamis.

Co żywo biegli ku brzegowi i wydostali się na niewielki pagórek, pod którym znajdowała się grotka. Wtedy spostrzegli Maksa i Langa, lecz koło nich nie widać było żadnych ludzi ani zwierząt. Stali na wybrzeżu, dając pozostałym znaki, aby się z nimi połączyli.

Postawa ich i ruchy nie zdradzały najlżejszego niepokoju.

Kamis i Cort szybko pobiegli ku nim i w kilka minut później znaleźli się przy swoich towarzyszach. Wtedy Maks Huber rzekł:

– Nie będziemy już, Kamisie, budowali tratwy.

– Dlaczego?

– Dlatego, żeśmy ją znaleźli. Ot, tutaj... Wprawdzie znajduje się w złym stanie, ale zdaje się, że będzie można ją naprawić.

I Maks Huber pokazał towarzyszom ukrytą w zagłębieniu rzeki, przy brzegu, tratwę, rodzaj platformy z pnączy i desek, powiązanych nawpół przegniłymi sznurami. Za pomocą sznura była też ona przywiązana do sterczącego pnia ponad wodą.

– Tratwa! – wykrzyknął radośnie Cort.

– Naprawdę tratwa – dodał Kamis.

– Czyżby krajowcy dotarli aż do tych miejsc?

– Może to jacy podróżnicy porzucili tę tratwę – domyślał się Cort. – Chociaż to przypuszczenie nie wydaje mi się prawdopodobne, bo gdyby ta część lasu Ubangi była zwiedzana przez jakichś badaczy, to jużby o tym wiadano w Kongo lub Kamerunie. Co do mnie, nie słyszałem o żadnej wyprawie naukowej w te strony.

– Ani ja – dodał Maks Huber – ale co nas to obchodzi. Najważniejsza rzecz, czy tratwa może jeszcze służyć do użytku?

– Naturalnie, trzeba się najpierw o tym przekonać – potwierdził Kamis i chciał już wejść na tratwę, ale powstrzymał go okrzyk Langa.

Ten trzymał jakiś przedmiot w ręku. Po chwili oddał go Janowi.

Była to kłódka żelazna, zniszczona przez rdzę i bez klucza.

– Ach, jest to dostateczny dowód, aby nas przekonać, że nie krajowcy tu przebywali – rzekł Maks Huber – oni nie znajdują się na ślusarstwie,... Na tej tratwie musieli przyplłynąć biali ludzie.

– Ale oczywiście, że tędy już nie wracali – dodał Cort.

Rdzą pokryta kłódka i zniszczona tratwa, dowodziły, że musiało upłynąć lat kilka od chwili, gdy ludzie porzucili te przedmioty. Podróżni nasi wyprowadzili stąd dwa wnioski: że badacze lub podróżni nie byli krajowcami, i że dostali się do tej polanki, płynąc z biegiem rzeki; powtóre, że już wtedy nie wracali.

Ale zginęli bezwątpienia, gdyż ani Huber, ani Cort nie słyszeli nigdy o żadnej podobnej wyprawie naukowej od czasu, jak mieszkali w Kongo, a mieszkali już dość dawno.

Chociaż w wypadku tym nie było nic nadzwyczajnego, był on jednak zdarzeniem niespodziewanym i Maks musiał się wyrzec zaszczytu, że uważano go za pierwszego człowieka, który zwiedził tę puszczy, dotychczas uważaną za niedostępną.

Tymczasem Kamis oglądał starannie deski i tarcice, stanowiące tratwę. Deski były zupełnie zdrowe, tylko tarcice uległy w części zepsuciu i należało je zastąpić innymi. Było to rzeczą o wiele łatwiejszą, niż budować nową tratwę. Kamis i jego towarzysze byli tym uszczęśliwieni.

Kamis zajął się tratwą, a dwaj towarzysze rozmawiali z sobą.

Nie ulega wątpliwości, że biali zwiedzali już górną część tej rzeki – powtarzał Cort. – Tratwę mogli zbudować krajowcy, ale skądby się tu wzięła kłódka?

– Poczekajcie, a może znajdziemy jeszcze inne przedmioty – dodał Huber.

– A cóżby takiego, Maksie?

– Chodźmy dalej, Janie, aż do zakrętu rzeki. Może natrafimy na ślad jakiego obozowiska, którego stąd nie widać. Grota, w której przepędziliśmy noc, nie służyła jeszcze chyba nikomu za schronienie, my pierwsi spaliśmy w niej.

– Idźmy więc dalej, tak, jak sobie życzysz, Maksie.

– Przy skręceniu rzeki kończy się właśnie polanka i nie zdziwiłbym się wcale, gdybyśmy znaleźli coś ciekawego.

– Kamisie! – zawołał Cort.

Ten podążył za nimi.

– No, jakże tam tratwa?

– Można ją naprawić bez wielkiego trudu. Przyniosę drzewo do tego potrzebne.

– Zanim zabierzemy się do roboty – mówił Maks – chodźmy jeszcze brzegiem rzeki z jakie kilkaset kroków. Może znajdziemy jeszcze jakie inne przedmioty, może narzędzia lub sprzęty kuchenne z marką fabryczną, któraby oznaczała ich pochodzenie? A jakby one nam się przydały! Posiadamy tylko jedną tykwę, a nie mamy ani filiżanki, ani kociołka...

– Może spodziewasz się kochany Maksie, napotkać kuchnię i stół przygotowany dla zbłąkanych wędrowców? – żartował Cort.

– Nie spodziewam się niczego, mój kochany Janie, ale nie możesz zaprzeczyć, że znajdujemy się wobec faktu niezrozumiałego, postarajmy się więc o wyjaśnienie.

– Zgadzam się na to Kamisie. Czy możemy iść jeszcze ze dwa kilometry?

– Owszem, lecz nie dalej, jak do zakrętu rzeki – odparł Kamis.

– Dobrze, Kamisie. Wkrótce wygodnie popłyniemy z biegiem rzeki, nie będziemy więc zmuszeni wiosłować, a tym samym będziemy mogli dowoli przyjrzeć się okolicy i szukać śladów jakiego obozowiska, na jednym albo na drugim brzegu.

Podróżni nasi i Langa szli dalej wybrzeżem, które w tym miejscu tworzyło jak gdyby naturalną groblę, wznoszącą się pomiędzy bagniskiem z jednej strony, a rzeką z drugiej. Mnóstwo ptaków zrywało się z traw, skoro się do nich zbliżali, były to po większej części dzikie kaczki i dropie. Maks zabił jakiegoś ptaka, podobnego do czapli, mieli więc już zapewnione drugie śniadanie. Idąc, rozglądali się po ziemi, szukając śladu stóp ludzkich lub porzuconych przez ludzi przedmiotów. Ale nic nie znaleźli.

Gdy Kamis i jego towarzysze doszli do końca polanki, pod osłoną drzew odezwały się krzyki małp. Te czwororękie stworzenia nie bardzo okazywały się zdziwione zjawieniem się ludzi, jednakże ujrawszy ich, uciekały. Były tam rozmaite gatunki małp: pawjany, gibony, podobne do goryli, rodzaj małp z płaskim łbem i długim ogonem, szympanse i wiele innych gatunków. Wszystkie to stworzenia mają po większej części ogony krótkie i tym się właśnie różnią od małp amerykańskich.

– Małpy nie zbudowały tratwy, ani nie zgubiły kłódki – mówił Cort – chociaż są one zmyślne, ale nie do tego stopnia.

– Nie umiałyby również zbudować klatki – dodał Huber.

– Skądże ci na myśl przyszła klatka? – zapytał ze zdziwieniem Jan Cort.

– Bo zdaje mi się, że widzę tam... w gęstwinie... o jakie dwadzieścia kroków od wybrzeża, rodzaj jakiejś budowli.

– To zapewne mrowisko w kształcie ula, które budują mrówki afrykańskie – odpowiedział na to Cort.

– Nie, pan Maks się nie myli – potwierdził Kamis. – Jest tam... ależ jak najwyraźniej widać, możnaby powiedzieć że to chata, zbudowana pomiędzy dwoma krzakami mimozy; frontowa ściana tej chaty tworzy jakby kratę...

– Czy to jest klatka, czy też chata, zobaczymy, gdy się przekonamy, co się znajduje w jej wnętrzu.

– Bądźmy ostrożni! – przestrzegał Kamis. – Postępując dalej, starajmy się ukrywać po za

drzewami.

– A czegoż możemy się obawiać – zawołał Huber, którego niecierpliwość podnieconą była do najwyższego stopnia

Dokoła las wydawał się zupełnie pusty, słyhać było tylko śpiew ptaków i krzyki małp, uciekających przed ludźmi. Ani na polance, ani na skraju lasu nie było śladów obozowiska ludzkiego, tylko z wody wychylały się sute kępy traw. Przeciwnie wybrzeże także było puste. Kamis i jego towarzysze przeszli szybko te sto kroków, które ich oddzielały od zakrętu rzeki. W tym miejscu kończyło się bagnisko, i grunt, podnosząc się lekką wyniosłością, stawał się suchszym. Tu rozpoczął się las coraz gęściejszy.

Dziwny budynek ukazywał się teraz w trzech częściach swej wielkości, oparty o mimozy, z dachem pochylonym i pokrytym zeschniętymi trawami. Z boku chata nie miała żadnych otworów, a spadające pnącze okrywały zielonym płaszczem jej ściany aż do ziemi. To, co ją czyniło podobną do klatki, to była krata, stanowiąca ścianę frontową, nakształt kraty, jaką w menażerji oddzielają klatki od publiczności. W tej chwili w kracie były drzwi otwarte, lecz chata była pusta. Maks Huber przekonał się o tym pierwszy, gdyż ze zwykłą sobie żywością wbiegł bez namysłu do jej wnętrza.

Trochę sprzętów walało się po ziemi: rynka, filiżanka, kilka potłuczonych butelek, zniszczona wełniana kołdra, kawałki materji, zardzewiała siekiera, pudełko od okularów, na którym nie można już było przeczytać nazwiska fabrykanta. W kącie stało pudełko metalowe ze szczelnie dopasowanym pokryciem. Maks Huber podjął je z ziemi i usiłował otworzyć, lecz nie mógł tego dokazać. Załedwie za pomocą noża udało mu się oderwać wieko. Wewnątrz znajdował się notatnik, na którego okładce wydrukowane były dwa wyrazy. Maks Huber przeczytał je głośno: „Doktor Johansen”.

ROZDZIAŁ VIII

Niespodzianka.

Jeżeli Jan Cort, Maks Huber, a nawet Kamis nie krzyknęli ze zdziwienia, przeczytawszy to nazwisko, to jedynie dlatego, że ze zdumienia osłupieli.

Nazwisko Jahansena było wyjaśnieniem zagadki, okrywającej najbardziej fantastyczne przedsięwzięcie, uczynione w celach naukowych.

W zdarzeniu tym powaga mieszała się z komizmem i tragicznością, gdyż zdaje się, że ta wyprawa naukowa zakończyła się w sposób bardzo opłakany.

Czytelnicy przypominają sobie może, że amerykańin Garner postanowił poświęcić się badaniu języka małpiego, na podstawie studjów naukowych. Nazwisko profesora, artykuły drukowane w gazecie, wychodzącej w New-Yorku i oddzielna książka, która się rozeszła po Anglii, Niemczech, Francji i Ameryce, wszystko to było wiadomym mieszkańcom Kongo i Kamerunu, a tym samym nie obce Janowi Cort i Maksowi Huber.

– On! nakoniec on! – zawołał Huber – on, o którym dotąd nie było żadnej wiadomości.

– Od niego już nie będzie żadnej wiadomości, bo zdaje się, że on już żadnej udzielić nam nie może – odpowiedział Jan Cort.

On, w pojęciu przyjaciół, to był doktor Johansen.

Ale musimy pierwiej opowiedzieć historję pana Garner, poprzednika doktora.

Profesor Garner, zanim się wybrał na ląd czarny, zapoznał się już z małpami, naturalnie oswojonemi. Długie badania doprowadziły go do tego wniosku, że te stworzenia czwororękie mówiły, porozumiewały się ze sobą, że używały jakiegoś języka jednozgłoskowego, że miały pewne wyrazy, określające chęć jedzenia lub picia. W ogrodzie zoologicznym w Waszyngtonie, kazał Garner poustawiać fonografy, aby chwyciły wyrazy domniemanego języka małpiego. Zauważył on, że małpy nie mówią nigdy bez koniecznej potrzeby i określił w ten sposób swoje spostrzeżenia:

„Znajomość królestwa zwierząt budzi we mnie stanowcze przekonanie, że wszystkie zwierzęta ssące posiadają zdolność mówienia, w stopniu odpowiednim ich rozwojowi umysłowemu i potrzebom ich życia”.

Jeszcze przed badaniem Garneta uczeni wiedzieli, że zwierzęta ssące, jako to psy, małpy i inne, posiadają budowę krtani taką samą, jak człowiek, lecz zapomnieli o tym, że myśl poprzedziła słowo,

że chcąc mówić, trzeba pierwej myśleć, czyli posiadać zdolność uogólniania, jakiej zwierzęta nie posiadają.

Papuga chociaż mówi, ale nie rozumie tego, co mówi. Jeżeli zwierzęta nie mówią, to dlatego, że natura nie obdarzyła ich odpowiednią do tego inteligencją, bo innej przeszkody niema.

Jeden z uczonych dowodzi, że jeśli ma być mowa, źródłem jej musi być sąd i rozumowanie, czyli pojęcie ogólne i szczegółowe.

Lecz profesor Garner nie chciał uznać tych reguł, tak zgodnych ze zdrowym rozsądkiem.

Dowodzenia Garneta wywołały też żywe dysputy. Zniecierpliwiony postanowił zetknąć się bliżej z małpami, których mnóstwo gatunków żyje w lasach Afryki południowej.

„Skoro się nauczę języka goryłów i szympansov – powiedział sobie – wtedy powrócę do Ameryki i ogłoszę ich język, jego gramatykę i słownik. A wtedy każdy przyzna mi słusność”.

Czy pan Garner doprowadził do celu swoje przedsięwzięcie? Była to kwestja jeszcze nie rozwiązana, co do której miał także wątpliwości doktor Johansen, jak się o tym przekonamy później.

W r. 1892 Garner wyjechał z Ameryki i przybył do Gabonu, do Libreville, dnia 13 października.

Tu obrał sobie mieszkanie w faktorji Jana Holtance i rozpoczął swoje badania. Na małym parowym statku popłynął rzeką Ogue, aż do Lambarene, i 22 kwietnia 1794 r. dostał się do misji katolickiej w Fernando-Vaz.

Ojcowie Ś-ego Ducha przyjęli go bardzo gościnnie w domu misyjnym, zbudowanym nad brzegiem wspaniałego jeziora Fernando-Vaz. Nie można było wymarzyć przyjaźniejszych warunków do tego rodzaju badań naukowych, jak te, w jakich się znajdował Garner. Za budowlami zakładu rozciągał się olbrzymi las, w którym zamieszkiwało mnóstwo małp. Ale chcąc badać ich obyczaje, należałoby poniekąd dzielić ich egzystencję.

W tym celu Garner kazał sobie zbudować żelazną, przenośną klatkę i takową postawić w lesie. Podobno Garner przebywał w tej klatce trzy miesiące, po większej części sam i spokojnie badał obyczaje goryla w stanie dzikości.

Rzeczywistą prawdą zaś jest to, że przezorny Amerykanin kazał ustawić swą klatkę o dwadzieścia minut drogi od zabudowań misjonarskich, w pobliżu fontanny, skąd czerpano wodę, w miejscu, które nazwał fortem goryli, i do którego dochodziło się drogą cienistą. Spał nawet w tej klatce przez trzy noce, lecz z powodu, mustyków nie mógł wytrzymać dłużej. Powrócił więc i poprosił znowu Ojców o gościnność, która bez trudu została mu udzielona.

Nakoniec 18 czerwca wybrał się z powrotem i przez Angję powrócił do Ameryki, przywożąc ze sobą, jako jedyne wspomnienie z podróży, dwa małe szympanse, które jednak nie chciały z nim nigdy rozmawiać.

Taki jedynie rezultat osiągnął Garner ze swej podróży. Jeżeli małpy porozumiewały się ze sobą,

ludzie nie potrafili dojść do zrozumienia wydawanych przez nie dźwięków.

Profesor utrzymywał, że rozumiał niektóre dźwięki. I tak: *wuw* miało oznaczać pożywienie, *cheny* napój, *jek* strzeż się! i wiele innych.

Później, robiąc doświadczenia w ogrodzie zoologicznym w Waszyngtonie i za pomocą fonografu, udało mu się pochwycić jeszcze inne dźwięki.

Podług niego, język małpi składa się z ośmiu, czy dziewięciu dźwięków zasadniczych, uzupełnionych trzydziestoma jeszcze dźwiękami.

Owa domniemana mowa małp, podchwycona przez naturalistę Garnera, była tylko szeregiem dźwięków, za pomocą których porozumiewają się ze sobą psy, konie, barany, gęsi, jaskółki, mrówki, pszczoły i t. d. Porozumiewają się one za pomocą krzyków, znaków lub ruchów, wyrażając tym sposobem radość lub trwogę.

Kwestja tak ważna nie miała być rozstrzygnięta przez jednego człowieka. W dwa lata później pewien doktor niemiecki postanowił rozpocząć w tym kierunku badania, lecz w pośród puszczy, w której przebywają małpy, a nie w pobliżu mieszkań ludzkich, jak to czynił profesor Garner.

Doktor ten, nazwiskiem Johansen, mieszkał w Kamerunie, w Malinba; zajmował się on więcej zoologią i botaniką niż medycyną i gdy się dowiedział o bezowocnych poszukiwaniach Garnera, postanowił je rozpocząć na własną rękę chociaż był człowiekiem mającym przeszło lat pięćdziesiąt.

Ponieważ doktor często przyjeżdżał do Libreville, Jan Cort znał go dobrze.

Choć niemłody, doktor Johansen cieszył się doskonałym zdrowiem; mówił doskonale po angielsku i po francusku, nie gorzej, niż swoim rodowitym językiem; rozumiał nawet dialekt krajowców, gdyż jako doktor miał nieraz z nimi stosunki. Będąc człowiekiem bogatym, leczył przeważnie darmo; nie miał krewnych, ani bliższych, ani dalszych, i nie potrzebował nikomu zdawać sprawy ze swego postępowania; przytym trochę dziwak, zapalił się do studjów nad małpami.

Doktor miał służącego, rodem krajowca, z którego był dosyć zadowolony. Gdy mu oznajmił o zamiarze zamieszkania w puszczy, wpośród małp, ten nie wahał się towarzyszyć swemu panu.

Uczony kazał sobie sprowadzić z Niemiec klatkę lepiej zbudowaną i wygodniejszą, niż klatka Garnera, i zaopatrzywszy się w zapasy żywności, konserwy i amunicję, wybrał się w podróż. Zabrał oprócz tego rozmaite sprzęty, pościel, bieliznę, ubranie, naczynia kuchenne i stołowe, jak również starą katarynkę, którą posiadał w swoich zbiorach, mniemając, że małpy nie będą nieczułe na dźwięki muzyki. Oprócz tego, kazał wybić medale nikłowe ze swoim nazwiskiem i portretem, zapewne w tym celu, aby je rozdać w kolonji małpiej, którą pragnął założyć w Afryce środkowej.

W lutym 1894 r. Johansen i jego służący wsiedli w Malinba na łódź i popłynęli rzeką Nbarri. Ale dokąd?

Doktor nie zwierzał się z tym nikomu. Mając poddostatkiem zapasów żywności, chciał uniknąć ciekawości ludzkiej. We dwóch dadzą sobie przecież radę.

Tym sposobem nikt nie będzie mu straszył małą, będzie się mógł swobodnie zachwycać urokiem ich mowy i zdoła odkryć tajemnicę ich dźwięków.

Co do dalszych losów uczonego Niemca tyle, tylko wiadano, że łódź płynęła w górę rzeki Nbarri, że podróżni wylądowali w wiosce Nghila i że doktor wynajął tam dwudziestu krajowców do przeniesienia pakunków i że cała karawana skierowała się ku wschodowi. Od tej pory nic już nie słyszano o doktorze Johansen,

Krajowcy, powróciwszy do Nghila, nie potrafili określić dokładnie miejsca, w którym rozłączyli się z doktorem. Upłynęły już dwa lata i pomimo poszukiwań, nie powzięto żadnej wiadomości o niemieckim doktorze i o jego wiernym służącym.

Jan Cort i Maks Huber domyślali się po części nadzwyczajnych przygód doktora Johansena, który ze swymi ludźmi dotarł do rzeki, znajdującej się w północno-zachodniej stronie lasu Ubangi, następnie odesłał krajowców i z pomocą swojego służącego zbudował prom, na którym przywiózł gotowy materiał. Na tym promie popłynął po nieznannej rzece i zatrzymawszy się w miejscu, gdzie nasi podróżni znajdowali się obecnie, zbudował chatę.

Dotychczas przypuszczenia były zupełnie prawdopodobne, ale co się później stało z doktorem i jego służącym? Dlaczego chata była pusta? Przez jaki przeciąg czasu służyła ona za schronienie dwum śmiałym podróżnym? Czy oddalili się oni dobrowolnie, czy też zostali uprowadzeni przez krajowców? Toć las Ubangi uchodził za niezamieszkały... Może padli ofiarą dzikich zwierząt?... Czy żyli dotychczas?

Dwaj przyjaciele szybko zadawali sobie powyższe pytania, lecz niełatwo było rozjaśnić tego rodzaju tajemnicę.

– Zajrzyjmy do pozostawionego notatnika – rzekł Jan Cort.

– Zapewnie, tak będzie najlepiej – odpowiedział Maks Huber. – W braku innych wyjaśnień, może znajdziemy tam jakie daty...

Kończąc te słowa, Huber otworzył notatnik, którego kartki zniszczone były od wilgoci.

– Nie sadzę jednak, abyśmy się wiele mogli dowiedzieć z tej książeczki.

– Dlaczego, Maksie?

– Gdyż wszystkie kartki są niezapisane, z wyjątkiem pierwszej.

– No, a cóż jest na pierwszej?

– Jakieś urywane zdania i daty, które może posłużyłyby doktorowi Johansenowi do ułożenia dziennika.

I Maks Huber z trudem zaczął odczytywać zdania, nakreślone ołówkiem:

Dnia 29 lipca 1894 r. Przybyłem z eskortą do skrajaju lasu Ubangi... Obóz na prawym brzegu rzeki... Budujemy prom...

Dnia 2 sierpnia. Prom skończony... Krajowców odesłałem do Nghila... Zatarłem ślady obozowiska i popłynąłem z moim służącym.

Dnia 9 sierpnia. Płynęliśmy z biegiem wody siedem dni, nie napotkawszy żadnych przeszkód... Zatrzymałem się na polance... W tej okolicy znajduje się mnóstwo małp... miejsce wydaje mi się odpowiednie...

Dnia 10 sierpnia. Wyładowaliśmy sprzęty na ląd. Chatę ustawimy pod pierwszemi drzewami, na skrajaju lasu, z lewej strony rzeki, na końcu polanki... Małp dużo... szympanse... goryle...

Dnia 13 sierpnia. Zamieszkaliśmy już w chacie... okolica zupełnie pusta, niema śladu obecności ludzi, ani krajowców, ani białych... Ptactwa wodnego bardzo dużo... ryb także... Chata dobrze ochrania przed burzą.

Dnia 25 sierpnia. Upłynęło 27 dni... życie ułożyło się regularnie. Na powierzchni wody ukazały się hipopotamy, ale nie zaczepiały nas... Ubiliśmy kilka antylop... Ostatniej nocy ukazały się w pobliżu chaty wielkie małpy... nie umiałem jeszcze określić, do jakiego należą gatunku. Nie okazywały wcale usposobienia nieprzyjaznego: biegały po ziemi i zwieszały się na gałęziach... Zdawało mi się, że spostrzegam ogień pomiędzy krzakami, o jakie sto kroków od chaty... Fakt ważny do sprawdzenia: zdaje mi się, że małpy mówią, że zamieniają pomiędzy sobą zdania: mała małpka powiedziała: „Ngora! Ngora! Ngora...” Wyraz ten u krajowców znaczy – matka.

Langa słuchał uważnie tego, co czytał jego przyjaciel Maks i w tej chwili zawołał:

– Tak, tak, ngora, ngora – matka, ngora, ngora!

Jan Cort przypomniał sobie, że poprzedniej nocy, gdy czuwał nad snem towarzyszy, słyszał kilkakrotnie powtórzony ten wyraz. Jak wiemy, sądził że to złudzenie, nie wspominał więc o tym towarzyszom, ale słuchając notatek doktora, uważał za właściwe powiedzieć o tym.

Maks Huber zawołał zdumiony:

– Czyżby profesor Garner miał słuszość? Czyżby małpy naprawdę mówiły?

– Nie wiem, ale kochany Maksie, ja także słyszałem ten wyraz: ngora – upewniał Cort – wtedy, gdy czuwałem w nocy. Wyraz ten wypowiedziany był głosem skrzączącym i płaczliwym.

– To dziwna rzecz, to bardzo dziwna – mówił Huber.

– Wszakże ty zawsze pragniesz rzeczy nadzwyczajnych – wtrącił Cort.

Kamis słuchał tego opowiadania, ale odkrycia doktora Johansena niewiele go obchodziły. Więcej go zajmowało to, że doktor pozostawił prom, który można było jeszcze użyć, jakoteż trochę przedmiotów w chacie. Co się stało z doktorem i jego wiernym służącym, Kamis nie uznawał za

stosownie troszczyć się o to; tym mniej przeto pochwaliliby myśl odszukania śladów doktora w wielkim lesie Ubangi i byłby odradzał i odciągał od tego postanowienia Maksa i Jana.

Zresztą gdzieżby oni szukali doktora Johansena? Gdyby w notatkach uczonego była jakakolwiek wskazówka, może Cort uważałby za swój obowiązek iść go szukać, a Huber mniemałby, że Opatrzność wybrała ich za narzędzie ocalenia dla zaginionego. Ale z urywanych zdań notatnika niewiele można było wywnioskować.

Jan Cort rzekł:

– W notatkach mamy dowód, że doktor przebywał tu dni trzynaście.

– I nie wiadomo, co się z nim stało – dodał Kamis.

– Mniejsza o to – odezwał się Huber – nie jestem ciekawy...

– Daj pokój, przyjacielu, jesteś z natury bardzo ciekawy.

– Nie przeczę, Janie, i chcąc dojść rozwiązania zagadki...

– Udajmy się w dalszą drogę – zawyrokował Kamis.

Wistocie, najważniejszą dla nich rzeczą było wyporządzić prom i płynąć z biegiem rzeki. Może kiedyś ułoży się jaka wyprawa w celu wyszukania doktora Johansena, a wtedy dwaj przyjaciele mogliby do niej należeć.

Przed opuszczeniem chaty chcieli jeszcze zwiedzić wszystkie jej zakątki, przypuszczając, że mogą znaleźć jakieś przedmioty. Nie było to chyba niedelikatnością, po dwuletniej nieobecności poprzedniego właściciela chaty, który nigdy już nie zgłosił się po swoją własność. Chata mogła jeszcze służyć za doskonałe schronienie, osłaniał ją dach z blachy cynkowej, pokrytej słomą. Frontowa, okratowana ściana zwrócona była na północ, to jest w stronę, z której mniej dokuczały szkodliwe wichry. Gdyby w chacie zostało jakiegokolwiek umeblowanie, jako to: krzesła, stoły lub pościel, nie uległoby to z pewnością zniszczeniu. Lecz rzecz dziwna, że chata była zupełnie pusta. Czas i opuszczenie poczyniły w niej niejaki szkody, podłoga nadgniła w niektórych miejscach, w ścianach, pod pnączami i zielenią, znajdowały się szpary. Lecz Kamis i jego towarzysze, nie mając zamiaru tu mieszkać, ani studjować obyczajów małp, nie myśleli o wyreperowaniu chaty.

Kamis przeglądał kąty, nie znalazł jednak ani broni, ani odzieży, ani sprzętów, tylko w jednym kącie chaty podłoga za stąpieniem wydawała dźwięk metaliczny.

– Tam coś jest – rzeki Kamis.

– Może klucz – domyślał się Maks Huber.

– A od czego klucz?

– Ech, mój kochany Janie, klucz do rozwiązania zagadki.

Oderwali zmurszałe deski i ujrzeni małą blaszaną skrzyneczkę. Kamis podniósł ją i otworzył. Jakaż była ich radość, gdy wewnątrz ujrzeni ze sto nietkniętych ładunków.

– Dzięki ci, poczciwy doktorze! – zawołał Maks Huber – jakże wielką oddałeś nam przysługę.

Na szczęście ładunki były tego samego kalibru, co karabiny Kamisa i jego towarzyszy.

– Wracajmy do miejsca, gdzie pozostawiliśmy prom – rzekł Kamis.

– Obejdźmy jeszcze las w pobliżu chaty, aby się przekonać, czy nie napotkamy gdzie szczątków doktora i jego służącego – radził Cort. – Może krajowcy chcieli ich uprowadzić w głąb lasu, może ich zabili i kto wie, czy kości tych biedaków nie leżą gdzie w lesie pozbawione pogrzebu chrześcijańskiego.

– W takim razie naszym obowiązkiem byłoby pochować je w ziemi.

Lecz wszelkie poszukiwania pozostały bezowocne. Oczywiście nieszczęśliwy doktor został uprowadzony przez krajowców, których brał za małpy.

– Mamy więc dowód, że las Ubangi bywa nawiedzany przez koczujące plemiona – rzekł Cort – i powinniśmy się mieć na baczności.

– Ma pan słuszość – potwierdził Kamis – wracajmy naprawiać prom.

– Nie dowiemy się więc, co się stało z poczciwym doktorem? – zapytał Huber. – Gdzie on może być teraz?

– Tam, skąd nie możemy otrzymać od niego żadnej wiadomości – odparł Cort.

– Tak mniemasz, Janie?

– Bezwątpienia, mój drogi Maksie!

Gdy powrócili do groty, była godzina dziewiąta rano. Kamis zajął się przygotowaniem śniadania. Ponieważ mieli teraz kociołek, Huber zaproponował, aby zamiast pieczonego mięsa, spożyć mięso gotowane.

– Będziemy mieli odmianę w posiłku – rzekł.

Projekt ten przyjęto chętnie i na ogniu postawiono kociołek z mięsem. Około południa podróżni nasi zajadali z apetytem zupę, do której brakowało im chleba, włoszczyzny, a nadewszystko soli.

Apetyt ich podniecała praca około promy, którego naprawą zajęci byli przed i po śniadaniu. Przynieśli z sobą kilka desek, które znaleźli za opuszczoną chatą doktora i temi naprawiali prom, a była to ciężka praca, ze względu na brak narzędzi. Deski spajali za pomocą ljan, mocnych jak druty żelazne, lub co najmniej jak liny okrętowe. O zachodzie słońca dopiero skończyli swoją pracę. Nazajutrz o świcie mieli się puścić w dalszą drogę. Na noc schronili się do groty przed deszczem,

który zaczął padać z wieczora.

Maks Huber myślał o tym, że opuszcza na zawsze miejsce, gdzie znaleźli ślad zaginionego doktora Johansena i że nie będą się starali dowiedzieć, co się z nim stało. Myśl ta zajmowała go wyłącznie i podniecała jego wyobraźnię, spędzając sen z powiek. Gdy przymknął oczy, zdawało mu się, że widzi i słyszy, jak pawiany, szympanse i goryle rozmawiają ze sobą. Potym szydził z siebie, mówiąc, że to urojenie, gdyż doktor słyszał zapewne rozmawiających krajowców. Wtedy inne obrazy przesuwały się w jego wyobraźni: puszcza z tajemniczą gęstwiną, w której kryły się nieznane ludzkie plemiona i wsie rozrzucone wśród drzew i pnączy. Wreszcie nie mógł wytrzymać i rzekł:

– Posłuchajcie mnie, Janie i Kamisie, chciałbym wam uczynić jedną propozycję...

– Cóż takiego, Maksie?

– Żebyśmy coś uczynili dla tego biednego doktora...

– Czy pan chce, abyśmy poszli go szukać? – zawołał Kamis.

– Nie, wiem, że obecnie jest to niemożliwe, ale na pamiątkę biednego doktora, nazwijmy tę rzekę rzeką Johansen, gdyż sądzę, że nie ma ona żadnej nazwy.

Jednomyślnie przyjęto tę nazwę rzeki i tak ją odtąd nazywają na mapach.

Noc przeszła spokojnie i podróżni nasi, chociaż czuwali kolejno, nie usłyszeli już jednak żadnych dźwięków podobnych do mowy ludzkiej.

ROZDZIAŁ IX

Z biegiem rzeki Johansen.

Dnia 16 marca, o godzinie wpół do siódmej rano, prom wraz z naszymi podróżnikami odbił od brzegu.

Zaledwie świt rozjaśnił niebiosa, silny wiatr rozpędzał resztki chmur, zdawało się, że deszcz padać już nie będzie.

Prom był długi dwanaście metrów, a szeroki przeszło siedem; cztery osoby wygodnie na nim pomieścić się mogły, jak również przedmioty, które ze sobą zabierali, a mianowicie: skrzynkę z nabojami, kociołek, filiżankę, karabiny i rewolwery. Ładunki znalezione w chacie nie nadawały się do rewolwerów tylko do karabinów.

– Może nie będziemy mieli do czego strzelać – rzekł Cort – zresztą, idzie o to, aby nam wystarczyło ładunków tylko do tej pory, póki się nie dostaniemy do brzegów Ubangi.

Na przedniej części promu, na warstwie starannie uklepanej ziemi, przygotowany był stos suchych gałęzi, na wypadek, gdyby potrzebowali rozniecić ogień. Z tyłu znajdował się rodzaj steru, aby można było kierować promem.

Rzeka szeroka była na pięćdziesiąt metrów, a bieg jej wody szybki.

– Jeżeli ciągle będziemy płynęli tak szybko – powiedział Kamis – to za dwadzieścia dni dopłyniemy do Ubangi, nie męcząc się nadzwyczajnie. Może nie napotkamy żadnych przeszkód na rzece.

Podróżni nasi przekonali się tylko na razie, że rzeka była głęboka i kręta, mogły więc dalej znajdować się na niej i wodospady.

Do południa żegluga odbywała się pomyślnie, dzięki dobremu sterowaniu i zręczności Kamisa.

Jan Cort stał oparty na karabinie, upatrując ptaków wodnych, w celu zaopatrzenia spiżarni. Polowanie powiodło mu się niespodziewanie dobrze, zabił bowiem na wybrzeżu antylopę.

– Piękny strzał – rzekł Maks Huber.

– Ale bezużyteczny – dodał Cort – bo może nie będziemy mogli zabrać tego zwierzęcia.

– A dlaczegożby nie? – zapytał Kamis.

I przybił do brzegu, na którym leżała zabita antylopa. Obciągnęli zwierzę ze skóry i rozćwiertowali je.

– Będziemy mieli na dwa razy tego mięsa – rzekł Kamis.

Huber zajął się rybołówstwem, urządziwszy sobie wędkę ze sznurka, znalezionego w chacie doktora. Jako haczyka, użył kolców akacji, na które założył kawałki mięsa.

– Czy tylko ryby dadzą się złapać na wędkę? – rzekł i usadowił się na brzegu promu, a Langa, ukląsży obok niego, śledził pilnie, czy ryba się złapie.

Wkrótce złapał się na wędkę duży szczupak. Maks z trudem wciągnął go na prom, gdyż ryba ważyła od ośm do dziewięciu funtów.

– Będzie z niej królewska uczta! – zawołał Maks.

Ma się rozumieć, że nie czekali na tę ucztę do dnia następnego, lecz zaraz na drugie śniadanie spożyli rybę wraz z kawałkiem pieczonej antylopy. Na obiad postanowili przyrządzić sobie zupę z antylopy, a ponieważ to zajęłoby kilka godzin czasu, Kamis rozpalił ogień na ubitej ziemi na promie i postawił na nim kociołek z mięsem, poczym żegluga odbywała się w dalszym ciągu aż do wieczora.

Popołudniu Maks nie złowił żadnej ryby. Około godziny szóstej wieczorem Kamis zatrzymał się przy skalistym brzegu, ocienionym gałęzmi gumowego drzewa. I dobre wybrał miejsce na odpoczynek, gdyż pomiędzy kamieniami znajdowało się mnóstwo muszli i ostryg, które stanowiły smaczny dodatek do wieczery.

– Gdyby było trochę soli i chleba, wieczera byłaby doskonałą – westchnął Cort.

Noc zapowiadała się ciemna, Kamis więc nie chciał płynąć dalej. Podróźni nasi postanowili zanocować pod drzewem gumowym, na stosie suchej trawy. Naturalnie, że znowu wszyscy trzej czuwali kolejno.

– Mogę was zapewnić, że małpy nie rozmawiały ze sobą bynajmniej – rzekł nazajutrz zrana Huber, myjąc twarz i ręce w rzece. – Jestem tak pogryziony przez mustyki – dodał – że może zimna woda przyniesie mi niejaką ulgę.

Pomimo jednak ранego wstania, nie mogli zaraz wyruszyć w drogę z powodu ulewnego deszczu; lepiej więc było pozostać pod gałęzmi drzewa. Pogoda zmieniła się zupełnie, dzień był burzliwy. Od deszczu na wodzie robiły się bańki, zdaleka dochodził odgłos grzmotu; tylko gradu nie należało się lękać, gdyż lasy Afryki mają tę własność, że ochraniają od tej klęski.

– Dopóki deszcz nie przestanie, nie ruszajmy się – rzekł Cort. – Głodu nie zaznamy, mając naboje, ale brak nam ubrań do zmiany, gdybyśmy przemokli...

– Najlepiej byłoby ubrać się podług mody krajowej – odpowiedział, śmiejąc się, Huber – w skórę ludzką. Moda taka ułatwiałaby wiele rzeczy. Dość byłoby się wykapać, aby tym sposobem wyprać swoją bieliznę i wytarzać się w trawie, aby wyczyścić ubranie.

Wbrew przewidywaniom i obawie ulewa trwała tylko godzinę. Przez ten czas podróżni nasi zjedli śniadanie, przy którym ukazała się znowu nowa potrawa: jajka dropi ugotowane na twardo we wrzącej wodzie. Huber uskarżał się, że do tej potrawy nie ma soli, gdyż tylko tego brakowało tak smacznej i pożywnej potrawie.

O godzinie wpół do ósmej zrana deszcz przestał padać, ale niebo pozostało zachmurzone; wyruszono zatem w dalszą drogę. Maks zarzucił wędki i znowu złowił kilka ryb, z których postanowiono przygotować sobie obiad.

– Nie traćmy czasu na obiad – powiedział Kamis – możemy go zgotować na promie; tym sposobem wynagrodzimy sobie czas stracony z powodu ulewy.

Cort rozpalił ogień i postawił na żarzących się węglach rynkę z rybami. Ponieważ mieli jeszcze zapas mięsa z antylopy, nie strzelali tego dnia do zwierzyny.

Ta część lasu obfitowała w zwierzynę i ptactwo wodne. Różne gatunki antylop migały wśród drzew i nadbrzeżnej trzciny. Oprócz tego ukazywały się danieli i łosie, gazy i jelenie afrykańskie, a nawet żyrafy, których mięso jest bardzo smaczne. Z łatwością można było ubić jakie zwierzę, ale nie potrzebowano jeszcze pożywienia.

– Szkoda, wielka szkoda, że jestem zmuszony oszczędzać ładunków – mówił Huber – ręka sama chwyta za cyngiel, gdy widzę zwierzynę.

Ale podróżni nasi niezadługo musieli użyć broni i do tego w sprawie odpornej, a nie zaczepnej.

Od rana przebyli przestrzeń z dziesięć kilometrów. Rzeka wiła się kręto, nie zbaczając jednakże z kierunku północno-zachodniego. Wybrzeża rzeki były bardzo urozmaicone: tuż nad wodą rosły wielkie drzewa, głównie bambusy, rozciągając daleko swe gałęzie w kształcie parasola. Choć rzeka miała mniej więcej od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu metrów szerokości, to jednak, gdy drzewa rosły po obydwu jej brzegach, gałęzie ich łączyły się ze sobą, tworząc ponad wodą zielone sklepienie, poplątane jeszcze ljanami, tak, że małpy z pewnością mogły się przedostać po tym zielonym moście z jednego brzegu na drugi.

Słońce wybiło się z po za chmur, a palące jego promienie rozsiewały po wodzie olśniewające blaski. Ale podróżni nasi nie cierpieli od upału, gdyż osłaniały ich gałęzie drzew. Zdawało im się, że znajdują się jeszcze wśród lasu, z tą różnicą, że nie męczyli się pieszą wędrówką i przedzieraniem się przez cierniste krzaki.

– Ten las Ubangi wygląda jak wspaniały park – rzekł Cort. – Możliwe, że znajdujemy się w parku „National” w Stanach Zjednoczonych, przy źródłach Missuri.

– W parku zamieszkałym przez małpy – żartował Huber – bo jest ich tu moc niezliczona. Jesteśmy w królestwie, w którym panują goryle i szympanse.

Wistocie małpy ukazywały się wszędzie, na wybrzeżu i w gąszczu leśnym. Kamis i jego towarzysze dotychczas nie widzieli jeszcze ani tak wiele, ani tak zręcznych małp.

Wszystkie skakały z gałęzi na gałąź, przewracały koziółki i krzyczały na rozmaite tony.

– Zdaje mi się, że bardzo mała różnica zachodzi pomiędzy krajowcami tutejszemi a małpami – rzeki złośliwie Huber.

– Istnieje jednak wielka różnica pomiędzy człowiekiem obdarzonym rozumem, a zwierzęciem obdarzonym instynktem – odpowiedział Cort.

– Ich instynkt jest więcej wart, niż rozum ludzi dzikich, mój kochany Janie!

– Nie przeczę, Maksie; nie odstąpię jednak od mego przekonania, że przepaść oddziela ludzi od małp.

– Bezwątpienia! potwierdził Huber.

Lecz w tej chwili trzeba było przerwać rozprawę naukową, a pomyśleć raczej o własnej obronie, gdyż małpy zebrane gromadnie zaczynały okazywać bardzo nieprzyjazne względem podróżnych usposobienie.

Kamis był tym żywo zaniepokojony. Krew falą uderzyła mu do głowy: zmarszczył czoło, oczy jego błyszczały groźnie.

– Miejmy broń nabitą i ładunki pod ręką – rzekł do Jana i Maksa – bo niewiadomo, co z tego wyniknąć może...

O! jeden wystrzał rozproszy tę bandę! – zawołał lekceważąco Huber i przyłożył strzelbę do oka.

– Niech pan nie strzela, panie Maksie! – zawołał żywo Kamis. – Nie trzeba ich zaczepiać... nie trzeba drażnić! Dość, jeżeli będziemy zmuszeni się bronić!

– Ależ one zaczepią – odparł Cort.

– Ale my nie zaczepiajmy, póki nas nie zaczepią – powiedział stanowczo Kamis.

Niedługo czekali na zaczepkę.

Wielkie małpy zaczęły ciskać z wybrzeża kamienie i gałęzie, a wiadomo, że te zwierzęta są obdarzone niepospolitą siłą. Mniejsze ciskały owoce.

Kamis usiłował kierować promem wpośrodku rzeki, zdała od brzegów, aby nie narażać się na pociski. Schronić się nie było gdzie, a tymczasem liczba napastników wzrastała z każdą chwilą i pociski dosięgały już promu.

– Tego już zanadto – zawołał z gniewem Maks Huber.

I biorąc na cel wielkiego goryla, kryjącego się w trawie, powalił go jednym strzałem.

W odpowiedzi na strzał rozległy się przerażające wrzaski. Lecz małpy nie uciekły. Nie starczyłoby ładunków, gdyby chcieli do wszystkich strzelać, a co najgorsza pozostałoby bez środków zapewnienia sobie nadal pożywienia.

– Nie strzelajmy, gdyż to jeszcze bardziej rozdrażnia te szkaradne zwierzęta – radził Cort. – Może też wyjdziemy bez szwanku z tej napaści.

– Aha! – zawołał Huber, którego kamień ugodził w nogę.

Małpy wciąż ich ścigały; koryto rzeki było w tym miejscu wyższe i kręte, lecz prom płynął szybko z biegiem wody. Może noc uwolni zbłąkanych od napastników.

– Dziś będziemy chyba płynęli przez całą noc – powiedział Kamis.

Lecz do nocy było jeszcze daleko, była zaledwie godzina czwarta po południu, a napaść przybierała charakter coraz groźniejszy. W umyśle naszych podróżnych powstawała obawa, żeby małpy nie wdarły się na prom. Wprawdzie małpy zarówno jak koty nie lubią wody, nie było więc obawy, aby przebyły ją wplaw, ale gałęzie, zwieszające się nisko nad wodą, ułatwiały im dostęp do promu. Nie byłoby to nic trudnego dla tych zwierząt zarówno zręcznych jak złośliwych. Pięciu lub sześciu goryli czekało na gałęziach bombaksu na nadpływający prom. Cort dostrzegł je pierwszy; nie można się było pomylić co do ich nieprzyjacielskich zamiarów.

– Ognia! – zakomenderował Kamis.

Trzy wystrzały padły prawie jednocześnie: trzy małpy spadły w fale rzeki. Wrzaski znów się spotęgowały. Małpy zaczęły nadbiegać ze wszystkich stron, gotowe rzucić się na prom.

Musieli szybko nabić broń i strzelać znowu. Zranili ze dwanaście goryli i tyleż szympansov, zanim zbliżyli się do miejsca, gdzie małpy urządziły zasadzkę. Przerazone zwierzęta uciekły na wybrzeża.

– Gdyby profesor Garner był zamieszkał wśród tego lasu, byłby go spotkał ten sam los, co doktora Johansena – mówił Cort – małpy niewątpliwie przyjęłyby go z tą samą co nas zjadłością. Teraz rozumiem, w jaki sposób doktor zniknął.

– Małpy musiały napaść na doktora nie w chacie, lecz w lesie – dodał Huber – znając bowiem ich skłonność do niszczenia, sądzę, że byłyby zrujnowały chatę.

Większe jeszcze niebezpieczeństwo groziło teraz naszym podróżnym. Koryto rzeki zwężyło się coraz bardziej. Oprócz tego o jakie sto kroków przed niemi widać było ostry zakręt rzeki, a szum wody wskazywał wir. Kamis o ile mógł kierował się ku środkowi. Trzeba było znów strzelać, w chwili, gdy prom zbliżał się do wiru.

Nagle goryle zaczęły się cofać, nie wystrzały jednak spowodowały ten odwrót, lecz nadciągająca burza.

Szare, ciężkie chmury zaciągały cały horyzont, jaskrawe błyskawice zaczęły zjawiać się wpośród chmur, i wkrótce burza wybuchnęła z całą gwałtownością, właściwą strefom południowym.

Huk grzmotów i piorunów przeraził mały, jak wogóle wszystkie zwierzęta, wrażliwe na działanie elektryczności. Uciekały więc spłoszone, przelękłe, szukając ochrony przed burzą w gąszczu leśnym.

W kilka chwil później obydwie wybrzeża były puste, tylko ze dwadzieścia małych leżało pozbawionych życia wśród trzciny nad wodą.

ROZDZIAŁ X

Ngora!

Nazajutrz niebo było pogodne, bez najlżejszej chmurki, przez gałęzie drzew przeglądał czysty błękit. O wchodzie słońca trawy i liście drzew lśniły się od kropel rosy.

Burza trwała do godziny trzeciej po północy. Podróżni nasi, po ucieczce małp, przybili do brzegu, wyminawszy szczęśliwie wir, którego się obawiali. Na wybrzeżu wznosił się w tym miejscu olbrzymi baobab, którego pień był w środku wypróchniały. Kamis i jego towarzysze pomieścili się w tym pniu, dokąd przenieśli broń, ładunki i sprzęty jakie posiadali.

O wschodzie słońca wyruszyć mieli w dalszą drogę; resztę upieczonej zwierzyny postanowili spożyć na zimno, na pierwsze śniadanie.

– Burza wczorajsza nadeszła w samą porę – rzekł Jan do Maksa.

Obydwaj zajęci byli czyszczeniem broni. Langa upatrywał w zaroślach gniazd i jajek.

– Bezwątpienia – odparł Maks – oby tylko te szkaradne zwierzęta nie pojawiły się znowu.

Kamis także się obawiał powrotu małp, ale w lesie cicho było i spokojnie.

– Przeszedłem ze sto kroków wybrzeżem i niedostrzegłem ani jednej małpy – rzekł Cort.

– To dobra wróżba – odpowiedział Maks – nie będziemy psuli ładunków na strzelanie do małp; lękam się, że wszystkie kule na to zużyć musimy.

– Byłoby to bardzo smutne – rzekł Cort – bo z pewnością nie napotkamy drugiej chaty doktora Johansena, w której moglibyśmy się zaopatrzyć w proch i kule.

– Gdy myślę o tym, że poczciwy doktor chciał zawiązać stosunki przyjacielskie z takimi istotami, to aż mnie dreszcz przenika – zawołał Huber.

– Mój drogi, Garner wyszedł z tej próby bez szwanku, ale biedny Johansen...

– No, temu z pewnością pawjany pogruchotały kości – przerwał Huber. – Ze sposobu, w jaki nas przyjmowały wczoraj, można wnioskować, czy to są stworzenia cywilizowane i czy można mieć nadzieję, że się kiedykolwiek ucywilizują.

– Widzisz, Maksie, ja sędzę, że zwierzęta pozostaną zawsze zwierzętami...

– A ludzie ludźmi! – dokończył, śmiejąc się Maks Huber. – Lecz bez żartów. Muszę wyznać szczerze, jest mi bardzo przykro, że powrócę do Libreville, nie zasięgnąwszy żadnych wiadomości o doktorze.

– I mnie przykro, ale więcej myślę o tym, czy wydostaniemy się szczęśliwie z tego lasu.

– Mam nadzieję...

– Ale żebyśmy się stąd już wydostali!

Wprawdzie podróż nie była teraz tak nużąca, ale można się było obawiać wirów i wodospadów.

W tej chwili Kamis zawołał na śniadanie. Langa przyniósł kilka jajek kaczych, które pozostawiono na obiad, wraz ze sporym kawałkiem mięsa antylopy.

– Nie będziemy potrzebowali strzelać dziś do zwierzyny – rzekł Kamis.

– Myślę nad tym, czy nie moglibyśmy zużytkować mięsa małp? – zapytał Cort

– Ach, fe!... szkaradzieństwo!... – odrzekł Huber.

– Patrzcie, jaki wybredny!

– Ależ, mój kochany Janie, ja miałbym jeść kotlety z goryla, polędwicę z szympansa lub potrawkę z mandryla?!...

– Mięso małpie nie jest złe – przerwał mu Kamis. – Krajowcy nie pogardzają nim.

– Jabym tam jadł, jeśli bym był zmuszony – rzekł Cort.

– Ludożerca! – zawołał Maks Huber. – Jeść stworzenia tak do siebie podobne.

– Dziękuję ci, Maksie!

Pomimo tej sprzeczki, pozostawiono małpy na pastwę drapieżnych ptaków, gdyż las Ubangi obfitował w zwierzynę i ptactwo smaczniejsze od mięsa małp.

Kamis z trudem zepchnął prom na wodę. Wszyscy musieli mu pomagać. Grubemi gałęziami, które ucieli z drzew, odpychali się od brzegu. Gdyby teraz napadły ich małpy, nie obroniłyby się wcale. Wreszcie prom wydostał się na środek rzeki i popłynął z jej falami.

Dzień zapowiadał się piękny, na niebie nie ukazywała się ani jedna chmurka; słońce świeciło jasno i upał stałby się nieznośnym, gdyby nie wiatr północny. Jeżeliby prom posiadał żagiel, wiatr dopomagałby mu do żeglugi.

Rzeka stawała się coraz szerszą, gałęzie drzew rosnących na wybrzeżach nie łączyły się już ze sobą i nie tworzyły cienistego sklepienia. Teraz napaść małp nie byłaby już tak groźną; zresztą te

czwororękie stworzenia nie ukazywały się wcale.

Ale wybrzeża rzeki nie były puste; wśród drzew uwijało się mnóstwo ptaków, które krzykiem i śpiewem napełniały powietrze.

Były tam kaczki, dropie, pelikany i czaple. Jan Cort upolował kilka sztuk, które upieczono na obiad; dodali jeszcze do tego smaczne jajka ptasie, znalezione na wybrzeżu przez Langa.

Połowa dnia minęła bez żadnej przygody. Popołudnie zato nie przeszło tak spokojnie.

Była może godzina czwarta po południu, gdy Kamis poprosił Corta, aby go zastąpił przy sterze, a sam poszedł na przód promu. Huber baczny okiem powiódł po wybrzeżach i zapytał Kamisa:

– Czego tak upatrujesz? Co tam widzisz?

– Niech pan także uważnie popatrzy – odparł Kamis, wskazując w pewnej odległości na jakieś wzburzenie fal wpośrodku rzeki

– Znowu wir! – zawołał Maks Huber – uważajmy, żebyśmy ominęli to miejsce.

– To nie wir – odparł Kamis.

– Więc cóż to takiego?

Zanim Kamis zdołał odpowiedzieć, z wody trysnęła jakby fontanna, wysoka na dziesięć stóp.

Maks Huber zawołał zdziwiony:

– Czyżby w rzekach Afryki środkowej znajdowały się wieloryby?

– Nie, ale są hipopotamy – odparł Kamis.

W tej chwili dało się słyszeć sapanie i z wody wynurzyła się olbrzymia głowa i szczęki uzbrojone w potężne kły. Gdy hipopotam otworzył paszczę, zdawało się, że to są ćwierci mięsa wystawione u rzeźnika.

Hipopotamy można napotkać od przylądka Dobrej Nadziei aż do dwudziestego trzeciego stopnia szerokości geograficznej północnej; przebywają one w rzekach, bagniskach i jeziorach. Gdyby rzeka Johansen wpadała do morza Śródziemnego, nie należałoby się lękać napaści tych zwierząt ziemnowodnych, gdyż ukazują się tylko w górnym Nilu.

Hipopotam, podrażniony, wpada w szał i wtedy jest straszliwym przeciwnikiem.

Podróżni nasi nie mieli zamiaru zaczepiać takiego groźnego zwierzęcia, lecz hipopotam mógł sam na nich napaść, a gdyby nacisnął łódkę ciężarem swego cielska, które waży około dwóch tysięcy kilogramów, gdyby zaczepił o nią kłami, nasi podróżni byliby zgubieni.

Woda płynęła bystro. W tym miejscu, lepiej więc było płynąć, aniżeli zbliżyć się do brzegów, gdyż chociaż hipopotam mógł ich ścigać i na lądzie, nie był on jednak tak groźnym, jak w wodzie, gdzie mógł prom przewrócić lub zdruzgotać. Kamis i jego towarzysze możeby się w pław dostali na wybrzeże, ale coby zrobili bez promu?

– Najlepiej wyminąć zwierza w ten sposób, aby nas nie widział – rzekł Kamis. – Położmy się na promie, zachowujmy się cicho i bądźmy przygotowani na to, żeby wskoczyć do wody, jeżeli konieczność zmusi nas do tego.

– Ja będę się opiekował tobą, Langa! – rzekł Huber.

Stosując się do rady Kamisa, wszyscy pokładli się na promie: może też na szczęście hipopotam ich nie spostrzeże.

Za chwilę usłyszeli chrapanie i sapanie, fale zakołysały silnie promem. Trwoga miotła sercami naszych podróżnych, czy potwór podrzuci ich swą olbrzymią głową, czy zatopi?

Lecz prom coraz spokojniej płynął po rzece i sapanie oddalało się także. Zwolna znajomi nasi podnieśli głowy i dostrzegli, jak olbrzymie zwierzę pogrzyżyło się w wodzie. Odetchnęli swobodnie, dziękując Bogu, że im się udało uniknąć niebezpieczeństwa. Może się to trochę wydać dziwnym, że zlekli się hipopotama myśliwi, którzy wielokrotnie polowali na słonie pod wodzą Urdaksa i nieraz napotykali hipopotamy w bagnach Ubangi, lecz czynili to w warunkach bardziej sprzyjających.

Wieczorem Kamis zatrzymał się przy ujściu jakiegoś strumienia z prawej strony. Było to doskonale obrane miejsce na nocleg. Kilka drzew bananowych ocieniało je szerokimi liśćmi. Na wybrzeżu znajdowało się mnóstwo jadalnych mięczaków, które nasi podróżni zajadali surowe lub gotowane, stosownie do gatunku. Banany nie bardzo im smakowały, ale sok tych owoców w połączeniu z wodą ze strumienia, wytworzył napój przyjemny i orzeźwiający.

– Wszystko byłoby dobrze, gdybyśmy tylko mogli spać spokojnie – rzekł Maks Huber – tymczasem, na nieszczęście, te przekłete mustyki znowu nas kęsać będą.

Ale Langa wynalazł sposób odpędzenia złośliwych owadów. Zaczął chodzić i szukać czegoś wśród krzaków, wreszcie zawołał Kamisa i objaśnił go, że mierzwa zwierzęca, którą napotkał, dorzucona do ognia, wydziela gryzący i nieprzyjemny dym; odpędza on mustyki, a sposobu tego używają krajowcy.

Zaraz też spróbowano tego sposobu, który okazał się bardzo skutecznym.

Cort, Huber i Kamis przez całą noc podtrzymywali ogień, zmieniając się kolejno. Tym sposobem wypali się doskonale i wstali nazajutrz ze świeżym zapasem sił.

W Afryce południowej pogoda bywa nadzwyczaj zmienna. Jednego dnia nie widać na niebie ani jednej chmurki, a na drugi deszcz pada. Tak też było i teraz; od świtu zaczął padać deszcz drobny, ale gęsty, który mógł się dać we znaki naszym podróżnym.

Na szczęście, Kamisowi przyszła do głowy myśl doskonała: z liści bananu, które są największymi

może okazami w świecie roślinnym i którymi dzicy pokrywają dachy swoich lepianek, utworzył rodzaj baldachimu na środku promu, związawszy u dołu liście zapomocą pnączy. Tym sposobem podróżni nasi znaleźli osłonę przed deszczem.

Z rana ujrzeni na prawym wybrzeżu kilkanaście małych większego gatunku, nie chcąc się więc narażać na jaką z ich strony zaczepkę, płynęli bliżej lewej strony rzeki.

Płynęli przez cały dzień bez przerwy, nie zatrzymując się na obiad, przybili do brzegu tylko na chwilę, aby zabrać antylopę, którą zabił Cort.

W tym miejscu rzeka tworzyła zakręt i zwracała się, prawie pod kątem prostym, w stronę południowo-wschodnią. Kamis bardzo się tym zafrasował, gdyż celem ich podróży było dążyć na zachód, w stronę Atlantyku. Nie ulegało wątpliwości, że rzeka Johansen jest dopływem Ubangi, ale szukać tego dopływu dalej, o setki kilometrów, aż w południu niepodległej krainy Kongo, cóż za zboczenie z drogi!

Lecz po godzinie Kamis zauważył z radością, że rzeka przybiera napowrót ten sam, co poprzednio kierunek; nie należało więc tracić nadziei, że dopłyną do granicy francuskich posiadłości w Kongo, skąd już z łatwością dostaną się do Libreville.

O godzinie wpół do siódmej przed wieczorem Kamis przybił do lewego brzegu, tworzącego w tym miejscu rodzaj małej zatoki, ocienionej wielkimi drzewami, z gatunku mahoniowych, znajdujących się obficie w lasach Senegalji.

Deszcz przestał padać, ale niebo pokryte było chmurami i można się było spodziewać, że noc będzie chłodna. Wkrótce na wybrzeżu zabłysł ogień, na którym upiekła się antylopa. Langa nie mógł znaleźć mięczaków, ani bananów do zaprawienia wody, musieli się więc obejść bez tych przysmaków.

O godzinie wpół do ósmej nie było jeszcze całkiem ciemno. Niepewny blask odbijał się w wodzie rzeki; na jej powierzchni pływały trzciny, gałęzie roślin i pnie drzew, oderwane z wybrzeża.

Podczas gdy Cort, Huber i Kamis zajęci byli przygotowaniem posłania z zeschniętych liści, Langa przechadzał się na wybrzeżu, bawiąc się przypatrywaniem temu, co niosły fale rzeki. W tej chwili nadpływał spory pień drzewa, nie pozbawiony jeszcze gałęzi i liści, wśród których widać było owoce; oczywiście, że drzewo złamała ostatnia burza.

Langa nie byłby zwrócił uwagi na ten pień, gdyby nie pewien szczegół, który go zaciekał. Oto zdawało mu się, że pomiędzy gałęziami dostrzega jakąś postać żyjącą, która ruchami rąk zdawała się wzywać pomocy. Zapadający zmrok nie dozwalał dokładnie rozpoznać tej postaci. Zaciekawiony i zaniepokojony Langa chciał już zawołać Maksa i Jana, gdy nagle prąd fal popchnął pień w zatokę, gdzie się znajdował prom. W tej chwili dał się słyszeć krzyk dziwny, szczególny, a raczej rodzaj rozpaczliwego nawoływania, jakby jakaś istota ludzka błagała o pomoc i ratunek.

Następnie, gdy pień mijał już zatokę, istota znajdująca się pomiędzy gałęziami skoczyła w wodę, z zamiarem wydostania się na brzeg.

Langa mniemał, że to dziecko, wzrostem mniejsze od niego. Zapewne znajdowało się ono na drzewie w chwili, gdy je burza zdruzgotała. Ale czy takie dziecko potrafi pływać? Było to rzeczą bardzo wątpliwą. Siły opuszczały je widocznie... Walczyło z falami... To ukazywało się na powierzchni wody, to pogrążało się w jej głębi. Od czasu do czasu dziwny krzyk wydobywał się z jego gardła.

Powodowany uczuciem litości Langa bez namysłu wskoczył do wody i dopłynął do miejsca, gdzie w nurtach rzeki dziecko zniknęło.

W tej chwili Cort i Huber, którzy usłyszeli pierwsze krzyki, przybiegli na brzeg. Spostrzegszy Langa pasującego się z prądem rzeki, podali mu rękę, aby mu dopomóc do wydostania się na brzeg.

– Langa, cóżeś tam złowił? – zapytał Huber.

– Dziecko, przyjacielu Maksie, które o mało się nie utopiło.

– Dziecko?

– Tak, przyjacielu Janie.

I Langa ukląkł przy małej istotce, którą ocalił od niechybnej śmierci. Huber podszedł blisko, aby się lepiej przypatrzeć temu dziecku.

– To nie dziecko! – zawołał, cofając się.

– A cóż?

– To mała małpka... potomek tych szkaradnych małp, które na nas napadały. I dla ocalenia tej małpki sam narażałeś się na to, że mogłeś życie postradać!...

– To dziecko... to dziecko... – powtarzał uparcie Langa.

– A ja ci mówię, że nie, i radzę ci, abys to małpię odesłał do lasu, do jego rodziny.

Ale Langa, pomimo zapewnień przyjaciela Maksa, uporczywie dowodził, że mała istotka, którą ocalił i która jeszcze nie odzyskała przytomności, jest dzieciąciem. Wziął ją na rękę i tulił w objęciu. Nie broniono mu więc, aby się zajął dzieciąciem. Langa, przekonawszy się, że stworzenie oddycha, zaczął je nacierać, ogrzewać i ułożył na pościeli z zeschniętej trawy, oczekując, aż się przebudzi.

Jan, Maks i Kamis znowu kolejno mieli czuwać noc całą.

Langa nie mógł zasnąć, gdyż niepokój o protegowaną przez niego istotę, spędzał mu sen z powiek; trzymał ją za rękę, nasłuchiwał słabego oddechu. Wreszcie ze zdumieniem około północy usłyszał jeden wyraz, wymawiany cichym, osłabionym głosem: „Ngora... ngora...” Tak, to dzieciąć wzywało swojej matki!

ROZDZIAŁ XI

Dzień 19-go marca.

Podróżnym naszym zdawało się, że przebyli już ze dwieście kilometrów, bądź pieszo, bądź płynąc po rzece Johansen; ale była to może zaledwie połowa drogi do Ubangi.

O świcie wsiedli na prom wraz z małym protegowanym Langa, który umieścił swego wychowanka pod dachem z liści bananowych i nie chciał go odstąpić ani na chwilę, czekając, aż się przebudzi.

Huber i Cort nie wątpili ani na chwilę, że przygarnięte stworzenie było członkiem rodziny czwororękich, zamieszkujących na lądzie afrykańskim szympansów, orangutangów, goryłów, mandryłów lub pawjanów. To też nie mieli ochoty przypatrywać mu się zblizka, było to dla nich rzeczą obojętną, do jakiego gatunku należał przybłęda. Langa go ocalił i pragnął go zatrzymać, tak, jak się przygarnia biednego pieska, z litości; zgodzili się na to chętnie, uważając to za objaw dobrego serca Langa.

– Niech tam wychowuje sobie tę małpkę – mówił Maks do Jana – chociaż jestem pewny, że ona, skoro tylko odzyska siły, ucieknie do lasu, i porzuci bez żalu swego wybawcę.

Gdyby Langa powiedział im, iż ta małpa mówi, byłby może tym podniecił ich ciekawość, byłiby się może pilniej przypatrywali temu stworzeniu.

Może odkryliby jaki nowy gatunek małp mówiących, nieznanych dotychczas.

Ale Langa milczał, gdyż zdawało mu się, że źle słyszał. Postanowił więc tylko uważać na swego wychowanka, a jeżeli posłyszcy wyraz „ngora,” powie o tym natychmiast Janowi i Maksowi.

Tymczasem siedział pod daszkiem z liści bananowych i chciał, aby jego wychowanek pożywił się czymkolwiek. Lecz jeśli to była małpa, nie jadłaby nic oprócz owoców, a na promie mieli tylko kawałek mięsa antylopy. Wychowanek Maksa miał gorączkę i ciągle drzemał.

– Jakże się miewa twoja małpa? – zapytał Maks Huber Langa.

– Śpi ciągle, przyjacielu Maksie!

– I chcesz ją mieć przy sobie?

– Tak, jeśli pozwolisz...

– I owszem, ale strzeż się, aby cię nie podrapała...

– Ależ przyjacielu Maksie...

– Takim stworzeniom nie należy dowierzać, są one złe, jak koty...

– Ale nie ta... ona taka maleńka... taka wydaje się łagodna...

– Jeżeli chcesz mieć z niej towarzyszkę, powinieneś jej nadać jakieś imię.

– Imię?... Ale jakie?...

– Żoko, na przykład... wszystkie małpy nazywają się Żoko.

Ale to imię nie przypadło do gustu Langa, gdyż nic nie odpowiedział i wrócił do swego wychowanka.

Upał tego dnia nie dokuczał naszym podróżnym, gdyż słońce nie wydostało się jeszcze z po za chmur. Drzewa na wybrzeżu stawały się coraz rzadsze, a grunt coraz bardziej bagnisty. Las oddalony był teraz o jakie pół kilometra od wybrzeża. Niebo ciągle zachmurzone, groziło deszczem.

Ponad błotami unosiły się wodne ptaki, lecz natomiast zwierząt przeżuwających nie było widać, ku wielkiemu zmartwieniu Maksa, który z nabitym karabinem pilnie śledził wybrzeża rzeki.

Na obiad musieli poprzestać na ptactwie. Chociaż nie cierpieli głodu, ale jednostajne pożywienie bardzo im się uprzykrzyło. Jeść ciągle mięso pieczone lub gotowane, a czasem rybę i to wszystko bez soli, popijać tylko czystą wodą, nie mieć ani chleba, ani owoców, to rzecz bardzo przykra. Jakże pragnęli dostać się do zamieszkałych okolic Ubangi, gdzie misjonarze podjęliby ich gościnnie!

Tego dnia Kamis napróżno szukał miejsca odpowiedniego na odpoczynek. Wybrzeża zarośnięte olbrzymimi trzciniami wydawały się niedostępne.

Płynęli bez przerwy do godziny piątej po południu. Jan i Maks rozmawiali o przygodach napotykanym w podróży. Przypominali sobie wyjazd z Libreville, korzystne polowania w górnej części prowincji Ubangi, wyliczali wszystkie zabite słonie i niebezpieczeństwo tych wypraw, z których wychodzili zwycięsko, potem powrót do wzgórz pod tamaryzkami, poruszające się ognie, napad olbrzymich gruboskórych zwierząt, ucieczkę tragarzy, śmierć Urdaksa i pościg słoni, przed którymi uciekli do lasu.

– Smutne zakończenie tak szczęśliwie rozpoczętej wyprawy! – westchnął Cort – a kto wie, czy teraz nie spotka nas jeszcze co gorszego?

– Jest to rzeczą możliwą, ale nie konieczną, mój kochany Janie – odpowiedział Huber.

– Może ja istotnie trochę przesadzam...

– Bezwątpienia, ten las nie kryje w sobie tak samo tajemnic, jak wasze wielkie lasy amerykańskie... Nie potrzebujemy się nawet lękać napaści czerwonoskórych. Tu nie napotkamy ani plemion koczujących, ani stale osiadłych, ani Denkasów, ani Mohutu, tych okrutnych, koczujących

plemion, które przebiegają okolicę północno-wschodnie, wołając: mięsa! mięsa!... jak prawdziwi ludożercy. Rzeka Johansen doprowadzi nas cicho, spokojnie, bez znużenia, aż do Ubangi.

– Tak, tak, do Ubangi – powtórzył Jan – dokąd bylibyśmy się dostali na wygodnym wozie, jadąc skrajem lasu, tak, jak to projektował Urdaks. Wtedy nie zbywałoby nam na niczym.

– Z pewnością, że dla nas byłoby to daleko lepiej i wygodniej. Ten las, który wydawał nam się takim tajemniczym, jest sobie najpospolitszym lasem i nie zasługuje na to, aby go zwiedzać, jest to tylko wielki las i nic więcej. A jednak podniecał on niesłychanie moją ciekawość. Przypominasz sobie te ognie, błakające się na skraju lasu, te pochodnie, które świeciły pomiędzy gałęzmi pierwszych drzew? A potem nie napotkaliśmy nikogo. Gdzie więc podzieli się ci czarni? Niekiedy zdaje mi się, że powinienem ich szukać wśród gałęzi baobabów, bombaksów, tamaryszków i innych olbrzymich okazów świata roślinnego... Nie, ani jedna istota ludzka...

– Maksie! – przerwał mu Jan Cort.

– Czego chcesz?

– Spójrzno tam dalej, na lewo...

– No, widzę... To pewnie krajowiec...

– Tak, krajowiec, ale na czterech łapach! Widzisz, jak ponad trzecią wznosi się łeb, przyozdobiony parą prześlicznych rogów.

– To bawół! – zawołał Kamis.

Maks Huber chwycił za karabin.

Kamis skierował prom w stronę wybrzeża, tak, że wkrótce znajdował się o jakie trzydzieści metrów od lądu.

– Może będziemy mieli smaczny befsztyk – szepnął Huber, biorąc na cel bawoła.

– Strzelaj ty pierwszy, Maksie – rzekł Cort – ja poprawię drugim strzałem, jeżeli będzie potrzeba.

Bawół nie przeczuwał grożącego mu niebezpieczeństwa. Stał, wpatrując się w prom i nozdrzami chwytając powietrze. Maks wycelował w głowę... Rozległ się strzał i w tejże chwili bolesny ryk... Zwierzę padło ugodzone śmiertelnie.

Cort nie potrzebował strzelać i tym sposobem oszczędził jeden nabój. Bawół obsunął się nad samą wodę, zabarwiając krwią czyste fale rzeki.

Podpłynęli do miejsca, gdzie zwierzę upadło i Kamis zajął się zaraz poćwiertowaniem zwierzęcia. Jan i Maks podziwiali wspaniały okaz dzikiego wołu afrykańskiego.

Gdy stado tych zwierząt, składające się z dwustu lub trzystu sztuk, przebiega przez puszcze, można

sobie wyobrazić, jakie tumany kurzu podnosi i jaką wrzawą napełnia powietrze.

Tamtejszy bawół nazywa się w języku krajowców „onja” i należy do gatunku większego wzrostem, niż bawoły europejskie. Czoło jego jest węższe, pysk bardziej wydłużony, rogi więcej spłaszczone. Ze skóry bawoła wyrabiają rozmaite przedmioty, nadzwyczaj mocne i trwałe, z rogów robią tabakierki i grzebienie, szerść służy do wyściełania krzeseł i siodeł, mięso zaś jego jest nadzwyczaj smaczne i posilne.

– Można panu powinszować tego strzału – rzekł Kamis, bo jeśli „onja” nie padnie od pierwszego strzału, rzuca się z zajadłością na strzelca.

Z pomocą noża i siekiery Kamis rozebrał bawoła, aby na prom naładować tylko części jadalne tego smacznego mięsa.

Langa, z natury bardzo ciekawy, nie wychodził dziś z pod osłony liści bananowych, a to z tego powodu, że na odgłos strzału wychowanek jego obudził się z uśpiania i zaczął się poruszać. Nie podniósł on wprawdzie powiek, ale poblądłe jego wargi zaczęły znowu szeptać.

– Ngora! ngora!...

Teraz Langa już się nie mylił, słyszał doskonale ten wyraz, wymawiany w dziwny sposób, z pewnym akcentem na literze r.

Wzruszony bolesnym akcentem głosu małego stworzonka, Langa ujął jego rozpaloną rękę, poczym napełnił kubek świeżą wodą i usiłował wlać mu kilka kropel w usta. Lecz zaciśnięte mocno zęby przeszkodziły temu. Zęby były olśniewającej białości. Langa umoczył trawę w wodzie i posmarował nią spieczone wargi chorego stworzenia, któremu sprawiło to widoczną ulgę. Jeszcze raz wyraz „ngora!” wydobył się z jego ust.

Krajowcy tym imieniem określają wyraz „matka.” Czyżby więc ta mała istotka wzywała swej matki?

Współczucie Langa spotęgowało się jeszcze bardziej, gdy pomyślał, że może biedne stworzenie jest blizkie wydania ostatniego tchnienia. – „Małpa, powiedział Maks Huber, nie, to nie była małpa!” Lecz co to było za stworzenie, tego Langa w prostocie swego ducha nie umiał wytłumaczyć.

Siedział z godzinę nad swoim protegowanym to głaszcząc pieścizotliwie jego rękę, to zwilżając jego wargi wodą i odszedł od niego dopiero, gdy tenże usnął.

Wtedy wysunął się z pod daszku z liści i postanowił wszystko powiedzieć swoim przyjaciółom.

– Jakże się miewa twoja małpka? – zapytał Maks Huber z uśmiechem.

Langa spojrział na niego i zawahał się z odpowiedzią; nareszcie położył dłoń na ramieniu Maksa.

– To nie jest małpa – rzekł.

– To nie małpa? – powtórzył Cort. – Jakiś ty uparty, Langa! Skąd ci przyszło do głowy, że to jest takie samo dziecko, jak ty?

– Dziecko... choć nie takie samo jak ja, ale zawsze dziecko.

– Słuchaj, Langa, ty twierdzisz, że to jest dziecko?

– Tak, ono mówiło tej nocy.

– Mówiło?

– Mówiło i teraz, przed chwilą.

– I cóż powiedziało to cudo?

– Powiedziało: „ngora.”

– Co? ten wyraz, który i ja słyszałem?

– Tak, „ngora.”

Przyjaciele spojrzeli na siebie: czy Langa podlega złudzeniu, czy też pomieszało mu się w głowie?

– Musimy się o tym przekonać – rzekł Cort – i jeśli to jest prawda, to będzie rzeczą nadzwyczajną, mój drogi Maksie.

Weszli obydwaj pod daszek z liści i zaczęli się przyglądać śpiącemu.

W istocie, na pierwszy rzut oka można było twierdzić, że to małe stworzenie było małpą. Ale Cort zwrócił na to uwagę, że istota ta nie należała do rzędu stworzeń czwororękich, posiadała bowiem tylko dwie ręce, a wiadomo, że jedynie człowiek jest zbudowany w ten sposób.

Maks potwierdził przypuszczenie Jana.

Jest to kwestja niezmiernie ciekawa – powiedział Huber.

Wzrost tego małego stworzenia nie przechodził siedemdziesięciu pięciu centymetrów, wiek jego odpowiadał mniej więcej sześciolletniemu dziecku, skórę jego pokrywał delikatny rudawy meszek, uszy zakończone były miękką zaokrągloną konchą, której małpy nie posiadają. Rąk nie miał zbyt długich. Głowa jego była okrągła, nos spłaszczony, czoło pochylone ku tyłowi głowy. Włosy twarde, podobne do tych, jakie posiadają mieszkańcy środkowej Afryki. Był to więc typ zbliżony więcej do człowieka, niż do małpy, lecz budzący podziw w Maksie i Janie, którzy nic podobnego dotychczas nie widzieli.

Przytym Langa twierdził, że to stworzenie mówiło. Była to rzecz wątpliwa, gdyż chłopiec mógł wziąć za mowę jakiś okrzyk niezrozumiały.

Obaj przyjaciele milczeli, wyczekując jakiegoś objawu, lecz mała istotka była ciągle jak gdyby nieprzytomna. Zwolna jednak oddech jej stawał się równiejszym, a ciało mniej rozpalone, znać było, że gorączka mija. Wreszcie szepnęła słabym głosem:

– Ngora!. ngora!...

– To nie do uwierzenia! – zdziwił się Huber.

Więc ta istota posiadała dar słowa i musiała być obdarzona myślą. Ale powieki jej były ciągle zamknięte Cort, pochylony nad nią, wyczekiwał jakiego wyrazu i podtrzymywał jej głowę. Nagle z wielkim zdumieniem poczuł na jej szyi sznureczek, upleciony z jedwabiu. Szukał węzła, aby rozwiązać sznurek, wtym krzyknął.

– Natrafiłem na medaljon!

Huber wielce zdziwiony. – Na medaljon? – powtórzył.

Cort odwiązał sznureczek. Medalik był nieduży, wielkości jednego su. Na jednej stronie było wyryte nazwisko, na drugiej twarz jakaś.

Przypatrzwszy się bliżej, podróżni rozpoznali nazwisko i podobiznę doktora Johansena.

– Zagadka staje się coraz dziwniejszą – rzekł Huber. – Skąd to stworzenie ma medal uczonego niemieckiego, którego klatkę znaleźliśmy pustą.

Że te medale można było napotkać w okolicach Kamerunu, nie było w tym nic dziwnego, gdyż Johansen rozdawał je krajowcom, ale skąd znalazł się on na szyi tego osobliwszego mieszkańca lasu Ubangi.

– To rzecz dziwna! – powtórzył Huber. – Chyba, że ci pół ludzie, pół małpy pokradli te medale z chaty doktora.

– Kamisie! – zawołał Cort, chcąc go powiadomić o uczynionych spostrzeżeniach.

Lecz w tej samej chwili dał się słyszeć głos Kamisa:

– Panie Maksie!... panie Janie!...

Przyjaciele podążyli na to wezwanie.

– Posłuchajcie! – mówił Kamis.

O jakie pięćset metrów przed nimi rzeka zbaczała nagle na prawo, a skręt osłaniały gęste i wysokie drzewa. Stamtąd dochodził głuchy, nieustanny szum, wzmagający się w miarę, gdy tratwa posuwała się w tamtą stronę.

– To coś wielce podejrzanego – rzekł Cort.

– Nie pojmuję, coby to być mogło – dodał Huber.

– Może znajduje się tam wodospad albo wir – domyślał się Kamis. – Wiatr wieje z południa i jest wilgotny.

Nie mylił się. Na powierzchni wody unosiła się jakby mgła płynna, pochodząca z gwałtownego wzburzenia fal.

Jeżeli na rzece znajdowała się przeszkoda, która mogła zatamować dalszą żeglugę, byłoby to bardzo przykrą rzeczą dla naszych podróżnych. Maks i Jan jednocześnie pomyśleli o tym, aby w niebezpieczeństwie ratować Langa i małą istotkę, którą on się zaopiekował.

Tratwa płynęła bardzo szybko, za chwilę więc przyczyna szumu zostanie wyjaśniona. Gdy minęli zakręt rzeki, przekonali się, że obawy Kamisa były najzupełniej usprawiedliwione.

W odległości stu sążni przed niemi wznosiły się szarawe odłamy skał, tamujące bieg rzeki; pomiędzy skałami znajdował się tylko wązki otwór, przez który woda przedzierała się gwałtownie, okrywając pianą boki skał. W kilku miejscach, gdzie skały były niższe, fale napotkawszy naturalną tamę, z szumem przelewały się przez wierzch skalisty. Tym sposobem był tu jednocześnie wir i wodospad. Jeżeli zatym podróżni nasi nie zdołają zwrócić tratwy do wybrzeża, rozbije się ona o skały, lub wir pograży ją na dno rzeki. Wszyscy trzej nie stracili zimnej krwi i wspólnymi siłami starali się skierować tratwę ku wybrzeżu, gdyż szybkość prądu powiększała się z każdą chwilą.

Była zaledwie godzina wpół do siódmej wieczorem, lecz czas był pochmurny, zmrok zapadał szybko, nie pozwalając dobrze rozróżnić przedmiotów, co utrudniało kierowanie tratwą.

Kamis napróżno wyteżał wszystkie siły, Maks i Jan pomagali mu energicznie; Maks sterował, lecz ster złamał się, gwałtowny prąd rzeki zaczął unosić tratwę w kierunku wązkiego przesmyku pomiędzy skałami.

– Rzućmy się w pław, aby się dostać na skały, zanim prąd uniesie i rozbije tratwę – radził Kamis.

– Tak, nie mamy innego wyboru – odpowiedział Cort.

Hałas wywabił Langa z pod daszku. Obejrzał się i zrozumiał niebezpieczeństwo, lecz zamiast myśleć o sobie, pomyślał pierwiej o swoim wychowanku; wziął go w objęcia i przykląkł na tratwie. Kamis i jego towarzysze zdołali wyrzucić na brzeg skrzynkę z ładunkami, broń i naczynia kuchenne.

Fale unosiły tratwę prosto ku skałom i w kilka chwil później kruchy statek uderzył gwałtownie o zapórę; podróżni nasi pograżyli się w toń wodną, a szczątki rozbitej tratwy fale z szumem poniosły dalej.

ROZDZIAŁ XII

W lesie.

Nazajutrz jacyś trzej mężczyźni leżeli drży dogasającym ognisku. Znużeni, niezdolni oprzeć się potędze snu, skoro włożyli wysuszone przy ogniu ubranie, zasnęli snem kamiennym. Po przebudzeniu się nie umieli odpowiedzieć na zapytanie, czy to noc, czy dzień i która godzina.

Zdawało im się, że są w grocie lub jakiejś jaskini, dokąd światło dzienne nie może się przedostać.

Tymczasem było inaczej. Dokoła nich wznosiły się drzewa, tworząc gąszcz nieprzebyty. Wierzchołki tych drzew strzelały w górę i łączyły się w tak gęste sklepienie, że nie można było dojrzeć ani blasku słońca, ani skrawka nieba.

Nawet przy blasku ognia nie można było dostrzec ścieżki, dostępnej choćby dla pieszego człowieka; pnące bowiem tworzyły dokoła nieprzebytą gęstwinę. Nawet więzienie nie mogło być ciemniejsze, a mury jego bardziej niedostępne, a był to zaledwie brzeg lasu.

Ci trzej ludzie byli to: Kamis, Maks i Jan. Jakim sposobem znaleźli się w tym miejscu, nie wiedzieli zupełnie. Po rozbiciu tratwy usiłowali utrzymać się na falach, lecz stoczyli się napowrót w głąb rzeki, i później nic już nie wiedzieli, co nastąpiło po katastrofie.

Komu Kamis i jego towarzysze zawdzięczali swoje ocalenie?... Kto ich przeniósł w tę gęstwinę leśną, zanim odzyskali przytomność?

Na nieszczęście nie wszyscy ocaleli z tej klęski. Jednego z nich brakowało: przybranego dziecka Jana Cort i Maksa Huber, biednego Langa, i małej istotki, którą on wydobył z wody. Może zginął, chcąc ją uratować...

Teraz Kamis, Maks i Jan nie posiadali ani ładunków, ani broni, ani żadnych gospodarskich sprzętów; pozostały im tylko noże i siekierka, którą Kamis miał za pasem. Tratwa zdruzgotała się o skały, wreszcie nie wiedzieliby nawet, w którą stronę kierować się do rzeki Johansen.

Zastanawiali się nad tym, jak się zdołają wyżywić, skoro nie będą mogli polować, chyba będą musieli jeść korzonki i dzikie owoce... Nędzne pożywienie, umrą chyba z głodu...

Na dwa lub trzy dni mieli jeszcze ze dwanaście funtów bawolego mięsa, które znaleźli w tym miejscu; zjedli z niego po kawałku, gdyż było upieczone przed rozbiciem się tratwy, poczym znużeni niezmiernie, zasnęli.

Jan Cort obudził się pierwszy; ciemność głęboka panowała dokoła. Wstał i zbliżył się do Maksa i

Kamisa śpiących pod drzewem.

Zanim ich obudził, podsycił ogień, dołożywszy do żarzących się węgla zeschniętych traw i gałęzi. Wkrótce też ogień jaśniej zapłonął.

– Jak my się stąd wydostaniemy? – zapytywał się w duchu Cort, patrząc bacznie dokoła.

Trzaskanie ognia zbudziło Maksa i Kamisa. Podnieśli się z ziemi prawie jednocześnie. Świadomość położenia, w jakim się znaleźli, zbudziła się w ich umyśle i zaczęli się naradzać.

– Gdzie my się znajdujemy? – zapytał Huber.

– Tam, gdzie nas przeniesiono – odpowiedział Cort – gdyż nic nie wiemy, co się stało od chwili katastrofy...

– A od tej pory upłynęła już może noc i dzień – dodał Huber. – Czy to wczoraj rozbiła się nasza tratwa?

Kamis przecząco potrząsnął głową.

Żaden z nich nie umiałby określić, ile czasu upłynęło od chwili, gdy wpadli w wodę, ani w jakich warunkach zostali ocaleni.

– A Langa? – zawołał Jan. – Z pewnością zginął, skoro go tu obok nas niema.

– Biedne dziecko! – westchnął Huber. – Był do nas tak serdecznie przywiązany... Kochaliśmy go szczerze... Życie płynęłoby mu szczęśliwie... Wyrwaliśmy go z rąk tych szkaradnych Denkasów... A teraz?... Biedne dziecko!...

Obydwaj przyjaciele nie wahaliby się narazić swego życia dla ocalenia Langa... Ale oni sami o mało co nie utonęli i nie wiedzieli, komu zawdzięczać mieli swoje ocalenie.

O małej istotce, która zginęła razem z Langa, nie myśleli wcale; tyle innych ważnych kwestji mieli do rozwiązania.

– Gdy usiłuję sobie przypomnieć, jak to było – mówił dalej Cort – zgoła nic nie wiem, co nastąpiło potem, gdy tratwa uderzyła o skały... Na chwilę przedtem, zdaje mi się, widziałem, jak Kamis, stojąc, ciskał broń i sprzęty na skały...

– Tak – potwierdził Kamis – rzuciłem je dosyć szczęśliwie, gdyż te przedmioty nie wpadły do wody. Następnie...

– Następnie – przerwał Huber – w chwili, gdy staczaliśmy się w fale wodne, zdawało mi się, że dostrzegłem na lewym wybrzeżu ludzi...

– Tak, tak, masz słuszość – rzekł z żywością Cort. – Byli to krajowcy, którzy giestykulowali, krzyczeli i biegli ku skałom.

– Widzieliście krajowców? – zapytał Kamis.

– Było ich tam ze dwunastu – odpowiedział Maks – im to zapewne zawdzięczamy nasze ocalenie... Oni bezwątpienia wydobyli nas z nurtów rzeki...

– I przenieśli tutaj, zanim odzyskaliśmy przytomność – dodał Cort. – Oni to położyli również obok nas resztę pożywienia. Nakoniec zapaliwszy ogień, zniknęli.

– I zniknęli tak, że nie pozostało po nich ani śladu – rzekł Huber. – Nie dbali o naszą wdzięczność.

– Cierpliwości, mój kochany Maksie! – odpowiedział Cort – może są ukryci gdzie w pobliżu... Nie mogę przypuścić, aby nas wyratowali po to, żeby tu porzucić.

– I do tego w jakim miejscu nas porzucili? – zawołał Huber. – Nie wyobrażałem sobie, że w lesie Ubangi znajdują się takie gęstwiny. Wszak jesteśmy w zupełnej ciemności.

– Tak jest... ale czy to już dzień? – zapytał Cort.

Na to pytanie znalazła się niedługo odpowiedź.

Chociaż sklepienie z liści było bardzo gęste, ponad nim, na wysokości stu lub stu pięćdziesięciu stóp ponad ziemią, migwały niepewne blaski. Był to dowód, że słońce w tej chwili świeciło na horyzoncie. Zegarki Corta i Hubera, zamoczone w wodzie, przestały wskazywać godziny. Można by więc tylko kierować się podług słońca, gdyby jego promienie przedarły się przez gęstwinę liści.

Kamis przysłuchiwał się rozmowie dwóch przyjaciół. Podniósłszy się z ziemi, obchodził dokoła ciasną przestrzeń, w której się znajdowali, a która dokoła otoczona była nieprzebytą gęstwiną pnączy i kolczastych krzaków. Przebywał on już lasy w prowincji Kongo i w Kamerunie, ale takiej gęstwiny nie widział jeszcze nigdzie. Dotychczas podróży nasi dążyli w stronę południowo-zachodnią, ale czy teraz potrafią się zorientować?

– Panie Maksie – rzekł wreszcie Kamis – czy jesteś pewnym tego, że widziałeś na wybrzeżu krajowców?

– Najzupełniej pewny, Kamisie. Było to w chwili, gdy prom nasz uderzał o skały.

– A na którym brzegu się znajdowali?

– Na lewym.

– Zatem znajdowalibyśmy się na wschód od rzeki Johansen?

– Zdaje się – dodał Cort – to jest w części lasu najgęściejszej i najbardziej niedostępnej. Ale jak daleko jesteśmy od rzeki?

– Zapewne nie bardzo daleko – odezwał się Huber – zaledwie może o kilka kilometrów. Nasi wybawcy, ktokolwiekby oni byli, nie mogliby nas przenieść daleko.

– Jeżeli rzeka płynie w niewielkiej stąd odległości, najlepiej byłoby dla nas, gdybyśmy się do niej mogli przedostać i rozpocząć znowu żeglugę poniżej wodospadu, naturalnie zbudowawszy sobie poprzednio prom.

– Ale jakim sposobem żywić się będziemy teraz i na rzece Ubangi? – zapytał Huber.

– Może znajdujemy się na lewym wybrzeżu rzeki – odpowiedział Cort – ale bynajmniej nie jesteśmy tego pewni.

– Najważniejszą rzeczą jest wydostać się z tej gęstwiny – rzekł Huber. – Ale jak się wydostać... którędy?

– Tędy – odpowiedział Kamis.

I wskazał na lukę wśród pnączy, przez którą zapewne przeniesiono tutaj jego i towarzyszy. Od tej luki rozpoczynała się kręta i ciemna ścieżka, jak się zdaje dostępna dla pieszych.

Ale dokąd ta ścieżka wiodła, czy do rzeki? A może prowadziła tylko do jakiego labiryntu? Co będzie, gdy im zabraknie pożywienia? Mięsa z bawołu wystarczy zaledwie na dwa dni. Pragnienie prędej zdołają zaspokoić, choćby nie napotkali rzeki ani strumienia, gdyż częste i ulewne deszcze zapobiegają złemu.

– Bądź co bądź nie możemy tu pozostać – oświadczył Cort – musimy się stąd ruszyć.

– Posilmy się najpierw – radził Huber.

Każdy dostał po kawałku mięsa i musiał poprzestać na tak skromnym pożywieniu.

– Nie wiemy nawet, czy spożywamy śniadanie, czy obiad – rzekł znowu Huber.

– Dla żołądka to wszystko jedno – odparł Cort.

– Tak, ale żołądek pragnąłby się także napić i kilka kropel z rzeki Johansen smakowałyby mu, jak najlepsze wino.

Siedząc na ziemi, chciwie spożywali mięso. Milczenie zapanowało wpośród nich; otaczająca ich ciemność wywierała nieokreślone uczucie niepokoju i przykrości; powietrze, przesiąknięte wilgocią, ciężkie było i duszne. Niczym niezamącona cisza panowała dokoła; nie słyhać tu było ani lotu, ani śpiewu ptaków. Czasem tylko zaszeleściła sucha gałąź, która lekko spadała na posłanie z puszystych mchów, zaścielających grubo warstwę ziemi. Niekiedy słyhać było ostre gwizdanie i szelest pomiędzy suchymi liśćmi: były to małe węże, długie na pięćdziesiąt lub sześćdziesiąt centymetrów, na szczęście bynajmniej nie jadowite. Tylko owady uwijały się z brzękiem i kłuły niemiłosiernie naszych podróżnych.

Kamis owinął w liście resztę mięsa i skierował się ku przejściu, które widać było pomiędzy pnączami. Tymczasem Huber donośnym głosem zaczął wołać:

– Langa!... Langa!

Lecz żaden głos nie odpowiedział na to wołanie.

– Chodźmy! – rzekł Kamis i postąpił kilka kroków naprzód, lecz doszedszy do ścieżki, zatrzymał się nagle.

– Widzę światło!

Maks i Jan posunęli się żywo za nim.

– Krajowcy? – zapytał jeden.

– Poczekajmy – radził drugi.

Światło, a była nim zapewne zapalona pochodnia, ukazywało się na ścieżce o jakie kilkaset kroków przed nimi i rozjaśniało niepewnym blaskiem ciemności leśne, odbijając się wyraźnie na gałęziach drzew.

Dokąd kierowali się ci lub ten, kto niósł pochodnię? Czy należało obawiać się napaści, czy też była to pomoc?

Kamis i jego towarzysze wahali się, czy iść dalej, czy czekać. Upłynęło kilka minut, pochodnia nie poruszała się. Światła tego nie można było uważać za błędny ogień.

– Co zrobić? – zapytał Cort.

– Iść w tę stronę – poradził Huber,

– Chodźmy więc – rzekł Kamis i postąpił naprzód, zagłębiając się w otwór wśród gęstwiny. Pochodnia natychmiast zaczęła się oddalać. Czyżby krajowiec, który ją niósł, spostrzegł, że nasi podróżni poruszyli się z miejsca? Czyżby on im chciał przyświecać wśród tych ciemności i doprowadzić do rzeki Johansen lub do jakiegokolwiek innej, wpadającej, do Ubangi?

Trzeba więc było iść za tym światłem i starać się odnaleźć kierunek południowo- zachodni.

– Chodźmy – zgodził się Cort.

Zaczęli iść wąską ścieżką, wydeptaną najwyraźniej przez ludzi i zwierzęta, pnące były tu pozrywane, krzaki połamane, trawy i mchy podeptane.

Wśród gęstwiny leśnej spostrzegali drzewa bardzo rzadkie i osobliwe, jako to: *gura crepitans*, którego owoce pękają z szelestem; ojczyzną tego drzewa jest Ameryka, należy ono do rodziny euforbji, pod kora jego znajduje się płyn mleczny, a orzechy pękają z hałasem i daleko rozrzucają ziarna. Dalej było drzewo *tsofar* czyli gwizdzące, dlatego że wiatr szumi silnie, przebiegając wśród jego gałęzi. Dotychczas to drzewo znajdowało się tylko w lasach nubijskich.

Szli tak do południa, a skoro się zatrzymali, światło zatrzymało się także.

– To jakiś przewodnik – oświadczył stanowczo Huber. – Gdybyśmy wiedzieć mogli, dokąd on nas prowadzi.

– Niech nas tylko wyprowadzi z tego labiryntu – odpowiedział Cort – nie żądam od niego niczego więcej. Powiedz, kochany Maksie, czy to wszystko nie jest nadzwyczajne?

– Tak jest, nie przeczę ci wcale.

– Byle tylko nie stało się zanadto nadzwyczajnym! – dodał Cort.

Ścieżka wciąż wiodła wśród gąszczy i ciemności. Kamis szedł pierwszy, za nim postępował Jan i Maks, gdyż wązka ścieżka nie dozwalała im iść koło siebie; gdy się zatrzymywali, światło także się zatrzymywało, pozostając tym sposobem zawsze w jednakowej odległości

Nad wieczorem, jak im się zdawało, uszli ze cztery lub pięć mil. Kamis pomimo znużenia chciał iść za światłem, póki się ono ukazywało, gdy wtym światło zagasło.

– Odpoczywajmy teraz – oświadczył Cort. – Zagaśnięcie światła jest widoczną wskazówką, że powinniśmy odpocząć.

– To nie wskazówka, to rozkaz – rzekł Huber.

– Bądźmy mu więc posłuszni i przepędźmy noc tutaj.

– Ale czy jutro światło nam się ukaze? – zapytał Cort.

Na to pytanie nikt nie potrafiłby odpowiedzieć.

Wszyscy trzej położyli się pod drzewem, posiliwszy się wprzód mięsem z bawołu, pragnienie zaś ugasili w małym strumyku, płynącym wpośród traw.

– Kto wie, czy nasz przewodnik nie dlatego obrał to miejsce na odpoczynek, abyśmy się mogli napić – rzekł Cort.

– Taka troskliwość zasługuje na pochwałę – dodał Maks Huber, czerpiąc wodę ze strumienia za pomocą liścia zwiniętego w trąbkę.

Pomimo niepewności i trwogi znużenie zwyciężyło, i wkrótce wszyscy trzej zasnęli snem twardym. Przed zaśnięciem Jan i Maks mówili o biednym Langa. Czy on utonął w rzece? A jeśli go wyratowano, dlaczego niema go tu, przy nich? Dlaczego Langa nie podążył za swymi przyjaciółmi, Janem i Makssem?

Nazajutrz, skoro się obudzili, blade światło, przedzierające się przez zielone sklepienie oznajmiło im, że już dzień. Kamis zaczął dowodzić, że idą w złą stronę, gdyż kierują się na wschód; ale ponieważ nie mieli innej drogi do wyboru, nie było się nad czym namyślać.

– A światło? – zapytał Jan Cort.

– Ukazuje się znowu – odpowiedział Kamis.

Cały dzień przeszedł bez ważniejszego wypadku. Pochodnia ciągle wskazywała im drogę, a las w dalszym ciągu stanowił nieprzebytą gęstwinę: pnie drzew cisnęły się jedne na drugie, krzaki i pnącze oplątywały je od dołu tak, że podróżni nasi szli jak gdyby w zielonym tunelu. W kilku miejscach ukazywały się inne ścieżki i krzyżowały się w rozmaitych kierunkach, tak, że gdyby nie ów tajemniczy przewodnik, Kamis byłby w prawdziwym kłopotcie, która ścieżkę wybrać.

Zwierząt nie napotykali, zatem i broń, choćby ją mieli, na nicby im się nie przydała. Z trwogą też myśleli o wyczerpującym się zapasie bawolego mięsa. Zaledwie mogło im wystarczyć na obiad i na wieczerzę. Jeżeli więc nazajutrz nie dostaną się do miejsca przeznaczenia, czyli do celu tej dziwacznej podróży, grozić im może prawdziwy głód.

Nad wieczorem światło znów zagasło i noc przeszła spokojnie. Nazajutrz Cort obudził się pierwszy i rozbudził natychmiast swoich towarzyszy, wołając:

– Ktoś tu był, gdyśmy spali!

Rzeczywiście, palił się niewielki ogień; rozżarzone węgle tworzyły ognisko, a na niskiej gałęzi drzewa akacjowego, tuż ponad strumieniem, wisiał kawał antylopy. Wszystko to wyglądało dziwnie i tajemniczo, ale żaden z nich nie zastanawiał się nad zdarzeniami i przyjmował je takimi, jakimi się przedstawiały. Nie pytali się już wzajemnie, kim był ów tajemniczy przewodnik, ten gienjusz wielkiego lasu, za którego śladem postępowali.

Zjedli resztę pieczonego mięsa, potem upiekli nad ogniem antylopę, która powinna wystarczyć na dzień następny.

W tej chwili tajemnicze światło dało znak do pochodu.

Po południu podróżni nasi spostrzegli, że las staje się mniej gęstym, a światło dzienne przedzierać się zaczyna przez wierzchołki drzew.

Tego wieczoru, gdy zjedli resztę mięsa z antylopy i napili się wody, usnęli bardzo mocno.

Maks Huber zapewne we śnie słyszał zdaleka muzykę: ktoś grał walca z „Wolnego strzelca Webera,” ale to było z pewnością złudzenie.

ROZDZIAŁ XIII

Wioska napowietrzna.

Nazajutrz po przebudzeniu się, Jan Cort, Maks i Komis byli niezmiernie zdziwieni, gdyż otaczała ich najgłębsza ciemność. Czy w tej chwili był dzień, czy noc, nie umieliby na to odpowiedzieć. Światło, które im wskazywało drogę przez sześćdziesiąt godzin, nie ukazało się dziś wcale. Musieli więc czekać na zjawienie się pochodni, gdyż bez tego nie mogliby się puścić w drogę.

Jan Cort zrobił uwagę, która posłużyła do różnych wniosków:

- Dziś nikt nam nie rozpałił ognia i nikt nie przyniósł pożywienia.
- Więc nie mamy już co jeść! – dodał Huber.
- Możemy już doszli? – rzekł Kamis.
- Dokąd? – zapytał Cort.
- Tam, dokąd nas prowadzono, mój drogi Janie!

Wprawdzie nie była to zbyt jasna odpowiedź, ale trudno było dać inną.

Las był w tym miejscu bardziej jeszcze ciemny i gęsty, niż poprzednio, lecz za to nie panowała w nim już tak głęboka cisza. Słysząc było jakiś szum w powietrzu, jakieś szmery przelatywały w górze pomiędzy wierzchołkami drzew. Kamis, Maks i Jan podnosili głowy do góry i zdawało im się, że widzą rozciągający się ponad nimi sufit.

Zapewnie było to zagmatwanie liści i gałęzi, które nie przepuszczało światła i dlatego ciemność jeszcze większa panowała pod drzewami.

Tu, gdzie noc spędzili, natura gruntu zmieniła się zupełnie. Nie było tu już gęstej, wysokiej trawy i krzaków ciernistych, rosnących tuż przy ścieżce. Ziemię pokrywała trawa, na której nie znać było ani odrobiny wilgoci. Była to jakby łąka, niezraszana nigdy przez deszcze lub źródła.

Drzewa rosły tu w odległości dwudziestu do trzydziestu stóp, tworząc jakby słupy, przeznaczone do podtrzymywania jakiej olbrzymiej budowy; gałęzie ich rozrzucały się na setki metrów dokoła.

Rosły tu sykomory afrykańskie, których pień składa się z mnóstwa łodyg, spojonych ze sobą, bombaksy o korzeniach olbrzymich i wyniosłych wierzchołkach, baobaby, których pień ma kształt dyni i dwadzieścia lub trzydzieści metrów obwodu, a wierzchołek zakończony jest olbrzymim pękiem

spadających ku dołowi gałęzi, dalej wznosiły się drzewa palmowe, zwane „deleb,” o pniach garbatych; drzewa serowe, których pień, wewnątrz pusty, tworzy spore przedziały, tak duże, że w każdym z tych przedziałów może się pomieścić człowiek; drzewa mahoniowe, z których każde mogło dostarczyć kłody, mającej średnicy przeszło metr, (krajowcy wyrabiają łódki z jednej takiej sztuki). Dalej rosły drzewa smocze olbrzymich rozmiarów i bahinie, które pod inną szerokością geograficzną są tylko krzewami, a tu dorastają znacznej wielkości. Można sobie wyobrazić, jak daleko takie drzewa rozrzucają swoje konary!

Upłynęła może godzina, podczas której Kamis ciągle upatrywał opiekuńczego światła, wprawdzie miał to przekonanie, że idąc za tym światłem, dąży na wschód, to jest w stronę przeciwną rzeki Ubangi, ale cóż miał czynić?

– Dokąd nas zaprowadziło to tajemnicze światło? – zapytywał się w duchu. – Teraz światło znikło, cóż więc zrobimy?... Czy mamy iść dalej, czy zostać? Ale co jeść będziemy?

– Musimy jednakże iść dalej – przerwał Jan milczenie. – Może lepiej od razu puścić się w drogę?

– Ale w którą stronę? – zapytał Maks Huber.

Na to pytanie trudno było znaleźć odpowiedź.

– Przecież nie wrosły nam nogi w ziemię – rzekł niecierpliwie Cort. – Możemy się jeszcze poruszać pomiędzy tętni drzewami.

– W drogę więc! – rozkazał Kamis.

I wszyscy trzej zaczęli iść. Stąpali ciągle po ziemi pozbawionej zarośli i krzaków, po gruncie nagim i ubitym, jak gdyby osłonięty był dachem, nie przepuszczającym deszczu, ani słońca. Dokoła rosły drzewa, których tylko niższe gałęzie można było rozpoznać. W powietrzu ciągle słychać było jakieś dziwne szmery i szelesty.

Czy ten las był zupełnie pusty? chyba nie, gdyż Kamisowi zdawało się, że widzi jakieś cienie, przesuwane się pomiędzy drzewami. Czy to było złudzenie, nie wiedział. Wreszcie po półgodzinnym bezowocnym poszukiwaniu usiedli pod drzewem, aby odpocząć.

Oczy ich, przyzwyczajone do ciemności, zaczęły rozróżniać otaczające ich przedmioty; przytym i słońce, które wzbiło się wyżej na horyzoncie, rozpraszało nieco ciemności. Teraz już widzieli o jakie dwadzieścia kroków przed sobą. Nad nimi rozciągał się rodzaj sufitu.

– Coś się tam porusza – szepnął Kamis.

– Zwierzę, czy człowiek? – zapytał Cort, spoglądając.

– To chyba dziecko, bo to stworzenie bardzo małego wzrostu.

– Ależ to małpa! – rzekł Huber.

Siedzieli nieporuszeni i milczący, aby nie zestrążyć czwororękiego stworzenia. Pomimo wstrętu Maksa i Jana do małego mięsa, z głodu i to by już jedli, ale jak jeść mięso surowe? Toż nie mieli czym rozniecić ognia.

Zwierzę szybko zbliżało się i spostrzegszy trzech ludzi, nie okazało najłżejszego zdziwienia. Szło tak, jak człowiek, na tylnych łapach i zatrzymało się o kilka kroków przed nimi.

Można sobie wyobrazić zdumienie Jana i Maksa, gdy w tym stworzeniu poznali istotę, którą ocalił Langa,

– To on... to on! – szepnął Jan.

– Tak, to on – potwierdził Maks.

– Jeżeli ten mały jest, to i Langa może się tu znaleźć.

– Czy nie jesteście jednak w błędzie? – zapytał Kamis.

– O, nie! – odparł Cort. – Zresztą wkrótce przekonamy się o tym.

Wyjął z kieszeni medalik zdjęty z szyi malca i trzymając za dwa końce sznureczka, zaczął nim bujać, jak się czyni z przedmiotem, na który chcemy zwrócić uwagę dziecka.

Skoro tylko malec dostrzegł ten przedmiot, przysunął się jednym skokiem do Kamisa. Widocznie odzyskał zdrowie i sprężystość ruchów przez te trzy dni, które upłynęły od rozbicia się tratwy. Przybiegł do Corta z widocznym zamiarem odebrania swej własności.

Kamis chwycił go w przejściu, i wtedy z ust malca wyrwał się nie wyraz „ngora,” lecz wyraźnie wypowiedziane następujące słowa:

– Li-Mai! Ngala! Ngala!

Co znaczyły te wyrazy, wypowiedziane w języku nieznanym nawet Kamisowi, podróżni nasi nie mogli pojąć.

Nagle zjawily się inne istoty, wysokiego wzrostu, i zanim Kamis, Maks i Jan spostrzegli się, otoczyły ich, ujęły pod ręce i, popychając przed sobą, zmusiły do pójścia.

Zatrzymali się dopiero, gdy uszli z pięćset lub sześćset metrów. W tym miejscu nisko zwieszające się gałęzie dwóch drzew plątały się ze sobą, tworząc, jak gdyby stopnie schodów. Tu znów zmuszono więźniów do wejścia na owe stopnie, obchodząc się jednak z nimi łagodnie.

W miarę, jak wchodzili. światło przedzierało się przez gałęzie; promienie słońca prześlizgiwały się wśród liści. Maks Huber nie mógł już teraz zaprzeczyć, że to wszystko było nadzwyczajne.

Gdy znaleźli się o jakie sto stóp ponad ziemią, można sobie wyobrazić ich zdumienie. Oto przekonali się, że znajdują się na jakiejś platformie, poniżej jednak wierzchołków drzew, które

tworzyły ponad nią zielone sklepienie. Na platformie w pewnym porządku wznosiły się chaty, ulepione z żółtej gliny i liści, tworząc ulice. Była to więc wioska i do tego tak duża, że nie widać było jej końca.

Przechadzało się tam mnóstwo postaci, podobnych do istoty, która ocalił Langa. Powierzchność ich była taka, jak u ludzi; przypominała opisy doktora Dubois o gatunkach, napotykanych w lasach Jawy. Lecz podróżni nasi nie mieli czasu na uwagi, gdyż straż, rozmawiając w niezrozumiałym dla nich narzeczu, prowadziła ich ku jednej z chat. Przypatrujący im się tłum nie okazywał wielkiego zdumienia. Wreszcie Maks, Jan i Kamis znaleźli się sami w chacie, której drzwi zatrzaśnięto za nimi.

– Jesteśmy uwięzieni! – zawołał Huber. – Ale czy zauważyliście – dodał, – że oni przypatrywali się nam bez wielkiego zdziwienia?

– Radbym się dowiedzieć, czy ci ludzie dają jeść swoim więźniom – rzekł Cort.

– Lub czy ich nie zjadają sami – dodał Huber.

Ponieważ wiele plemion w Afryce środkowej praktykuje ludożerstwo, można było przypuszczać, że i te istoty są również ludożercami. W każdym razie plemię to było bardziej rozwinięte pod względem umysłowym, niż orangutangi z wyspy Borneo, szympanse Gwinei i goryle z Gabonu. Umiało rozniecić ogień i posługiwać się różnymi domowymi sprzętami. Dowodem tego był ogień, rozniecony pierwszej nocy po rozbiciu się tratwy i pochodnia, wskazująca wśród ciemności drogę.

W tej chwili przyszło Maksowi na myśl, że ruchome ognie, które widzieli na skraju lasu, były rozniecone przez tych dziwnych mieszkańców Wielkiego lasu.

– Oni mówią nawet! – dziwił się Cort, gdy już udzielili sobie rozmaitych uwag, dotyczących mieszkańców tej napowietrznej wioski.

Z pomiędzy trzech więźniów Kamis był najbardziej zdziwiony i odurzony. On nie zajmował się badaniem gatunków i w jego umyśle te istoty nie mogły być niczym innym, jak tylko małpami. Ale te małpy chodziły, mówiły, rozniecały ogień i budowały wioski. Dziwił się, że żaden z podróżnych nie wspominał dotąd o podobnym gatunku małp. Upokorzało go to, że te małpy są tak podobne do krajowców.

Biedni więźniowie zaczęli się niecierpliwić; zamknięci w chacie, przez której ściany nic nie mogli słyszeć, niespokojni o przyszłość, niepewni, jak się zakończy ta dziwna przygoda, z każdą chwilą czuli się bardziej nieszczęśliwymi i przygnębiłemu Przytym i głód dokuczał im mocno, gdyż od piętnastu godzin nic nie jedli.

Jedna tylko okoliczność pocieszała ich trochę, a mianowicie, że protegowany Langa znajdował się w tej wiosce, która zapewne musiała być jego miejscem rodzinnym.

– Jeżeli ten mały został ocalony – rzekł Cort, – należy przypuszczać, że i Langa jest uratowany. Zapewne się nie rozłączyli... Jeśli więc Langa dowie się, że uwięziono trzech ludzi, domyśli się, że

to my... Wszak nie uczyniono nam nic złego, zapewne więc nie skrzywdzono i Langa.

– Nie mamy żadnego dowodu na to, że Landa ocalał – dodał Huber. – Może biedak utonął w nurtach wzburzonej rzeki?

W tej chwili drzwi od chaty, poza którymi stało kilku krajowców, otwarty się, i w nich ukazał się jakiś młody chłopiec.

– Langa! Langa!... – zawołał z radością Cort.

– Przyjaciel Maks... przyjaciel Jan! – zawołał Langa, rzucając się w ich objęcia.

– Od kiedy ty tu jesteś? – zapytał Maks.

– Od wczorajszego rana... nieśli mnie przez las.

– A któż cię niósł?

– Jeden z tych, którzy mnie ocalili i was pewnie także.

– A więc to są ludzie?

– Tak, ludzie... przecież nie małpy – odparł stanowczo Langa.

– Dziwni ludzie!... Zaczynam wierzyć w jakiś pośredni gatunek pomiędzy ludźmi a małpami.

Langa ścisnął i całował swoich opiekunów, których już nie miał nadziei oglądania kiedykolwiek, wreszcie począł opowiadać im o swoich przygodach.

– Gdy tratwa uderzyła o skały i wpadliśmy do wody, ja i Li-Mai...

– Li-Mai? – zapytał Maks Huber.

– Tak, Li-Mai, to jego imię... – kilka razy powtarzał malec, wskazując na siebie: Li-Mai, Li-Mai.

– A więc on ma imię? – zapytał Cort.

– Oczywiście, że ma, przyjacielu Janie – odpowiedział Langa. – Przecież wszyscy ludzie mają imiona.

– A jakąż nazwę nosi to plemię, wśród którego znajdujemy się?

– Oni nazywają się Wagddisowie... słyszałem jak Li-Mai tak ich nazywał...

Wyraz ten nie należał do narzecza krajowców z Kongo

Skąd pochodziło owo pokolenie Wagddisów, podróżni nasi nie mogli się domyśleć, lecz obyczajem ich były widać łagodne, skoro widząc tonących, pośpieszyli im na ratunek.

Wpadłszy do wody, Langa stracił przytomność i sądził, że jego przyjaciele utonęli w rzece Johansen. Gdy odzyskał przytomność, ujrzał się w objęciach silnego Wagddisa, który był właśnie ojcem Li-Mai; malec zaś był już w objęciach matki – „ngora”, jak ją nazywał. Należało przypuszczać, że Li-Mai na kilka dni przedtym, zanim go napotkał Langa, zabłąkał się w lesie i że rodzice go szukali. Wiemy, w jaki sposób Langa go ocalił; to też, gdy znalazł się w wiosce Wagddisów, obchodzono się z nim bardzo dobrze. Li-Mai wkrótce odzyskał siły, choroba jego bowiem była wynikiem wyczerpania i znużenia, i wywdzięczając się za opiekę, stał się opiekunem Langa. Rodzice Li-Mai też okazywali mu wdzięczność.

Dziś zrana Li-Mai przyprowadził Langa przed chatę, w której zamknięci byli Maks, Jan i Kamis. Langa nie mógł go zrozumieć, lecz usłyszał głosy i zdawało mu się, że poznaje swoich przyjaciół, wbiegł więc do chaty i przekonał się, że się nie mylił.

– Wszystko dobrze, mój Langa – rzekł Maks, ale my umieramy z głodu. Możebyś mógł przynieść nam co do zjedzenia, jeżeli masz tu jakie wpływy.

Langa wyszedł i powrócił wkrótce, niosąc duży kawał pieczonego, bawolego mięsa, kilka sztuk owoców z akacji zwanej „adansonia”, ‘której owoce zowią chlebem małpim, świeże banany i w tykwie czystą wodę, zaprawną mlecznym sokiem luteksu, wydzielającego się z liany gumowej, należącej do rodzaju „landolphia africa”.

Naturalnie, że wszyscy trzej z wielkim apetytem zabrali się do jedzenia, gdyż byli bardzo głodni. Posiliwszy się, Cort zapytał Langa, czy plemię Wagddisów jest liczne.

– O, jest tu ich, jest! – odpowiedział Langa.

– Czy tylu, jak w wioskach Bornu lub Bagirmi?

– Mniej więcej.

– Czy oni nigdy nie schodzą z tej swojej napowietrznej siedziby?

– Owszem, schodzą, aby polować, lub zbierać korzonki i owoce, albo też czerpać wodę.

– I oni mają swoją mowę?

– Tak, ale ja ich nie rozumiem, tylko niektóre wyrazy pojmuję, szczególnie te, które wymawia Li-Mai.

– A rodzice tego małego Li-Mai?

– Są dla mnie bardzo dobrzy; od nich to właśnie przyniosłem dla was pożywienie.

– Trzeba im za to podziękować jaknajprędzej, aby i nadal byli tak chojni – rzekł Maks.

– A ta wioska, ukryta pomiędzy drzewami, jak się nazywa?

– Ngala.

– Czy mieszkańcy tej wioski mają swego wodza? – zapytał Cort.

– Mają.

– Widziałeś go?

– Nie, ale słyszałem, jak go wszyscy nazywali Mselo-Tala-Tala.

– Ależ to jest narzecze tutejszych krajowców! – zawołał Kamis.

– A cóż znaczą te wyrazy?

– Ojciec Zwierciadło.

I rzeczywiście tak nazywają mieszkańcy Kongo człowieka, który nosi okulary.

ROZDZIAŁ XIV

Wagddisowie.

Życzenia Hubera spełniły się. Znajdował się w napowietrznej wiosce, którą rządził jego wysokość Mselo-Tala-Tala.

Znalazł więc w głębi tego tajemniczego lasu Ubangi nowe pokolenia, osady nieznane, cały ten świat dziwny, tajemniczy, o którego istnieniu nikt dotąd nie wiedział.

Rozmyślenia jego przerwał Cort, mówiąc:

– Drogi przyjacielu, widzę, że miałeś słuszość, ten las musi być zamieszkały.

– A widzisz, nie chciałeś mi wierzyć... Ale bądź co bądź nie chciałbym w tym, na pół ludzkim pokoleniu, zakończyć dni mojego żywota.

– Ależ, kochany Maksie, trzeba pobyć tu, między nimi, aby się przypatrzeć ich życiu i obyczajom i wydać później o tym książkę, która może narobić wrzawy w świecie.

– Zgodziłbym się na to chętnie, ale pod dwoma warunkami.

– A mianowicie?

– Najpierw, żeby nam pozwolili chodzić swobodnie po swej osadzie, a powtóre, oddalić się, gdy to uznamy za właściwe.

– Ale do kogo się mamy zwrócić z naszymi żądaniami?

– Sądzę, że do jego wysokości Ojca Zwierciadło – odpowiedział Maks.

– Ciekawy jednak jestem, dlaczego poddani nadali mu tę nazwę? Czyżby jego wysokość nosił okulary?

– A skądżeby on wziął tutaj okularów? – dodał Maks.

– Albo ja wiem.

Kwestja, czy będą ich więzili, rozwiązana została natychmiast.

Drzwi chaty, przymocowane włóknami liany, otworzyły się znowu i przez nie wszedł Li-Mai. Przystąpił do Langa i zaczął go pieścić, a tymczasem Jan Cort przypatrywał się uważnie tej małej

istotce.

Drzwi chaty stały otworem, więc Huber radził, ażeby wyjść z chaty i przypatrzeć się mieszkańcom tej dziwnej wioski.

Wyszli więc, a mały dzikus zaczął ich oprowadzać, trzymając Langa za rękę.

Znaleźli się w przejściu, któredy przechodzili Wagddisowie.

Była to czworokątna przestrzeń, ocieniona wierzchołkami drzew. Cała osada zbudowana była na wysokości stu stóp ponad ziemią i wspierała się na olbrzymich gałęziach potężnych baobabów i bombaksów, powiązanych ljanami; na tym ułożona była gruba warstwa ziemi tak ubitej, że nie drżała pod nogami. Wierzchołki drzew osłaniały doskonale chaty przed burzami.

Słońce przedzielało się przez gałęzie drzew. Lekki wietrzyk przynosił aromatyczne zapachy leśne i chłodził nieco powietrze. Wagddisowie przypatrywali się naszym podróżnym bez wielkiego zdziwienia. Rozmawiali pomiędzy sobą urywanymi zgłoskami, głosem chrapowatym. Kamis chwycił niekiedy wyrazy w narzeczu Kongo, lecz, co dziwniejsza, że Cort usłyszał kilka wyrazów niemieckich, a między innymi *vater* (ojciec) i powiedział o tym swoim towarzyszom.

– Mój kochany – odparł Huber – wszystko to jest tak dziwne, że ja już przestałem się nawet dziwić. Kto wie, może oni mówią i po francusku?

Ciało mieszkańców tej wioski pokrywał delikatny, rudawy meszek; ubiór ich stanowił rodzaj tuniki, utkanej z włókien roślinnych. Tkaniny te podobne były do tkanin dhomejskich.

Głowy ich były okrągłe, brwi bynajmniej nie krzaczaste, włosy proste, zarost lichey.

Nie ulegało zatem wątpliwości, że było to jakieś nowe, nieznanne dotychczas plemię.

Wagddisowie należeli bezwątpienia do rasy ludzkiej, ale, o ile byli rozwinięci umysłowo, o tym podróżni nasi nie mogli jeszcze wydać żadnego sądu.

– Nie mają łap płaskich – zauważył Jan.

– Ani śladu ogona – dodał Maks.

– Rzeczywiście – zastanawiał się dalej Jan – i to jest właśnie dowodem wyższości ich rasy. Wprawdzie niektóre małpy nie mają ani ogona, ani worków obwisłych na policzkach i chodzą na dwóch lub na czterech łapach. Ale chód Wagddisów jest zupełnie ludzki.

Był to więc oczywiście nieznanany dotąd gatunek ludzi. Zresztą co do budowy nóg, antropologisci niektórzy dowodzą, że niema żadnej różnicy w budowie nogi małpiej i ludzkiej i że tylko obuwie przekształca trochę nogę człowieka.

Są jeszcze oprócz tego inne rysy podobieństwa pomiędzy rodem ludzi i małp. Czwororękie, chodzące na dwóch kończynach, są najpoważniejsze z usposobienia i najmniej grymasie z pośród

małp. Otóż to było dziwne, że taka sama powaga malowała się w ruchach i chodzie mieszkańców wioski Ngala. Cort, robiąc dalsze spostrzeżenia, zauważył, że układ zębów mają taki sam, jak ludzie.

To podobieństwo mogło wywołać przypuszczenie o różnicach i przemianie gatunków, o czym pisał wiele uczony Darwin.

Nie można jednak zaprzeczyć temu, że małpy zajmują wyższe stanowisko w świecie zwierzęcym.

– A może to jest plemię pośrednie pomiędzy ludźmi i małpami? – rzekł Maks Huber. Może nam właśnie przypadło w udziale odkryć tę ciekawą tajemnicę naukową?

– Nie możemy nic o tym twierdzić – odparł Cort. – Zanim wydamy sąd o Wagddisach, musimy pierwszej poznać ich pojęcia religijne i obyczajowe.

– To obszerne gniazdo – rzekł Maks Huber.

– Natura nigdy się nie myli – odpowiedział Cort – i za jej to wpływem Wagddisowie wybrali dla siebie siedzibę napowietrzną. I uczynili dobrze, gdyż zamiast pełzać po gruncie wilgotnym, a tym samym niezdrowym, po ziemi, do której nigdy nie dochodzi promień słońca, przebywają pomiędzy wierzchołkami tych olbrzymieli drzew i oddychają czystym powietrzem.

– Szkoda, że nie rozumiemy języka tutejszych mieszkańców, najpierw dlatego, że nie możemy się z nimi rozmówić, powtóre, że wskutek tego nie możemy poznać ich uczuć i myśli.

Po godzinnej przechadzce Kamis i jego towarzysze znaleźli się przy końcu wioski. Tu wznosiła się chata większa i okazalsza od innych. Przed zamkniętymi drzwiami stało dwóch tęgich Wagddisów.

– Teraz może dowiemy się coś pewniejszego od Li-Mai – rzekł Cort i biorąc chłopca za ramiona, obrócił go ku chacie, mówiąc:

– Mselo-Tala-Tala?

Dziecko kiwnęło potakująco głową.

Tam więc mieszkał wódz wioski Ngala, jego majestat Mselo-Tala-Tala.

Maks postąpił kilka kroków ku chacie. Li-Mai chwycił go za rękę i powstrzymał z widocznym przestraszeniem.

Lecz Maks, nie zważając na to, chciał podejść do chaty, gdy dwaj Wagddisowie, strzegący wejścia, ruszyli się z miejsca i zaczęli wygrażać bronią, w rodzaju siekiery, wyrobionej z twardego drzewa.

– Jeżeli nie możemy się zobaczyć z tym wodzem – rzekł Maks, – to chyba napiszemy do niego, prosząc o audjencję.

– Mój kochany, oni z pewnością nie umieją ani czytać, ani pisać. Widzisz przecie, że są bardziej

dzicy niż mieszkańcy Sudanu i Kongo – odparł Jan.

– Masz słuszość, Janie; zresztą jakże porozumiec się piśmiennie z ludźmi, których języka się nie rozumie?

– Zdajmy się na instynkt i spryt tego malca – rzekł Kamis, – niech on nas prowadzi.

– Czy ty nie wiesz, która chata jest własnością rodziców jego? – zapytał Cort Langa.

– Nie wiem, przyjacielu – odpowiedział Langa, – ale zdaje mi się, że znajduje się w tej stronie – dodał, wskazując na lewo – z pewnością Li-Mai tam nas zaprowadzi.

Zwrócił się do malca i zapytał go:

– Ngora... Ngora?

Dziecko zrozumiało i znów kiwnęło głową.

W kilka chwil później podróżni znaleźli się w części wioski, osłoniętej gęścią wierzchołkami drzew.

Li-Mai zatrzymał się przed czystą chatą i wskazał na nią ręką, a Langa rzekł:

– To tutaj.

Drzwi chaty stały otworem. Mieszkanie wewnątrz wyłożone było suchymi liśćmi i trawą, które z łatwością można było zastąpić świeżymi.

Sprzętów domowych było mało: kilka tykw, dwa gliniane garnki i także tykwa napełniona wodą. Na ścianach były poprzybijane deseczki, na których zawieszono owoce, korzonki, gotowane mięso i ptaki oskubane.

Znajdujący się wewnątrz dwoje Wagddisów powstali na widok wchodzącego Kamisa i jego towarzyszy.

– Ngora!... ngora! Li-Mai! Li-Mai! – zawołało dziecko i dodało zaraz: – vater! vater!

Wyraz „ojciec” wymawiał po niemiecku bardzo źle, a brzmiał on dziwnie w ustach tego małego Wagddisa.

Langa podszedł do kobiety, a ta go przygarnęła do siebie, ścisłała i jak umiała okazywała swą wdzięczność dla wybawcy jej dziecka.

Przepędziwszy z kwadrans czasu w chacie, podróżni nasi wyszli z niej w towarzystwie Li-Mai i jego ojca, którzy ich odprowadzili do przeznaczonej im chaty.

Tu pożegnali się ze sobą. Wagddis podał kolejno naszym podróżnym obie ręce i uściśnął ich

szczerze.

– Chcąc dobrze poznać mieszkańców tej wioski – rzekł Jan do Maksa, skoro pozostali sami, – trzeba by z nimi przepędzić lat kilka, a ja mam nadzieję, że za kilka dni będziemy mogli stąd się oddalić.

– Będzie to zależało od woli jego majestatu – odpowiedział Maks, – a kto wie, czy król Mselo-Tala-Tala nie zechce nas mianować szambelanami dworu?

Podróżni nasi nie wiedzieli, jak długo będą zmuszeni pozostać w napowietrznej wiosce, ani też nie mogli przewidzieć, jaki zbieg okoliczności wybawi ich z tego bądź co bądź niezbyt miłego położenia.

Pilnowano ich, nie mogli więc myśleć o ucieczce, a zresztą czyż potrafiliby się kierować w tym olbrzymim lesie, czy umieliby odszukać brzeg lasu lub rzekę Johansen?

Szczęściem, że z podróżnikami naszymi mieszkańcy wioski obchodzili się łagodnie, zdawało się, że uznają ich wyższość umysłową.

– Należałoby się porozumieć z Ojcem Zwierciadło, – rzekł Maks – możeby on wyprosił dla nas wolność. Sądzę bowiem, że i posłuchanie u Mselo-Tala-Tala można otrzymać, chyba że zupełnie niewolno obcym spoglądać na jego osobę. Ale jak my się z nim rozmówimy? Przytym w interesie Wagddisów jest nie dozwolić nam stąd odejść, abyśmy nie zdradzali rodzaju życia tego nieznanego plemienia, przebywającego w gęstwinie lasu Ubangi.

Jan Cort twierdził, że świat naukowy zadziwiłby się wielce odkryciem tego nowego plemienia.

Gdy wszyscy trzej i Langa z nimi weszli do chaty, zobaczyli, że poczyniono w niej pewne zmiany, które im sprawiły przyjemność.

Był w niej młody, dwudziestoletni Wagddis, który, ujrawszy ich, zaprzestał swojej roboty.

Ruchy jego były zręczne, a wyraz twarzy dosyć inteligentny. Ręką wskazał na przyniesione przedmioty.

Maks, Jan i Kamis z zadowoleniem spostrzegli w kącie swoje karabiny, wprawdzie trochę zardzewiałe, ale zdolne jeszcze do użytku.

– Dobrze, że znalazła się nasza broń! – zawołał Huber.

– Cóż z tego, kiedy nie mamy ładunków – odpowiedział Jan.

– Oto jest skrzynka z ładunkami – rzekł Kamis, wskazując na metalową skrzynkę, stojącą przy wejściu.

Zanim tratwa rozbiła się o skały nadbrzeżne, Kamis miał tyle przytomności, że broń i skrzynkę wyrzucił na skały, skąd też Wagddisowie zabrali te przedmioty do swej wioski.

– Oddali nam karabiny – rzekł Maks – ale ciekawym, czy oni wiedzą, do czego służy broń palna?

– Nie wiem – odparł Jan, – ale widzę, że nie zatrzymują tego, co do nich nie należy, a to świadczy dodatkowo o ich pojęciach.

W tej chwili młody Wagddis wymówił kilkakrotnie wyraz:

– Kollo! Kollo!...

I jednocześnie wskazywał na siebie, dotykając ręką czoła i piersi, jak gdyby chciał powiedzieć:

– Kollo, to ja!

Jan Cort zrozumiał, że to jest imię tego młodego Wagddisa, powtórzył je więc, a ten śmiechem okazał swe zadowolenie.

Ten śmiech jest jednym dowodem więcej, że Wagddisowie są ludźmi – powiedział Cort, – gdyż zwierzęta nie posiadają daru śmiechu, nawet u psów radość i zadowolenie odbija się tylko w oczach i w lekkim drganiu warg.

Los naszych podróżnych nie był tak przykry, jak im się z początku zdawało. Chata, przeznaczona dla nich na mieszkanie, nie była więzieniem, mogli z niej wychodzić, kiedy im się podobało i krążyć swobodnie po wiosce Ngala. Lecz oddalić się stąd pewnoby im mieszkańcy nie pozwolili bez wyraźnego rozkazu wodza Mselo-Tala-Tala. Musieli więc zgodzić się na życie takie, a nie inne, ponieważ nie zostawiono im prawa wyboru.

Wagddisowie byli z usposobienia łagodni i nie kłótlivi, a przytym mniej ciekawi, niż inni mieszkańcy Afryki. Przyglądali się z obojętnością dwum białym i dwum krajowcom. Odznaczali się nadzwyczajną zręcznością, skakali z gałęzi na gałąź, jak najlepsi gimnastycy; oprócz tego strzelali znakomicie z łuku.

– Ach, gdyby to można było stąd uciec! – powtarzał Maks.

Lecz próżne były jego nadzieje: z wioski było tylko jedno wyjście, po schodach, których strzegli wojownicy, a nie byłoby rzeczą łatwą omylić ich czujność.

Maks Huber byłby chętnie zapolował na ptaki, ale Wagddisowie dostarczali im poddostatkiem zwierzyny, w którą obfituje las Ubangi. Służący ich, Kollo, pilnował, aby im nie zbywało na niczym, codzień przynosił im świeżą wodę i drzewo do podsycania ogniska. Przytym podróżni nasi nie chcieli wyjawiać przed dzikimi sekretu broni palnej, zachowując to na czas jakiegoś niespodziewanego niebezpieczeństwa.

Kollo piekł im i gotował mięso, przyjmując niekiedy pomoc Langa. Ku wielkiemu zadowoleniu Maksa, mięso było przyrządzone z solą. Nie była to sól, znajdująca się w roztworze wody morskiej, lecz sól ziemna, kopalna, znajdująca się w Azji, Afryce i Ameryce, a która musiała wykwitać w pobliżu wioski Ngala. Wagddisowie poznali się widać na tym, jaki pożytek przynosić może podobny minerał.

W jaki też oni sposób rozniecają ogień? – rozmyślał pewnego dnia Cort. – Czy trą kawałkiem drzewa twardego o drzewo miękkie, jak to czynią inne dzikie plemiona?

Lecz nie, oni używali krzemienia, którym rozniecali iskry. Te zapalały puch owocu, posiadającego własności hubki i bardzo pospolitego w lasach afrykańskich.

Wagddisowie oprócz mięsa żywili się korzonkami i owocami, których w tej stronie była wielka obfitość; dostarczała ich „akacja adansonja”, zwana chlebem małpim, drzewo „karilla”, którego owoce zawierają substancję tłusta, mogącą zastąpić masło i jagody, smaku nieco mdławego, zamknięte w pochwie, długiej na dwie stopy.

Oprócz tego mieli jeszcze banany, figi, tamaryszki i owoce drzewa mangowego. Umieeli wyszukiwać miód i podbierać pszczoły leśne. Za pomocą miodu i soku różnych roślin, a mianowicie luteksu, pomieszanego z wodą rzeczną, przyrządzali napój, posiadający własności alkoholyczne.

W pobliżu wioski Ngala płynęła niewielka rzeka, w której poławiały się te same ryby co w rzece Johansen. Lecz czy ta rzeka była spławna, lub czy Wagddisowie mieli łódki, podróżni nasi nie mogli się o tym przekonać. Rzeczkę widać było z końca wioski, przeciwległego od mieszkania królewskiego. Łóżysko jej było szerokie na trzydzieści lub czterdzieści stóp; w pewnym oddaleniu od wioski fale rzeki ginęły pod osłoną olbrzymich drzew, których pnie węzowemi sploty owijały pnące.

Jan Cort zauważył, że Wagddisowie nie znają jarzyn i zbóż, że nie potrafią uprawiać ani prosa, ani ryżu, tak, jak inne ludy Afryki środkowej.

Pewnego dnia Maks zapytał Jana, czy poznał już zalety i wady Wagddisów.

– Trochę – odparł Jan. – Posiadają oni pewne poczucie moralności i uczciwości i odróżniają złe od dobrego; przytym mają pojęcie o porządku i o prawach własności, gdyż widziałem, jak porządnie obili jednego Wagddisa, który z cudzej chaty skradł trochę owoców. Życie rodzinne także jest u nich rozwinięte, rodzice i dzieci okazują sobie wiele przywiązania, muszą więc posiadać duszę.

– Więc stanowczo zaliczasz ich do rodzaju ludzkiego?

– Uczyniłbym to oddawna – odpowiedział Jan, gdyby mnie nie powstrzymywała pewna okoliczność, a mianowicie, że Wagddisowie nie mają żadnego pojęcia o religji, które napotyka się u plemion najbardziej dzikich. Oni nie oddają czci ani kapłanom, ani bałwanom.

– A może tym bóstwem jest Mselo-Tala-Tala, którego nawet koniuszczka nosa nie dano nam zobaczyć?

– Chciałbym jednak wiedzieć – dodał Cort, – czy oni czczą zmarłych i czy palą lub zakopują zwłoki?

Choć podróżni nasi nie widzieli pośród Wagddisów ani kapłanów, ani czarowników, ale spotykali znaczną liczbę wojowników, uzbrojonych w łuki, topory i dzidy. Czy zadaniem tych wojowników było tylko pilnować króla, lub bronić plemię od napaści innych plemion? Bo przecież w tym wielkim

lesie mogły być inne, podobnie pobudowane wioski, a mieszkańcy ich mogli ze sobą wojować. Przypuszczenie, że Wagddisowie spotykali się z krajowcami z Ubangi, z Bagirmi, z Sudanu, lub z Kongo było nieuzasadnione.

– Jeżeli Wagddisowie walczą i zabijają się wzajemnie, to jest najlepszym dowodem, że są ludźmi – powiedział Jan.

Wojownicy z plemienia Wagddisów nie spędzali beczynnie czasu, robili wycieczki do lasu, skąd powracali poranieni, dźwigając broń i naczynia, podobne do tych, jakich używali sami.

Kamis usiłował kilka razy wydostać się z wioski, ale na próżno; wojownicy, którzy strzegli schodów, oparli się temu stanowczo, a nawet raz obeszli się z nim dość szorstko, i niewiadomo, na czymby się to skończyło, gdyby nie Li-Mai, który znajdował się w pobliżu i podążył mu z pomocą.

Li-Mai porozumiewał się długo z tęgim mężczyzną nazwiskiem Raggi, którego tunika ze skór, broń za pasem i pióra na głowie kazały się domyślać dowódcy robotników. Dzika jego twarz, stanowcze ruchy i głos donośny zupełnie odpowiadały temu stanowisku.

Wskutek tego postępku Kamisa, dwaj przyjaciele mniemali, że zostaną zawezwani przed oblicze wodza Mselo-Tala-Tala, że zobaczą wreszcie tego króla, ukrywanego przez poddanych z taką staranną troskliwością. Lecz nadzieja zawiodła ich, widocznie Raggi posiadał pełną władzę działania, bez odnoszenia się do króla, lepiej więc było nie narażać się na jego gniew.

Nie było zatem żadnej sposobności do ucieczki, chyba, gdyby Wagddisowie napadnięci zostali przez jakichś sąsiadów, a wtedy, wśród zamieszania, wywołanego utarczką, udałoby się może uciec.

Ale żadne nieprzyjazne plemię nie napadło na Wagddisów, zostali oni natomiast napadnięci przez pewien gatunek zwierząt, jakich jeszcze Kamis i jego towarzysze nie spotkali.

Wagddisowie posiadali nad brzegiem rzeki kilka chat, obok których gromadziły się ich łodzie, gdy wracały z połowu, ale rybakom zagrażało niebezpieczeństwo z powodu wielkiej liczby hipopotamów i krokodyli, w jakie obfitują wody afrykańskie.

Jednego dnia, a było to dziewiątego kwietnia, dał się słyszeć gwałtowny hałas i krzyki w stronie rzeki. Czyżby to była napaść?...

Usłyszawszy krzyki, Raggi z trzydziestoma towarzyszami zbiegł szybko ze schodów. Jan, Maks i Kamis w towarzystwie Li-Mai udali się na przeciwległy koniec wioski, skąd widać było rzekę.

Gromada nie hipopotamów, lecz świń rzecznych, pędząc szybko, niszczyła i tratowała wszystko po drodze. Po godzinie jednak utarczki wojownicy rozproszyli gromadę zwierząt, i strumyki krwi zaróżowiły wodę rzeki.

Maks miał ochotę przyłączyć się do tej walki, ale Cort i Kamis powstrzymali jego zapał.

– Zachowajmy naszą odwagę i kule na czas bardziej odpowiedni – oświadczył Cort.

Podróżni nasi siedzieli ciągle w wiosce Wagddisów i nie mieli żadnej sposobności do ucieczki, pomimo, że z rodziną Li-Mai utrzymywali stosunki przyjacielskie.

Pewnego dnia wioska Ngala przybrała pozór odświętny, mieszkańcy postroili się w pióra, barwne tkaniny i liście.

Dzień ten, a raczej popołudnie 15 kwietnia miało spowodzić dziwną zmianę w spokojnych obyczajach Wagddisów. Od trzech tygodni, jak nasi podróżni byli tu uwięzieni, nie zdarzyła im się sposobność wydostania się do lasu, przez który można było dojść do Ubangi. Pomimo pozornej swobody, mieszkańcy wioski Ngala pilnowali ich doskonale; o ucieczce nie mogło być mowy. Wprawdzie Cort mógł badać obyczaje Wagddisów i porównywać ich skłonności ludzkie, lub zwierzęce, ale nie był pewien, czy pochwali się kiedy swemi zdobyczami naukowymi w świecie cywilizowanym; to jest, czy powróci kiedykolwiek do francuskiej prowincji Kongo i do Libreville.

Czas był prześliczny. Palące promienie podzwrotnikowego słońca przedzierały się przez wierzchołki drzew, ocieniających nadpowietrzną wioskę. Upał nie zmniejszał się, pomimo, że była już godzina trzecia popołudniu.

Cort i Huber żyli przyjacielsko z rodziną Li-Mai. Widywali się z nimi codziennie; a mały prawie nie odstępował Langa.

Jednak porozumienie się z Wagddisami było zawsze trudne; Cort uchwycił wprawdzie znaczenie kilku wyrazów, ale nie rozumiał ich dokładnie. Co go najbardziej zadziwiało w tym narzeczu, to niektóre wyrazy niemieckie, jakie Wagddisowie bardzo źle wymawiali. Ale skąd oni mogli spotkać się z Niemcami? Zatem Amerykanin i Francuz nie byliby tu pierwszymi ludźmi zabłąkanymi ze świata cywilizowanego.

Podróżni nasi pragnęli gorąco dostać się przed oblicze Mselo-Tala-Tala, mniemając, że od niego dowiedzą się coś pewniejszego o swoim losie. Ale oprócz tego, że rodzina Li-Mai pochyłała z poszanowaniem głowy wymawiając imię swego władcy, nic więcej nie mogli się dowiedzieć. Gdy przechadzając się po wiosce, doszli do chaty władcy, Li-Mai odciągał ich gwałtownie, dając im do zrozumienia, że zbliżać się do mieszkania Mselo-Tala-Tala nie wolno.

Otóż tego kwietniowego popołudnia, rodzice Li-Mai i on przyszli do Kamisa i jego towarzyszków. Wszyscy byli wystrojeni w najpiękniejsze szaty! Ojciec miał na głowie przepaskę ozdobioną piórami, a na ramionach płaszcz z kory drzewnej. Matka miała tiunikę z tkaniny wyrobu miejscowego, we włosach zielone liście, a na szyi paciorki szklane. Dziecię opasane było na biodrach pasem różnokolorowym.

– Co znaczy ten strój? – zawołali prawie jednocześnie, spoglądając na siebie ze zdumieniem.

– Pewno jest dziś u nich jakieś święto – dodał Cort. – Może oni czczą jakiego bożka? W każdym razie spodziewajmy się czegoś ciekawego!

Jeszcze nie dokończył tych słów, gdy Li-Mai rzekł:

– Mselo-Tala-Tala.

– Władca w okularach – dodał Maks Huber.

I wyszedł przed chatę mniemając, że ujrzy władcę Wagddisów. Ale zawiódł się; mimo to jednak ruch, jaki panował w wiosce Ngala, zapowiadał coś niezwykłego. Ze wszystkich stron napływał tłum strojny i rozradowany. Jedni przechadzali się z powagą, drudzy ujmowali się za ręce, tworząc jakby koła taneczne, inni przeskakiwali z gałęzi na gałąź, jak małpy.

– Co to może być takiego? – pytał Cort.

– Zobaczymy – odpowiadał Huber. Mselo-Tala-Tala? – dodawał zwracając się do Li-Mai.

– Mselo-Tala-Tala – odpowiadał chłopiec, krzyżując ręce na piersiach i pochylając głowę.

– Chyba już dziś ukaże nam się władca Wagddisów w całej potędze swego majestatu – mówił Cort.

– Ale my nie możemy przywdziać szat godowych – dodał Huber, – bo mamy tylko to jedno ubranie myśliwskie i do tego porządnie już zniszczone.

Wyszli więc za rodziną Li-Mai przed chatę. Kamis pozostał w chacie i zajął się uporządkowaniem sprzętów, wyczyszczeniem broni i przygotowaniem posiłku. Cort i Huber szli przez wioskę razem z Li-Mai. Wszyscy kierowali się w stronę mieszkania królewskiego.

– No, przecież to nie ulega już wątpliwości, że mamy przed sobą tłum ludzi – rzekł Cort. – Ruchy ich i objawy zadowolenia dowodzą tego bezwątpienia.

W istocie Wagddisowie zazwyczaj poważni, zamknięci w sobie, dziś byli ożywieni i ruchliwi. Na cudzoziemców, na ludzi białych nie zwracali prawie wcale uwagi, gdy przeciwnie, pokolenia Danka, Monbutu i inne plemiona afrykańskie, przypatrują się obcym natarczywie.

Po długiej przechadzce Cort i Huber wydostali się na główny plac wioski Ngala, okolony gałęziami ostatnich drzew ze strony zachodniej. Zielone gałęzie otaczały gąszczem pałac królewski.

Przed pałacem zgromadzeni byli wojownicy z bronią w ręku, odziani skórami antylop, powiązanymi za pomocą cienkich ljan, na głowach mieli rogi zwierzęce, co im nadawało pozór srogi. Pułkownik Raggi miał na głowie łeb bawoła, łuk na ramieniu, toporek za pasem, a w ręku miecz.

– Zapewnię władca będzie robił przegląd wojsk – rzekł Cort.

– Jeżeli go teraz nie zobaczymy, to się chyba nigdy nie pokazuje swoim poddanym – odpowiedział Huber. Niewidzialność dodaje uroku monarsze.

I łącząc zapytanie z mimiką, zapytał Li-Mai:

– Czy Mselo-Tala-Tala wyjdzie?

Li-Mai skinął głową twierdząco, lecz starał się wyrazić, że to nastąpi później

Mniejsza o to, czy władca ukaże się wcześniej czy później – mruknął Huber, – idzie nam głównie o to, abyśmy raz zobaczyli jego dostojne oblicze.

– Przypatrujemy się tymczasem temu ciekawemu widowisku – dodał Cort.

Środek placu był pusty, niezarośnięty drzewami. Tłum zalegał plac całkowicie, czekając na zjawienie się monarchy.

– Ciekawy jestem, czy oni z wielkim szacunkiem powitają swego władcę – rzekł Cort. – Ale w każdym razie to nie jest uczucie religijne, bo przecież ich monarcha jest także człowiekiem.

– Ale może wyrobionym z kamienia, lub drzewa – odpowiedział Huber, – to jest takim samym bałwanem, jaki czczą mieszkańcy Polinezji.

– W takim razie, mój kochany Maksie, nie ulegałoby wątpliwości, że mieszkańcy Ngala należą do rodzaju ludzkiego, tak, jak i mieszkańcy Polinezji.

– Hm, czy tych dzikusów można nazwać ludźmi? – mruknął Huber.

– Bezwątpienia mój Maksie, wszakże oni czczą swoje bóstwa.

Dzięki rodzinie Li-Mai, Huber, Cort i Langa stanęli tak, że mogli widzieć wszystko.

Tłum pozostawił środek placu wolny i młodzież obojej płci zaczęła tańczyć. Starsi zaś popijali jakiś napój, wyciągnięty z rośliny tamarja. Napój ten był silny i odurzający, to też nogi pijących zaczęły im wkrótce odmawiać posłuszeństwa.

Tańce nie przypominały bynajmniej wdzięcznych ruchów menueta, a były raczej dzikimi skokami, którym towarzyszyły dźwięki bardzo pierwotnej muzyki, wykonywanej na pierwotnej prostoty instrumentach, na tykwach obciążniętych skórą i na pustych łodygach, zastępujących piszczałki. Instrumenty te tworzyły piekielną wrzawę, rozdzierającą uszy.

– Nie mają pojęcia o rytmie – rzekł Cort.

– Ani o harmonji dźwięków – dodał Huber.

– W każdym razie są wrażliwi na muzykę, mój drogi Maksie.

– I muzyka również, moim zdaniem, jest sztuką podrzędną, oddziaływającą również na zmysł podrzędny. Co innego malarstwo, rzeźba lub literatura; urokowi tych gałęzi sztuki nie podlegają zwierzęta.

Jednak Wagddisowie byli bezwątpienia ludźmi, nie dlatego tylko, że byli wrażliwymi na muzykę,

ale że ją sami uprawiali.

Minęły dwie godziny, Huber był już zniecierpliwiony tym, że władca nie ukazywał się podwładnym.

Tymczasem tańce i krzyki nie ustawały, jak również i pijaństwo. Nagle wrzawa ucichła, drzwi mieszkania królewskiego otworzyły się. Wojownicy rozstąpili się na dwie strony tworząc szpaler.

– Zobaczmy przecież tego władcę nadpowietrznego plemienia – rzekł Huber.

Ale z chaty nie wyszła jego wysokość; wyniesiono z niej jakiś mebel pokryty matą z liści i postawiono go na środku polanki. Można sobie wyobrazić zdumienie naszych przyjaciół, gdy w tym przedmiocie poznali pospolitą katarynkę. Zapewnie ten godny podziwu i poszanowania instrument, wynoszony był tylko podczas wielkich uroczystości w wiosce Ngala; Wagddisowie musieli słuchać tej muzyki z zachwytem.

– Ależ to jest katarynka doktora Johansena – rzekł Cort niezmiernie zdziwiony.

– Tak, to jest ten sam przedpotopowy instrument – odpowiedział Huber. Teraz już rozumiem, dlaczego pierwszej nocy, gdy tu przybyłem, zdawało mi się, że słyszę walca z Wolnego strzelca Webera.

– A nic nam o tym nie mówiłeś, Maksie.

– Myślałem, że to sen.

– Katarynkę musieli Wagddisowie zabrać z chaty doktora Johansena.

– Którego zapewne zgładzili z tego świata – dodał Huber.

Dorodny Wagddi, zapewne dyrektor tamtejszej orkiestry, stanął przy katarynce i zaczął obracać korbą i wtedy dały się słyszeć dźwięki walca z Wolnego Strzelca, ku wielkiej uciesze słuchających.

Był to koncert następujący po popisach choreograficznych. Wagddisowie słuchali walca z zadowoleniem, ale nie z takim przejęciem, jak ludzie cywilizowani.

Ale czy w wiosce Ngala nie wiedziano, że katarynka wygrywa jeszcze inne arje? Takie pytanie zadawał sobie Cort. Nikt się tu jednak pewnie nie domyślił, że za przesunięciem guzika można usłyszeć inne melodie. Ku wielkiemu jednak zdziwieniu Hubera, grający przesunął guzik i zaczął grać inną pospolitą piosenkę Pugeta, której pierwsza część napisana jest w tonie minorowym, a druga w majorowym.

– Ach! niegodziwiec! – krzyknął Huber, wywołując tym okrzykiem niezadowolenie sąsiadów.

– Co za niegodziwiec? – zapytał Cort. – Czy ten, co gra na katarynce?

– Nie, ten, co zbudował tę katarynkę. Nie wstawił w nią wcale tonów minorowych.

– Masz słuszość, to wielki występ! – odparł śmiejąc się Cort.

– Ale ci barbarzyńcy wcale się na tym nie poznali, bo oni nie posiadają delikatnego słuchu.

Tymczasem katarynka wygrywała dwie melodje naprzemian. Po koncercie rozpoczęły się znów tańce i pijatyka.

Słońce schyliło się ku zachodowi, w gęstwinie gałęzi rozpalono smolne łuczywa, które rzucały jaskrawy blask na polankę.

Maks i Jan chcieli powrócić do swojej chaty, gdy Li-Mai pociągnął jednego z nich za rękaw, szepcząc:

– Mselo-Tala-Tala.

Tak więc jego wysokość miała się ukazać ludowi.

Jan i Maks nie odeszliby teraz za nic w świecie. Koło chaty królewskiej zapanował ruch; w tłumie też znać było niepokój. Wreszcie drzwi się otworzyły, wyszła straż, a na jej czele Raggi.

Poza niemi ukazał się tron. Była to stara sofa, okryta barwną tkaniną i przybrana zielonemi liśćmi; niosło ją czterech ludzi; na sofie siedział władca Wagddisów.

Był to człowiek lat około sześćdziesięciu, dobrej tuszy, nawet otyły; włosy i brodę miał białą, na głowie wieniec z zielonych liści.

Orszak zaczął posuwać się zwolna, okrążając dokoła placyk. Tłum w milczeniu schylał się do ziemi, bijąc mu niskie ukłony, jakby zahypnotyzowany widokiem potężnego Mselo-Tala-Tala.

Władca wydawał się obojętny na hołdy, jakie mu składano; przyjmował je jako cześć sobie przynależną; zaledwie poruszał głową na znak zadowolenia i kilka razy podrapał się w nos, ponad którym sterczały ogromne okulary, które zjednały mu przezwisko Ojca Zwierciadło.

Nasi przyjaciele przypatrywali mu się z uwagą, gdy go przenoszono obok nich.

– To człowiek żywy – zapewniał Cort.

– Tak, tak, żywy – potwierdził Huber.

– Tak – człowiek... i do tego biały...

– Biały?...

W istocie władca Wagddisów różnił się od swego plemienia. Był to chyba krajowiec należący do plemion zamieszkujących Ubangi... tak, był to człowiek biały, pochodzący z rasy ludzi cywilizowanych.

Nasza obecność nie uczyniła na nim żadnego wrażenia – rzekł Huber, – zdaje się, że nawet nie spostrzegł... Cóż u licha! my nie jesteśmy chyba podobni do tych pół-małp z wioski Ngala; i pomimo, że przebywamy wpośród nich już trzy tygodnie, nie zatraciliśmy jeszcze powierzchowności ludzkiej. Doprawdy mam ochotę zawołać: Panie! spójrz pan na nas!

W tej chwili Cort uchwycił go za rękę i z najwyższym zdumieniem rzekł:

– Ja poznaję tego człowieka!

– Poznajesz go?... Alboż go znałeś?

– Nie inaczej... to jest doktor Johansen!

Jan Cort spotykał kiedyś doktora Johansena w Libreville, nie mógł się zatem pomylić co do tożsamości jego osoby.

Doktor był w istocie władcą Wagddisów. Dzieje Johansena można łatwo odgadnąć; znikł on z leśnej chaty, gdyż uprowadzono go do wioski Ngala.

Przed trzema laty Niemiec Johansen, chcąc prowadzić dalej badania rozpoczęte przez profesora Gartnera, opuścił Malinba z kilku czarnymi służącymi, którzy dźwigali rzeczy, broń, amunicję i zapasy żywności. Johansen postanowił osiedlić się we wschodniej części Kamerunu i studjować język małp. Ale w jakiej miejscowości miał zamiar się osiedlić, nie powiedział o tym nikomu, był bowiem wielkim dziwakiem.

Odkrycia Kamis i jego towarzyszy, jakie poczynili w drodze odwrotnej, dowodziły stanowczo, że doktor dotarł w lasach aż do miejsca, gdzie płynęła rzeka, nazwana rzeką Johansen przez Maksa Hubera. W tym miejscu doktor zatrzymał się, odesłał czarnych służących, pozostawił sobie jednego tylko i z jego pomocą zbudował tratwę, na której popłynęli z biegiem rzeki aż do trzęsawiska i tu zbudowali chatę w rodzaju altany; chata kryła się wśród drzew na prawym brzegu rzeki.

Tu kończyły się dokładne wiadomości dotyczące doktora Johansena, dalej zaczynały się tylko przypuszczenia.

Czytelnicy przypominają sobie zapewne, że w opuszczonej chacie doktora Kamis znalazł małe metalowe pudełko, zawierające zwitek nut. Nuty pisane były ołówkiem, po kilka taktów, a każdy urywek opatrzony był datą. Pierwsza data była 29 lipca 1894 r, ostatnia 24 sierpnia tegoż roku. Przez ten zatym przeciąg czasu doktor zamieszkiwał leśną chatę. Ale dlaczego opuścił swoje mieszkanie? Czy opuścił je z własnej woli, czy też uczynił to pod przymusem? Wagddisowie zapuszczali się nieraz aż nad brzeg rzeki, o czym Kamis, Jan i Maks dobrze wiedzieli. Ognie, które połyskiwały na brzegu lasu gdy się zbliżała karawana, były przenoszone z drzewa na drzewo przez Wagddisów. Musieli oni również odkryć schronienie doktora i uprowadzili go do swej wioski nadpowietrznej.

Czarny sługa uciekł pewnie do lasu. Gdyby się bowiem znajdował w Ngala, nasi podróżni byłiby go już napotkali, gdyż nie byłby się ukrywał, tak jak król, albo ukazałby się dzisiaj, jako minister króla.

Wagddisowie nie obeszlę się więc źle z doktorem Johansenem, tak jak z Kamisem i jego towarzyszami. Zdziwieni wielką mądrością doktora, uczynili go swoim władcą. Johansen panował nad nimi już od trzech lat, pod imieniem Mselo-Tala-Tala.

Obecność doktora wśród Wagddisów wyjaśniała mnóstwo niezrozumiałych dotychczas rzeczy, a mianowicie wyrazy plemion z Kongo, używane przez plemię Wagddisów, jak również niektóre wyrazy niemieckie, pochwycone oczywiście od Johansena. Jemu to zapewne Wagddisowie zawdzięczał! łagodność obyczajów i umiejętność wyrabiania niezbędnych naczyń domowych.

O tym właśnie rozmawiali nasi przyjaciele, gdy wrócili do swej chaty.

Opowiedzieli całą przygodę Kamisowi.

– Tego jednego tylko nie mogę zrozumieć – mówił Huber, – że doktor Johansen nie zwrócił uwagi na obecność cudzoziemców w swojej stolicy. Dlaczego nie kazał nam się stawić przed swoje oblicze? Przecież chyba widział, że nie jesteśmy podobni do jego poddanych.

– Podzielam twoje zdanie i dziwię się, że Mselo-Tala-Tala nie wezwał nas jeszcze do swego pałacu – dodał Jan.

– Może nie wie, że nas pochwycono i uwięziono?

– Być może, ale to jednak dziwne – mówił Cort, – zachodzą tu jakieś okoliczności, których nie rozumiem.

Z tego wszystkiego to tylko było jasne, że doktor Johansen, który chciał zrozumieć mowę małą, wpadł w ręce dzikiego, nieznanego plemienia, o którego istnieniu ludzie cywilizowani nic nie wiedzieli. Nie było mu trudno nauczyć ich mówić niektórych wyrazów, gdyż oni posiadali mowę. Potym jako doktor leczył ich i tym sposobem zyskał popularność. Mieszkańcy Ngala cieszyli się dobrym zdrowiem. Nie było między nimi chorych i w przeciągu kilku tygodni nikt nie zmarł.

Podróźni nasi namyślali się, co im teraz czynić wypada? Doktor Johansen powinienby ich obdarzyć wolnością, gdyby się do niego udali i prosili go aby ich odesłał do Kongo.

– Być może, że Wagddisowie nie powiedzieli królowi o naszej obecności – rzekł Huber. W tłumie król nas nie dostrzegł, musimy więc dostać się do jego chaty.

– Kiedy? – zapytał Cort.

– Dziś wieczorem. Ponieważ zdaje się, że poddani kochają swego władcę, powinni mu być posłuszni i wypuścić nas na wolność, skoro król tak rozkaże. Powinni nawet odprowadzić nas z honorami aż do granicy swego państwa. Należy nam się to ze względu, że jesteśmy podobni do władcy Wagddisów.

– A jeśli król odmówi naszej prośbie?

– Dlaczegożby miał odmawiać?

– Może mieć w tym jakieś dyplomatyczne wyrachowanie...

– O! wtedy powiem mu, że powinien panować nad rodem małpim, nie ludzkim.

Postanowili zatem udać się do króla. Dziś wszystko sprzyjało wykonaniu tego projektu; uroczystość kończy się zapewne o zmierzchu, poczym Wagddisowie zasną snem kamiennym. Mieszkanie królewskie nie będzie dziś tak surowo strzeżone.

Kamis pochwalił projekt, czekali więc z niecierpliwością nocy, aby go wprowadzić w wykonanie. Kollo, krajowiec, który im usługiwał, także bawił się z innymi.

Około godziny dziewiątej wieczorem, Cort, Huber, Langa i Kamis wyszli z chaty. Ngala pogrążona była w ciemności, smolne pochodnie pogasły; cisza panowała zupełna.

Podróżni nasi postanowili dziś uciec, z pozwoleniem, lub bez pozwolenia królewskiego, to też zabrali karabiny i naboje, aby strzałami wzbudzić postrach, Wagddisowie bowiem nie znali broni palnej.

Jan, Maks i jego towarzysze szli ostrożnie w ciemności i ze zdumieniem przekonali się, że chaty i placyk były puste; mieszkańcy wioski spali widać pod osłoną gałęzi drzew. Światło błyskało tylko w oknie chaty królewskiej.

– Niema straży – szepnął Cort.

W istocie nie było nikogo ani przed, ani w pobliżu chaty. Czołgając się na czworakach, Langa dostał się do drzwi, które, dość było popchnąć, aby się dostać do wewnątrz. Jan, Maks i Kamis złączyli się z Langą; nad słuchiwali bacznie, gotowi do ucieczki. Ale głęboka cisza panowała dokoła.

Huber pierwszy przestąpił próg chaty, za nim weszli towarzysze i zamknęli drzwi za sobą.

Dwa pokoje stanowiły cały apartament królewski: pierwszy pokój był pusty i ciemny. Kamis zajrzał przez drzwi do drugiego oświetlonego pokoju. Doktor Johansen w pół leżał na sofie. Sofa musiała pochodzić też z chaty doktora.

– Wejźmy – rzekł Huber.

Usłyszawszy szelest, doktor Johansen odwrócił głowę i uniósł się trochę z siedzenia. Wydawał się, jakby zbudzony ze snu. Widok obcych ludzi nie wywarł na nim żadnego wrażenia.

– Doktorze Johansen, ja i moi towarzysze składamy hołd waszej królewskiej mości – rzekł po niemiecku Cort.

Doktor nic nie odpowiedział... czyżby nie zrozumiał?... Lub może zapomniał swego rodowitego języka przez trzy lata swego pobytu w Ngala.

– Czy nas słyszysz? – zaczął znów Cort. Jesteśmy cudzoziemcami, których przemocą przyprawiono do Ngala.

Nie było żadnej odpowiedzi... Doktor patrzył na nich tak dziwnie, jakby ich nie widział, nie ruszał się przytym wcale.

Huber przystąpił bliżej i nie zważając na szacunek przynależny władcy, wstrząsnął go silnie za ramię.

Johansen skrzywił się, a potym pokazał język.

– Czy on zwarzjował? – zapytał Cort.

– Niestety tak – odpowiedział Huber.

W istocie nieszczęśliwy doktor postradał zmysły, oczywiście z chwilą, gdy przybył do wioski Ngala.

A może właśnie utrata zmysłów zjednała mu ten zaszczyt, że został władcą?

U Indian z dalekiego Zachodu i u dzikich ludów Oceanji głupota jest bardziej czczona, niż mądrość; szaleńcy uważani są u nich za istoty święte i godne poszanowania.

Doktor, jako pozbawiony rozumu, nie zauważył obecności obcych ludzi.

– Nie możemy od niego nic żądać, bo on nas nie rozumie – rzekł Kamis, a te zwierzęta nie pozwolą nam się oddalić.

– Uciekajmy więc – dodał Huber.

– I to w tej chwili, korzystając z ciemności nocy – rzekł Kamis.

– I z dzisiejszego usposobienia mieszkańców?.

– Starajmy się dostać do schodów i uciekajmy – mówił z pośpiechem Kamis.

– Dobrze – odparł Maks, – ale doktor? Nie możemy go przecież tu pozostawić... Naszym obowiązkiem jest oswobodzić go.

– Masz słusność – potwierdził Jan, – ale jeśli ten nieszczęśliwy człowiek stawia nam opór?

– Spróbujmy – rzekł Maks i wszyscy uchwycili doktora za ręce.

Ale doktor odepchnął ich wszystkich i rzucił się na posłanie.

– Doktorze Johansen! – zawołał Jan.

Mselo-Tala-Tala nie ruszył się.

– Napróżno go wołamy – rzekł Maks, – on nas nie rozumie, zamienił się w małpę, niechże więc panuje nad tym małpim pokoleniem.

Wysunęli się z chaty, lecz w tejże chwili doktor Johansen zaczął straszliwie krzyżeć. Za kilka chwil mógł przybiec Raggi z wojownikami, – należało się śpieszyć. Biada naszym podróżnym, gdyby ich spotkano w chacie Mselo-Tala-Tala. Zaczęli też uciekać, ile im tylko sił starczyło.

Na szczęście, krzyki szaleńca nie zwabiły nikogo. Plac i uliczki pozostały puste. Ale trudno się było kierować w tym labiryncie po ciemku. Nagle postać Wagddisa zagroziła im drogę.

Byli to Li-Mai z ojcem. Mały dostrzegł ich, gdy się skradali do chaty Mselo-Tala-Tala i uprzedził o tym ojca. Ten mniemał, że podróżnym naszym grozi jakieś niebezpieczeństwo, lecz wrędcę zrozumiał, że chodzi tu o ucieczkę i dał im do zrozumienia, że im dopomoże.

Poprowadził ich więc ku schodom. Lecz wyjścia strzegł Raggi z dwunastoma wojownikami. Maks Huber uznał, że nadeszła chwila, iż trzeba użyć karabinu. Raggi rzucił się na nich. Maks wystrzelił. Raggi upadł na ziemię śmiertelnie raniony.

Wagddisowie nie znali broni palnej, to też przestach ich był okropny. Zdawało im się, że spadł piorun z jasnego nieba. Wojownicy rozpierzchli się na wszystkie strony. Przejście pozostało swobodne.

– Prędko na dół! – zawołał Kamis.

Li-Mai i jego ojciec szli przed nimi. Wyszedszy z wioski, podążyli w stronę rzeki, odczepili łódkę i wsiedli w nią, zabierając z sobą obydwuch przewodników.

Ale w tejże chwili zapłonęły pochodnie i Wagddisowie biegli na wybrzeże, wydając głośne okrzyki gniewu i groźby i wypuszczając za uciekającymi chmurę strzał.

Uciekający zaczęli strzelać, dwóch Wagddisów padło, reszta cofnęła się z okrzykami przerażenia. Bystry prąd rzeki uniósł szybko łódkę pod zieloną gęstwinę drzew.

Nie będziemy szczegółowo opisywać, w jaki sposób podróżni nasi płynęli po rzece. Nie napotkali już więcej takich nadpowietrznych wioszek. Mieli broń, nie brakło im więc pożywienia. Polowali na antylopy, których znajduje się mnóstwo w tej stronie Ubangi.

Nazajutrz wieczorem Kamis przywiązał łódkę do nadbrzeżnego drzewa, z zamiarem przepędzenia w tym miejscu nocy. Wszyscy byli wdzięczni ojcu Li-Mai, że im ułatwił ucieczkę. Langa z dzieckiem pokochali się serdecznie. Podróżni nasi mniemali, że zabiorą Wagddisa i małego Li-Mai do Libreville. Powrót byłby dla nich łatwym, mogli bowiem popłynąć którąkolwiek rzeką, będącą dopływem Ubangi.

Był to dzień 10 kwietnia, gdy się zatrzymali na wybrzeżu; płynęli już dwadzieścia godzin. Kamis twierdził, że oddalili się już o jakie sto kilometrów od siedziby Wagddisów. Posiliwszy się, zasnęli, czuwał tylko ojciec Li-Mai.

Nazajutrz, gdy zamierzali puścić się w dalszą drogę, ujrzeli Li-Mai z ojcem stojących na wybrzeżu. Nie chcieli oni wsiąść do łódki, ojciec wskazał ręką na rzekę, a potem na leśną gęstwinę.

Napróżno przyjaciele nasi namawiali ich, aby dalej z nimi płynęli, napróżno Langa obsypywał chłopca piesszczotami; Li-Mai powiedział tylko jeden wyraz: – Ngora!

Tak, matka jego pozostała w wiosce Wagddisów, i tam chciał chłopiec powrócić z ojcem; rodzina nie chciała się rozłączyć.

Pożegnali się nareszcie, zaopatrzywszy Wagddisów w pożywienie, które powinno im było wystarczyć przez czas powrotu do wioski Ngala. Długo, długo podróżni nasi ścigali wzrokiem ojca i dziecę, dopóki ci nie zniknęli w gąszczu leśnym. Langa płakał.

– No, już chyba wierzysz, że to są ludzie – rzekł Jan do Maksa.

– Bezwątpienia, Janie, gdyż mają łyzy i uśmiechy!

Łódź płynęła szybko. Jeszcze dni kilka trwała żegluga, aż wreszcie dopłynęli do Ubangi. Byli już teraz oddaleni co najmniej trzysta kilometrów od wioski Ngala.

Podróżni nasi znajdowali się obecnie w pobliżu wirów Zongo, w kącie, jaki tworzy rzeka, skręcając ku południowi. Wirów tych nie można było przepłynąć łódką, należało je ominąć wybrzeżem, dźwigając łódkę na ramionach. Nie groziło im żadne niebezpieczeństwo, gdyż lewy brzeg Ubangi stanowił grunt neutralny pomiędzy niepodległą prowincją Kongo, a prowincją francuską. Tylko dźwiganie łódki byłoby uciążliwym. Kamis jednak podał inny projekt.

Poniżej wirów Zongo Ubanga jest spławna, aż do miejsca, gdzie zlewa się z rzeką Kongo. Tu już napotyka się statki trudniące się handlem, jakoteż wsie, osady i siedziby misjonarzy. Przeszli więc dzień jeden piechotą, a te pięćset kilometrów, które ich oddzielały od celu podróży, to jest od jakiej osady, Jan, Maks, Kamis i Langa odbyli już na statku. Przy końcu kwietnia zatrzymali się w osadzie położonej na prawym brzegu rzeki. Tu odpoczęli dni kilka po trudach podróży i nabrali sił do przebycia jeszcze dziewięciuset kilometrów, oddzielających ich od Libreville.

Kamis zorganizował karawanę, która idąc prosto w kierunku zachodnim, przebyła płaszczyny Kongo w przeciągu dwudziestu czterech dni.

Dwudziestego maja Jan Cort, Maks Huber, Kamis i Langa wkroczyli do faktorji, znajdującej się przed osadą.

Przyjaciele ich, nie mając od nich wiadomości przeszło sześć miesięcy, byli już o nich bardzo niespokojni. To też powitali ich z radością.

Kamis i Langa pozostali już nazawsze w usługach Jana i Maksa. Obaj zasłużyli na przywiązanie i wdzięczność w zamian za poświęcenie i przychylność, jaką im okazywali podczas tej niezwyklej i awanturycznej podróży.

Ale co się stało z doktorem Johansenem i nadpowietrzną wioską Ngala, ukrytą wpośród wierzchołków drzew w puszczach Afryki?

Nie ulega wątpliwości, że wcześniej, czy później odkryją ją uczeni i dadzą o niej szczegółowe

wyjaśnienia

Doktor Johansen prawdopodobnie nie odzyskał zmysłów, a gdyby nawet wyzdrowiał i gdyby go przywieziono do Malinba, kto wie, czy nie żałowałby tych czasów, w których pod imieniem Mselo-Tala-Tala panował nad plemieniem Wagddisów.

KONIEC

[1] Miara powierzchni 10,000 metrów kwadratowych 1 ł morgi.

Spis treści

ROZDZIAŁ I 3

Po długim wypoczynku. 3

ROZDZIAŁ II 10

Poruszające się ognie. 10

ROZDZIAŁ III 16

Rozproszenie. 16

ROZDZIAŁ IV 23

Postanowienie. 23

ROZDZIAŁ V 29

Pierwszy dzień wędrówki. 29

ROZDZIAŁ VI 34

Ciągle w kierunku południowo-zachodnim. 34

ROZDZIAŁ VII 40

Pusta klatka. 40

ROZDZIAŁ VIII 46

Niespodzianka. 46

ROZDZIAŁ IX 52

Z biegiem rzeki Johansen. 52

ROZDZIAŁ X 56

Ngora! 56

ROZDZIAŁ XI 61

Dzień 19-go marca. 61

ROZDZIAŁ XII 67

W lesie. 67

ROZDZIAŁ XIII 73

Wioska napowietrzna. 73

ROZDZIAŁ XIV 78

Wagdisowie. 78